

iMAGAZiNE

1/2026 (181) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl





BADANIE CZYTELNICTWA iMAGAZINE

EDYCJA 2026

tapnij by przejść do menu/spisu treści



PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Niceboy One Ultra

– płacenie pierścieniem z mBankiem

Karta już dawno nie jest potrzebna do większości codziennych płatności – smartfony i zegarki skutecznie ją zastąpiły. Pierścień płatniczy to jednak coś nowego, a Niceboy One Ultra od mBanku może znacznie więcej niż tylko zastąpić kartę.



przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo



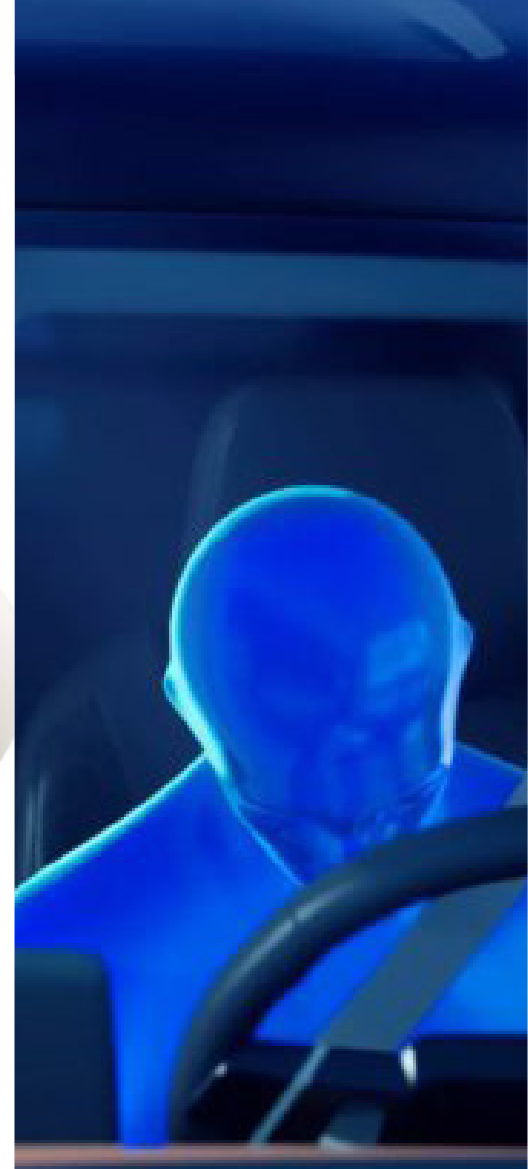
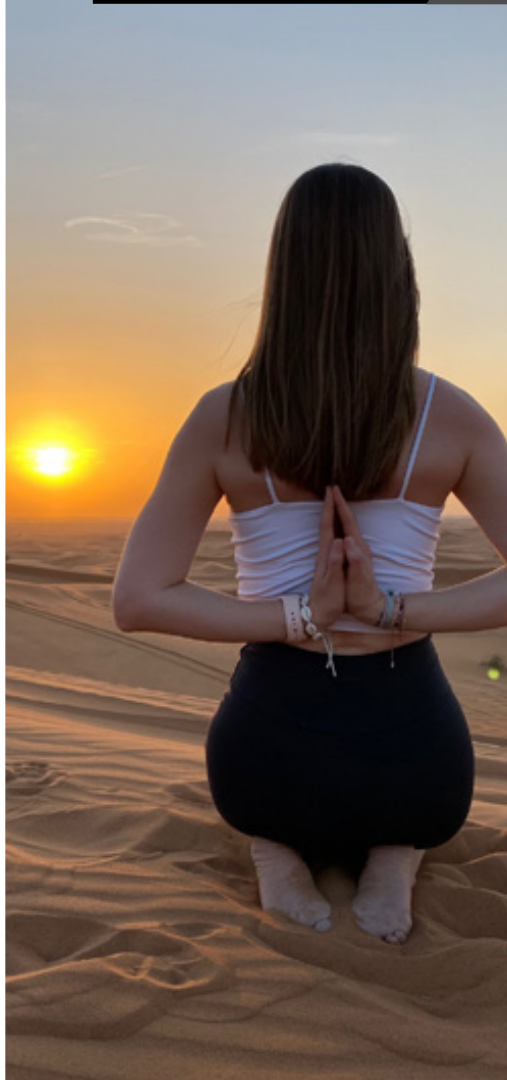
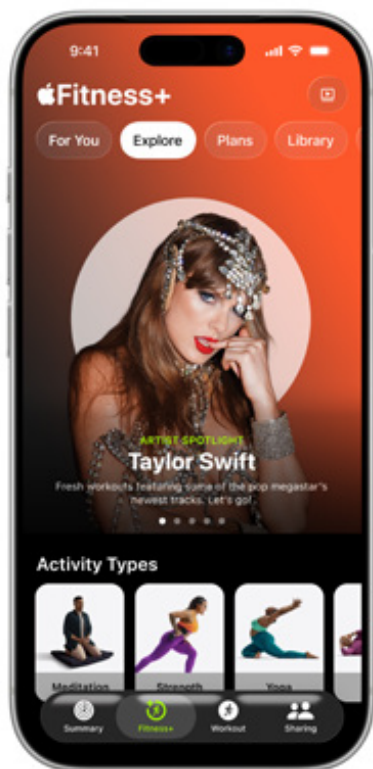


Px8 S2. Usłysz prawdę.

Doświadcz porywającego brzmienia i niezrównanego komfortu dzięki najbardziej luksusowej konstrukcji, jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl



Apple Fitness+ – pięć lat czekania, pięć sekund na decyzję

Dominik Łada

Noworoczna aktywność w domowym zaciszu z Apple Fitness+

Klaudia Kwiatkowska-Kołacz

XGIMI Vibe One – projektor na co dzień

Paweł Hać

Niewidzialny Pasażer. Kiedy Volkswagen przejmie stery, ratując życie

Dariusz Hałas

Galeria iMagazine

12 Filip Blank | filipblank

Aktualności

20 Aktualności

Productivity

50 Wejść w 2026 bez aplikacji od mediów społecznościowych na telefonie! | Michał Śliwiński

Lifestyle

57 Lifestyle | Dominik Łada

Technokultura

67 Proweniencja, głupcze! Jak nie dać się oszukać sztucznej inteligencji | Ania Gabrys

Audio

72 CMF Headphone Pro – wyróżnij się | Paweł Hać

Sprzęt

79 Weekend z Vivo X300 Pro w Stambule w Turcji vs iPhone 17 Pro | Wojtek Pietrusiewicz

80 Nothing Phone (3a) Lite – tanio, ale nie było jak. Dłuższe, pierwsze wrażenia | Dominik Łada

86 Niceboy One Ultra – płacenie pierścieniem z mBankiem | Paweł Hać

90 Umevo Note AI – dyktafon, który chce być drugim mózgiem | Dominik Łada

96 Estetyka smaku. Kiedy design spotyka się z funkcjonalnością | Agnieszka Serafinowicz

TV

103 XGIMI Vibe One – projektor na co dzień | Paweł Hać

Mobilność

108 Niewidzialny Pasażer. Kiedy Volkswagen przejmie stery, ratując życie | Dariusz Hałas

118 Range Rover SV LWB P615. Gdy pierwsza klasa to za mało | Dariusz Hałas

130 Volkswagen Golf R Variant. Tatuś woli szybciej | Dariusz Hałas

138 Chiński cios w klasę średnią. Czy celny? | Dariusz Hałas

Software

147 Apple Fitness+ – pięć lat czekania, pięć sekund na decyzję | Dominik Łada



**Red Dead Redemption na iOS i iPadOS***Dominik Łada***Jak naprawdę dbać o baterię w MacBooku w czasach macOS 26 Tahoe***Dominik Łada***Algorytmiczny opór. Dbamy o cyfrowy azyl dla ludzkiej inteligencji***Dariusz Hałas***Żywy czy martwy: Film z serii Na noże***Jan Urbanowicz*

152 Noworoczna aktywność w domowym zaciszu z Apple Fitness+ | Klaudia Kwiatkowska-Kończak

157 (Prawie) wszystko o...

Gry

158 ARC Raiders | Paweł Hać

166 Red Dead Redemption na iOS i iPadOS – mobilna legenda, która nie miała prawa działać tak dobrze | Dominik Łada

Porady

173 Łatwa identyfikacja przychodzących połączeń za pomocą wibracji | Maciej Skrzypczak

176 Jak naprawdę dbać o baterię w MacBooku w czasach macOS 26 Tahoe | Dominik Łada

185 Jak skonsolidować konta i subskrypcje w iCloud (i nie zwariować) | Dominik Łada

189 Jak wyczyścić pamięć podręczną iPhone'a – i dlaczego naprawdę warto | Dominik Łada

Higiena Cyfrowa

193 Dlaczego warto robić przeglądy aplikacji i usług? | Krzysztof Kończak

Felietony

197 Algorytmiczny opór. Dbamy o cyfrowy azyl dla ludzkiej inteligencji | Dariusz Hałas

200 Apple Pay dla dowodu osobistego. Dlaczego Bruksela udaje, że technologia nie istnieje? | Dariusz Hałas

205 Apple nigdy nas nie zadowoli? | Krzysztof Kończak

209 Out of the Box | Krzysztof Kończak

212 Mój rok 2025 w technologiach | Paweł Okopień

219 App Tracking Transparency – jak Apple zmieniło zasady gry w śledzeniu użytkowników | Dominik Łada

222 W imię albańskiej braci | Piotr Wdowiak

Film

226 100 lat New Yorkera | Jan Urbanowicz

233 Żywy czy martwy: Film z serii Na noże | Jan Urbanowicz

240 Premiery streamingowe styczeń 2026 | Jan Urbanowicz

Muzyka

242 Artyści nienawidzą Spotify, ale i tak chwalą się statystykami z serwisu | Paweł Winiarski

Podcasty

246 Podcasty | Dominik Łada

Makowa kuchnia

249 Pasztet z wątróbki drobiowej z galaretką jabłkową | Małgorzata Łada



JBL

Dowiedz
się
więcej



GRIP

**CHWYĆ NAJLEPSZE
BRZMIENIE!**



Nowy rok zaczynamy ruchem – dosłownie i w przenośni. Po latach oczekiwania Apple Fitness+ wreszcie trafia do Polski, a styczeń to idealny moment, by wprowadzić w życie noworoczne postanowienia. To te-mat przewodni pierwszego wydania iMagazine w 2026 roku i symbol dobrego startu – technologii, która realnie wspiera codzienne nawyki.

W numerze testujemy też sporo nowości sprzętowych: słuchawki CMF, smartfony Vivo 300 Pro i Nothing Phone 3a Lite, a także dyktafon AI od UMEVO. Dla graczy mamy prawdziwą gratkę – Red Dead Redemp-tion na urządzeniach mobilnych, czyli dowód, że gry AAA coraz śmiejlej wkraczają na smartfony i tablety.

Jak przystało na początek roku, publikujemy również nasze (prawie) wszystko o systemach 26 od Apple. Nie zabrakło też emocji motoryzacyjnych – Range Rover, VW Golf R i Omoda 9 zapewniają ich aż nadto.

W numerze znajdziecie także dużo porad, nowy dział „Higiena Cyfrowa”, świetne felietony oraz galerię z pracami Filipa Blanka. To oczywiście tylko część z tego, co znajdziecie w środku.

Na koniec ważna prośba: zapraszamy do udziału w naszym **badaniu czytelnictwa – edycja 2026**. Wasze opinie realnie kształtują iMagazine.

Dobrego startu w 2026 i miłej lektury!

Dominik Łada



CREATIVE ZEN AIR DOT

CREATIVE®

SŁUCHAWKI TAK LEKKIE, ŻE PONIOSĄ CIĘ DOKĄD ZAPRAGNIESZ



24 HRS

ŁĄCZNY CZAS
ODTWARZANIA

7 HRS

NA
POJEDYŃCZE
NAŁADOWANIE



DUAL MICS



REDUKCJA SZUMÓW
OTOCZENIA
(ENC- ENVIRONMENTAL
NOISE CANCELLATION)



5.3



PRZETWORNIKI
NEODYMOWE 13 MM



STEROWANIE
DOTYKOWE



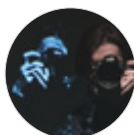
ODPORNOŚĆ NA
WODĘ IPX4

Douszne słuchawki, prawdziwie bezprzewodowe, bardzo lekkie (33g), kompaktowe (na małą kieszonkę), odporne na wodę IPX4 (możesz pocić się dowoli), dotykiem wydajesz im polecenia, a grają 7 godzin na jednym ładowaniu¹ a do 24 godzin całkowitego czasu odtwarzania, 13 mm specjalnie dostrojone przetworniki neodymowe dają głęboki bas i przejrzyste brzmienie, technologia redukcji szumów otoczenia (ENC) pozwala na wytchnienie od otoczenia, *Bluetooth*® 5.3 daje bardziej niezawodną łączność.

¹W oparciu o średni poziom głośności. Rzeczywisty czas pracy baterii zależy od ustawień użytkownika, utworów i warunków otoczenia.



WSPÓŁPRACA

Paweł
OkopieńKrzysztof
KołaczPaweł
HaćDariusz
HałasJan
UrbanowiczMichał
ŚliwińskiMaciek
SkrzypczakMałgorzata
ŁadaKlaudia
Kwiatkowska-KołaczNapoleon
BrylAgnieszka
SerafinowiczAnia
GabryśEla
RóżalskaThomas
VollandPiotr
WdowiakPaweł
Winiarski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine” są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine”, ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine” podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine” lub innych uprawnionych osób trzecich.

Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM



WYDAWCA

Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA

redakcja@imagazine.pl



REDAKTOR NACZELNY

Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

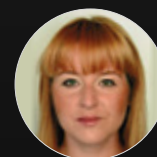
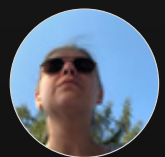
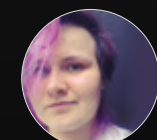
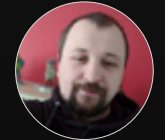


ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

REKLAMA

reklama@imagazine.pl

KOREKTA
Malwina WadasKOREKTA
Ania GabryśWEBMASTER
Angelika BoruckaWEBMASTER
Krzysztof Stambuła

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:

Mateusz Gileta





SENNHEISER

AUDIOFILSKA
JAKOŚĆ DŹWIĘKU,
ZERO KABLI.



HDB 630

Doświadcz bezkompromisowej jakości i pełnej szczegółów rozdzielczości bezprzewodowego dźwięku dzięki aptX Adaptive. Poczuj się jak na żywym koncercie – szeroka scena dźwiękowa i przeprojektowany system akustyczny zanurzą Cię w brzmieniu. Skup się na muzyce bez żadnych zewnętrznych zakłóceń, eliminowanych przez adaptacyjne ANC. Przesyłaj dźwięk w audiofilskiej jakości 24-bit/96 kHz z dołączonym donglem BTD 700 i słuchaj nawet przez 60 godzin bez przerwy. Teraz cały świat może być Twoim prywatnym pokojem odsłuchowym.

www.sennheiser.pl/hdb630



FILIP BLANK

[@filipblank](#)

Filip Blank fotografuje ruch. Niezależnie od tego, czy jego źródłem jest silnik spalinowy, czy siła ludzkich mięśni, zawsze interesuje go moment, w którym energia i forma zamienia się w emocję. Prędkość nie jest dla niego celem samym w sobie, lecz narzędziem opowiadania historii – często zdobywanej z perspektywy, na którą niewielu fotografów jest gotowych.

Jego fotografie motoryzacyjne opowiadają historie. Maszyny pozostają w centrum kadru, ale nigdy nie są jedynymi bohaterami – równie ważna jest opowieść o ludziach, którzy je stworzyli, dopracowali i którym towarzyszą. W obrazach Filipa samochody zyskują charakter, a ruch staje się językiem emocji. Tor wyścigowy, górską drogą czy surowy krajobraz poza asfaltem to jedynie scenografie dla historii, w których mechanika spotyka się z pasją, a prędkość nabiera znaczenia wykraczającego poza liczby.

Jego fotografie były publikowane m.in. na łamach kwartalnika „RAMP”, francuskiego „Sport Auto” oraz – jako jedyne polskiego fotografa – w międzynarodowym magazynie Bugatti „Ettore”















ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



**Niesamowite ramy, koła
i kompletne zestawy z włókna węglowego**

Dostępne niektóre modele od ręki lub z szybką dostawą!





Kolejna aktualizacja firmware Powerbeats Pro 2

Czytaj dalej....

**Aktualizacje iOS 26.2,
iPadOS 26.2, macOS 26.2,
watchOS 26.2, tvOS 26.2,
visionOS 26.2**

Czytaj dalej....



**Zostałeś na iOS 18? Apple o Tobie pamięta
– ważna łątka bezpieczeństwa iOS 18.7.3**

Czytaj dalej....



Nowa aktualizacja firmware AirPods Pro 3 i AirPods Pro 2

Czytaj dalej....



Morgan Stanley podnosi cenę docelową akcji Apple

Czytaj dalej....

Aktualizacja firmware baterii MagSafe przeznaczonej do iPhone'a Air

Czytaj dalej....





**Apple ostrzega pracowników:
„Nie wyjeżdżajcie z USA,
bo możecie nie wrócić”.
Powodem... kontrola social
mediów**

Czytaj dalej....

**Integracja ChatGPT z Apple
Music: OpenAI obiecuje
więcej, niż realnie daje.
Sprawdziliśmy to**

Czytaj dalej....

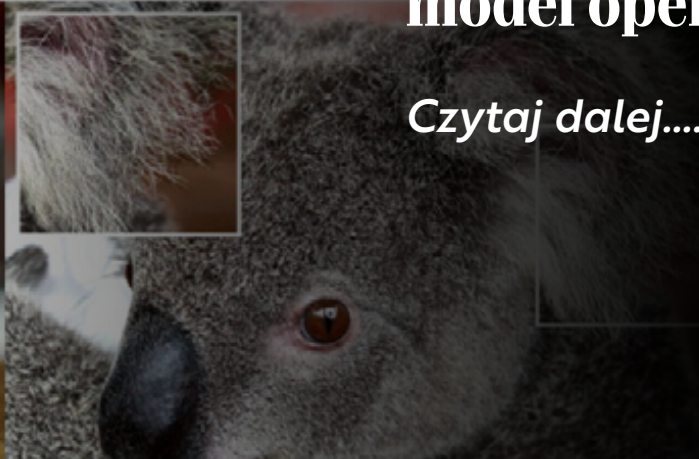


100 million songs.



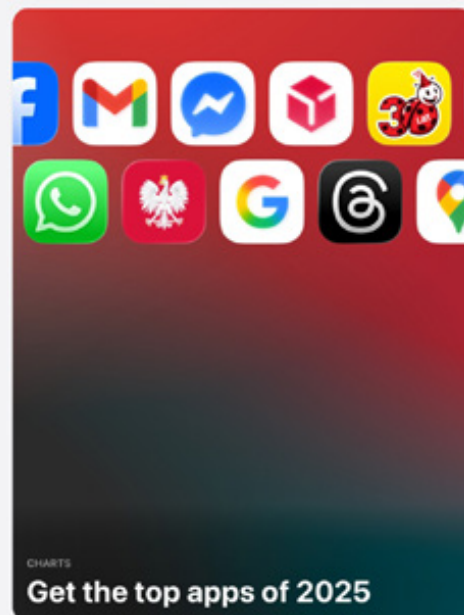
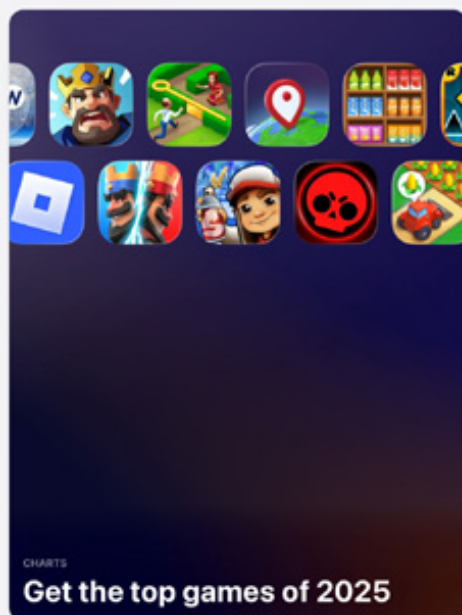
**Apple udostępnia nowy
model open-source SHARP**

Czytaj dalej....



Jakich aplikacji szukaliśmy w App Store najczęściej w 2025 roku?

Czytaj dalej....



„PluŃbus” rekordzistą Apple TV. To najchętniej oglądany serial w historii platformy

Czytaj dalej....

y piątek

Film „F1: The Movie” dostępny na Apple TV

Czytaj dalej....





Apple inwestuje ponad 1 mld USD w nieruchomości w Cupertino

Czytaj dalej....

Apple przypadkiem utrudniło rządowi blokowanie iMessage? Subtelna zmiana w aktywacji usługi może mieć poważne konsekwencje

Czytaj dalej....



Apple świętuje 40 lat dostępności nowym filmem o życiu studentów z niepełnosprawnościami

Czytaj dalej....





Monitoring bez kabli i rachunków za prąd. TP-Link wprowadza kamery solarne Tapo

TP-Link rozszerza ofertę inteligentnego domu o dwa nowe zestawy monitoringu zewnętrznego: Tapo C660 KIT oraz C610 KIT.

Oba modele to kamery obrotowe, które dzięki wbudowanym akumulatorom i dołączonym panelom fotowoltaicznym mogą pracować całkowicie bezprzewodowo, eliminując konieczność prowadzenia instalacji elektrycznej.

Wyższy z zaprezentowanych modeli, Tapo C660 KIT, rejestruje obraz w rozdzielczości 4K (8 MP). Urządzenie wyposażono w obrotową głowicę zapewniającą 360-stopniowe pole widzenia oraz funkcję śledzenia obiektów. Za zasilanie odpowiada tu akumulator o pojemności 10 000 mAh wspierany przez panel solarny.





Co istotne, ten model umożliwia nie tylko zapisywanie wykrytych zdarzeń, ale także nagrywanie w trybie ciągłym (24/7). Materiały można archiwizować lokalnie na karcie microSD (do 512 GB) lub w chmurze producenta.

Tańsza alternatywa do podstawowych zadań

Drugą nowością jest model Tapo C610 KIT, pozycjonowany jako rozwiązanie bardziej budżetowe. Kamera ta oferuje rozdzielczość 2K (3 MP) i nieco mniejszą baterię o pojemności 6700 mAh.

W przeciwieństwie do droższego wariantu, ten model rejestruje wyłącznie wykryte zdarzenia, co pozwala na oszczędzanie energii. Oba urządzenia posiadają klasę szczelności IP65, co gwarantuje odporność na warunki atmosferyczne, oraz funkcję kolorowego trybu nocnego.



W przeciwieństwie do droższego wariantu, ten model rejestruje wyłącznie wykryte zdarzenia, co pozwala na oszczędzanie energii. Oba urządzenia posiadają klasę szczelności IP65, co gwarantuje odporność na warunki atmosferyczne, oraz funkcję kolorowego trybu nocnego.





Inteligentne wykrywanie i łączność

Kamery wyposażono w algorytmy AI, które potrafią odróżniać ludzi, zwierzęta i pojazdy, co ma na celu redukcję fałszywych alarmów. Użytkownik ma do dyspozycji dwukierunkową komunikację audio oraz alarm świetlno-dźwiękowy, który może odstraszać intruzów. W kwestii łączności **TP-Link** postawił na moduły dwupasmowe, obsługujące zarówno zasięgowe pasmo 2,4 GHz, jak i szybsze 5 GHz.

Ceny nowych zestawów zostały ustalone na poziomie około 650 zł za model C660 KIT oraz 350 zł za model C610 KIT. Urządzenia są już dostępne w sprzedaży i objęte dwuletnią gwarancją producenta.



A close-up portrait of Tim Cook, CEO of Apple, wearing glasses and a dark blue shirt, looking slightly to the side.

Tim Cook w Waszyngtonie. Szef Apple walczy, byś nie musiał wysyłać skanu dowodu do App Store

Czytaj dalej...

This is your Replay.

Jump In ▶

Apple ogłosiło roczne zestawienia Apple Music za 2025 rok

Czytaj dalej...

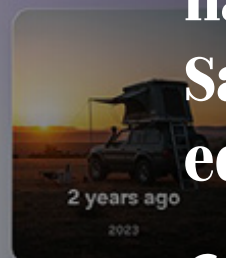
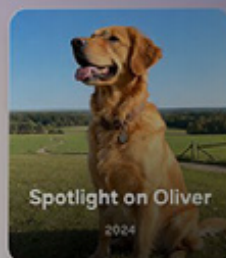
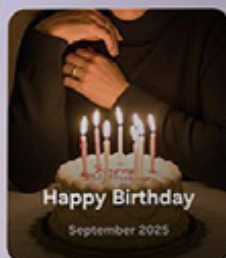
„The Rest Is History” Podcastem Roku 2025 na Apple Podcasts. Brytyjczycy piszą historię

Czytaj dalej...



Google Photos memories

Curated, just for you



Google Photos trafi natywnie na telewizory Samsunga. W pakiecie edycja AI i Nano Banana

Czytaj dalej...

Trzęsienie ziemi w kadrach Apple. Jennifer Newstead (ex-Meta) nowym szefem prawnym, Lisa Jackson odchodzi na emeryturę

Czytaj dalej....



AirPods w kolorach iPhone'a 5c? Wyciekły zdjęcia prototypów, które Apple schowało do szuflady

Czytaj dalej....



Koniec z urzędniczym bełkotem? Od Sylwestra mObywatel przemówi ludzkim głosem dzięki AI

Czytaj dalej....



Galaxy Z TíFold oblewa test wytrzymałości. Cena postępu? Delikatność, o której zapomnieliśmy

Czytaj dalej....

Nowości w Chrome

Darmowy Chrome się kończy? Za przeglądarkę, która „sama robi rzeczy”, prawdopodobnie będziesz musiał zapłacić

Czytaj dalej....



**Koniec eldorado w chmurze.
Od 1 stycznia NVIDIA
wprowadza sztywne limity
w GeForce Now**

Czytaj dalej....

**Tim Cook wyciąga portfel,
gdy inni uciekają. Szef Apple
podwaja stawkę w Nike**

Czytaj dalej....



**Samsung SDI pokazuje
potencjał: 960 km zasięgu
i ładowanie w 9 minut.
Rewolucja zacznie się od...
pierścionka**

Czytaj dalej....





JBL Bar 1300 MK2

JBL Bar 1300 MK2 to 11.1.4-kanalowy system typu soundbar z odłączanymi głośnikami surround oraz technologiami Dolby Atmos® i DTS:X®. Nie lada gratka dla miłośników kina i efektów specjalnych w domowym zaciszu. Warto sprawdzić jakie niespodzianki skrywa w sobie ten model.

Doskonały dźwięk przestrzenny 3D w kilka sekund – bez kabli. To soundbar wypełniający całe pomieszczenie dźwiękiem True Dolby Atmos® i DTS:X, zapewniający wyrazisty, wciągający dźwięk przestrzenny 3D, który można dostosować do każdej chwili. Wystarczy unieść odłączane głośniki bezprzewodowe z obu końców soundbara JBL BAR 1300 MK2 i postawić je tam, gdzie się siedzi. Daleko od siebie na rodzinny wieczór filmowy z nowym hitem z superbohaterami lub bliżej siebie na przytulną romantyczną listę odtwarzania spośród setek dostępnych usług przesyłania strumieniowego.

Głęboki, mocny bas subwoofera niewielkich rozmiarów, ale o potężnym brzmieniu oraz najszersza, najbardziej kinowa scena dźwiękowa dzięki technologii MultiBeam™ 3.0. A gdy nie ogląda się telewizji, można sparować





jeden lub oba odłączane głośniki z dowolnym urządzeniem Bluetooth®, aby uzyskać przenośny i potężny dźwięk w dowolnym miejscu w domu. A wszystko działa bezproblemowo z telewizorem.

Telewizor nie pozwala uzyskać bogatego, potężnego dźwięku, ale JBL od niemal wieku zapewnia doskonały dźwięk w kinach, studiach nagraniowych i salach koncertowych. JBL Bar 1300 MK2 to możliwość wprowadzenia tego poziomu profesjonalizmu do swojego domu. Najwyższa jakość dźwięku przestrzennego 3D dzięki zapierającym dech w piersiach górnym kanałom dźwiękowym. Sześć głośników skierowanych w górę w soundbarze i bezprzewodowe głośniki efektowe zapewniają dźwięk True Dolby Atmos®. Bez dodatkowych przewodów. Bez złączy zasilania. Wystarczy unieść odłączane głośniki surround z soundbara i postawić je za miejscem, w którym się siedzi, aby stworzyć prawdziwie przestrzenne wrażenia dźwiękowe. To naprawdę jest proste. Niezależnie od tego, czy ogląda się swój nowy ulubiony program, czy organizuje noc filmową – trwałe akumulatory głośników zapewnią wciągający, kinowy dźwięk przestrzenny przez wiele godzin. A po wszystkim wystarczy umieścić głośniki z powrotem na soundbarze, aby naładować je przez noc.

W przestrzennym dźwięku 3D o jakości kinowej można zanurzyć się dzięki technologiom True Dolby Atmos® i DTS:X. Sprawiają one, że użytkownik zadrży, gdy





statki kosmiczne zaczną wypełniać niebo, poczuje wybuchy przeszywające ciało, czy doświadczy muzyki jak w studiu nagraniowym. Ponadto, gdziekolwiek się siedzi można być w środku akcji, dzięki systemowi MultiBeam™ 3.0, który zapewnia szeroką, kinową scenę dźwiękową. Ożywia ona każdą szybką scenę pościgu lub epickie sceny walki. Wiązki dźwięku idealnie wypełniają pomieszczenie, zapewniając prawdziwie wciągające i realistyczne odwzorowanie dźwięku. Nigdy też nie przegapi się łagodnie wypowiedzianej linii ani wyszeptanego zwrotu akcji, gdyż technologia PureVoice 2.0 firmy JBL automatycznie podnosi lub optymalizuje dialog na podstawie zarówno dźwięku otoczenia w scenie, jak i poziomu głośności soundbara. Dzięki temu użytkownik zawsze usłyszy każde słowo – wyraźnie i niezmiennie, w kinowej jakości dźwięku. Dodatkowo funkcjonalność SmartDetails pozwala usłyszeć wszelkie subtelności w mieszance dźwięków dochodzących z filmu – tak jak w kinie. Od skrzypiących drzwi po odległy krzyk – użytkownik doświadczy każdego szczegółu, jaki zaplanowali twórcy filmowi, w czystym, zrównoważonym polu dźwiękowym dzięki zaawansowanej technologii optymalizacji dźwięku JBL.

Natomiast w kompaktowym subwooferze zainstalowano technologię AI Sound Boost, która pozwala cieszyć się jeszcze bardziej przestrzennym kinowym dźwiękiem z najpotężniejszego 8-calowego subwoofera z dwoma



wooferami. Funkcja AI Sound Boost pomaga obu przetwornikom osiągnąć maksymalne możliwości, dzięki czemu słyszy się cały zakres dynamiki z lepszym i mocniejszym dźwiękiem z kompaktowego subwoofera.

A jeśli nie chce się przegapić żadnej z wielkich rozgrywek – nawet gdy jest się w kuchni, tworząc kolejną partię skrzydełek na ostro, wystarczy zabrać ze sobą jeden lub oba odłączane głośniki bezprzewodowe, aby usłyszeć ten sam wspaniały dźwięk filmowej jakości, którym raczą się domownicy i goście w drugim pokoju. Przenośne głośniki Bluetooth® umożliwiają również zabranie ze sobą dźwięku, gdy chodzi się wokół domu lub spędza czas na podwórku. Wystarczy sparować jeden z odłączanych głośników bezprzewodowych z urządzeniem Bluetooth®, aby stał się on potężnym urządzeniem przenośnym. Można też cieszyć się prawdziwym dźwiękiem stereo, parując oba głośniki. Zawsze można też dodać jeszcze więcej kompatybilnych głośników JBL lub Harman Kardon poprzez Auracast™.

Aplikacja JBL ONE umożliwia skonfigurowanie soundbara oraz jego personalizację. Dźwięk dostosowany do własnych potrzeb za pomocą precyzyjnego korektora to niewątpliwy atut. Ponadto ulubione aplikacje muzyczne i możliwość pobrania aktualizacji oprogramowania dla wszystkich najnowszych funkcji prosto z kanapy.



**W porno jesteśmy
patriotami – raport
Pornhuba nie pozostawia
wątpliwości**

Czytaj dalej...

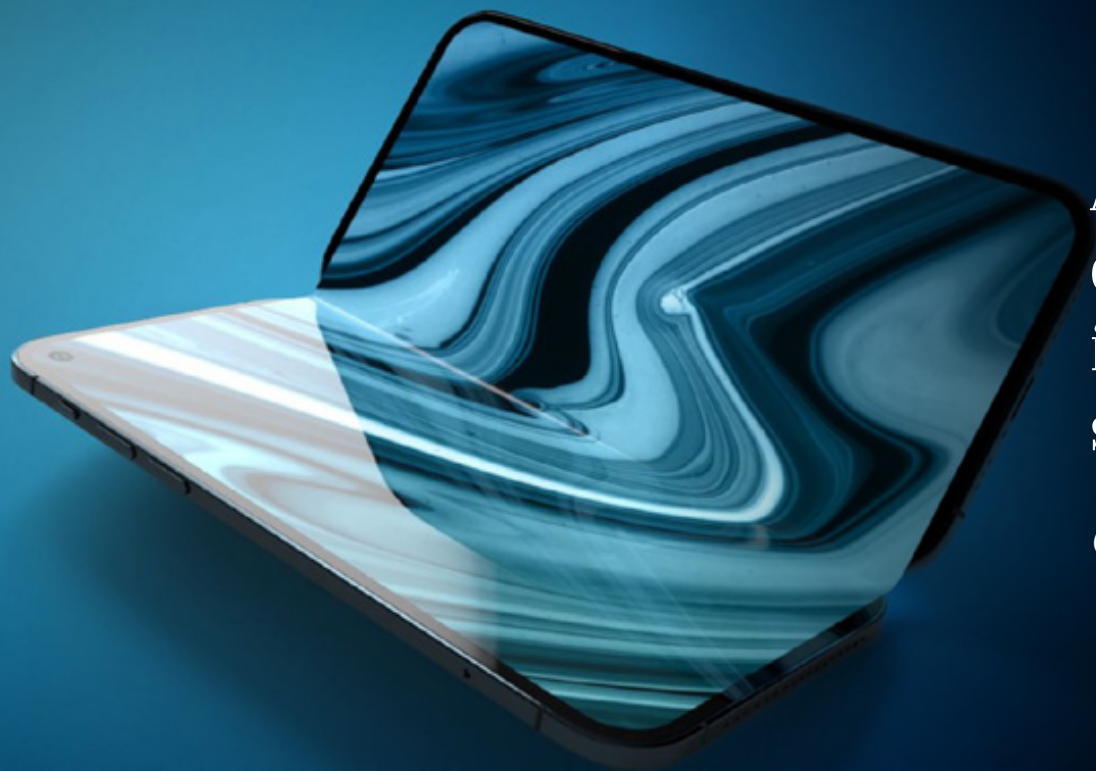
**Nowe karty pokładowe
w Apple Wallet to już nie
tylko USA. Lufthansa
wkrótce dołączy do listy**

Czytaj dalej...

**Apple znalazło
sposób na „akwarelę”
w zdjęciach nocnych.
Oto DarkDiff – AI, które
widzi w ciemnościach**

Czytaj dalej...





Apple i Samsung wracają do przeszłości? Składany iPhone może wyglądać jak... stary Pixel

Czytaj dalej....

Obsesja Tima Cooka nabiera kształtów. Apple Glasses zobaczymy pod koniec przyszłego roku?

Czytaj dalej....



Pokaż mi swoje Spotify, a powiem Ci, czy do siebie pasujemy. Czy muzyka to ostatnia deska ratunku dla randek online?

Czytaj dalej....



Pixel 10 w końcu dostaje „prawdziwe” sterowniki graficzne. Koniec problemów z grami?

Czytaj dalej....



Masz Maka i gadasz z ChatGPT? Masz czas do połowy stycznia. OpenAI wyłącza funkcję Voice

Czytaj dalej....

Apple stawia ultimatum: chcesz bezpieczeństwa? Musisz zainstalować iOS 26

Czytaj dalej....





Google łąta Pixele po raz drugi w grudniu. Masz model 8, 9 lub 10? Sprawdź aktualizacje

Czytaj dalej....

AirPods Max 2 – 10 prawdopodobnych nowości

Czytaj dalej....



Apple Music zmienia nazwę playlisty „Favorites Mix” na „Your Essentials”

Czytaj dalej....





Barco zacieśnia współpracę z gigantami AV. Sennheiser, Logitech i Huddly w ekosystemie ClickShare

Barco, lider technologii do sal konferencyjnych, ogłosił rozszerzenie strategicznego partnerstwa z firmami Sennheiser, Logitech i Huddly.

Współpraca ma na celu dostarczenie certyfikowanych, zintegrowanych systemów opartych na nowej platformie ClickShare Hub.

Ruch ten jest elementem szerszej strategii Barco, która zakłada wyjście poza model BYOD (Bring Your Own Device) i oferowanie kompletnych



Współpraca ma na celu dostarczenie certyfikowanych, zintegrowanych systemów opartych na nowej platformie ClickShare Hub.

rozwiązań dla sal konferencyjnych każdej wielkości. Kluczowym elementem tej układanki jest ClickShare Hub – urządzenie wprowadzone na rynek w czerwcu 2025 r., zbudowane na platformie Microsoft Device Ecosystem Platform (MDEP).

Barco dobrało partnerów tak, aby każdy dostarczył kluczowe kompetencje niezbędne do stworzenia kompletnego systemu konferencyjnego:

- Sennheiser: wnosi technologię audio, w tym rozwiązania oparte na standardzie Dante (audio-over-IP), co ułatwia instalację i dystrybucję dźwięku w salach.
- Logitech: dostarcza sprawdzone peryferia wideo i audio, które są łatwe we wdrożeniu i skalowaniu.
- Huddly: oferuje kamery wspierane przez sztuczną inteligencję, pozwalające na modułową rozbudowę systemu o wiele punktów widzenia.

Te partnerstwa stanowią kluczowy element naszej drogi do certyfikacji. Wspólnie tworzymy solidny i interoperacyjny ekosystem, który umożliwia klientom wdrażanie certyfikowanych, gotowych na przyszłość technologii – powiedział Jan van Houtte, wiceprezes ds. spotkań w Barco.

Dzięki współpracy, firmy będą oferować gotowe pakiety (bundles), które zapewnią pełną kompatybilność sprzętu w nowoczesnych środowiskach pracy hybrydowej.



**Japonia otwiera App Store:
alternatywne sklepy,
płatności zewnętrzne
i większy wybór dla
użytkowników**

Czytaj dalej...

**realme GT 8 Pro – iPhone
w świecie Androida, Ricoh
w kieszeni i śrubokręt
w pudełku**

Czytaj dalej....

**Sprzedaż iPhone'ów spadnie
w 2026 r., choć Apple jest na
to przygotowane**

Czytaj dalej....





Analiza możliwych następców Tima Cooka

Czytaj dalej....

Apple zapowiada więcej reklam w wynikach wyszukiwania App Store

Czytaj dalej....



Samsung zapatrzył się na iPhone'a? One UI 8.5 przypomina „Liquid Glass” z iOS 26

Czytaj dalej....





Creative Pebble X - systemy głośnikowe z konfigurowalnym oświetleniem RGB i technologią Bluetooth 5.3

SINGAPUR - 14 lutego 2024 r. - Firma Creative Technology przedstawia najnowsze zestawy głośnikowe z serii PEBBLE, Creative Pebble X i Creative Pebble X Plus. Zestawy głośnikowe z serii PEBBLE zostały docenione przez szeroką społeczność związaną z dobrym audio i są inspiracją do tworzenia i ulepszania kolejnych modeli ze wspomnianej linii audio przez firmę Creative. Nowa linia może pochwalić się imponującą mocą 30W w RMS i mocą szczytową do 60W. Oprócz wyjątkowych możliwości dźwiękowych, producent zaimplementował konfigurowalne oświetlenie RGB, dzięki któremu użytkownicy mogą stworzyć wyjątkowy pokaz świetlny połączony z dźwiękiem wydobywającym się z głośników Pebble X i Pebble X Plus. Zestawy głośnikowe skierowane są dla osób lubiących urzekającą estetykę połączoną ze świetną jakością dźwięku.

Pebble X to głośniki w systemie 2.0 posiadające wbudowane pełnozakresowe przetworniki 2,75" i pasywne membrany odpowiedzialne za





wzbogacenie niskich tonów. Zestaw Creative Pebble X Plus wyposażone są dodatkowo w elegancki subwoofer z 3,5" przetwornikiem niskotonowym i dwoma pasywnymi membranami. Głośnik niskotonowy został tak zaprojektowany, aby był na tyle kompaktowy, żeby można go było zmieścić na każdym biurku. Dzięki dodatkowym funkcjom, takim jak Dialog+ i Bass-Flex, głośniki mogą zapewnić mocny bas i krystalicznie czyste dialogi bez utraty głośności. Obydwa modele charakteryzują się kultową konstrukcją gdzie przetworniki pełnozakresowe w satelitach są pochylone względem odsłuchującego o 45° tak jak we wszystkich obecnych i poprzednich wersjach głośników z serii PEBBLE. W Creative Pebble X i Pebble X Plus zastosowano przetworniki, które zostały specjalnie dostrojone by zachować wysoką jakość dźwięku. Zestawy głośnikowe z serii X dostają technologię przetwarzania dźwięku „Clear Dialog”, która ma za zadanie zapewnić czysty wyraźny dźwięk w trakcie oglądania filmów, słuchania muzyki lub korzystania z komunikatorów głosowych.

Za łączność i bezprzewodowe przesyłanie dźwięku odpowiada technologia Bluetooth 5.3. Oprócz trybu bezprzewodowego w zestawach głośnikowych Pebble X znajdziemy uniwersalny port AUX 3,5mm, połączenie cyfrowe USB, za pomocą których możemy podłączyć zestaw głośnikowy do



większości urządzeń multimedialnych. Dla zwiększenia wygody komunikacji w głośnikach zastosowano porty 3,5mm dla mikrofonu i słuchawek.

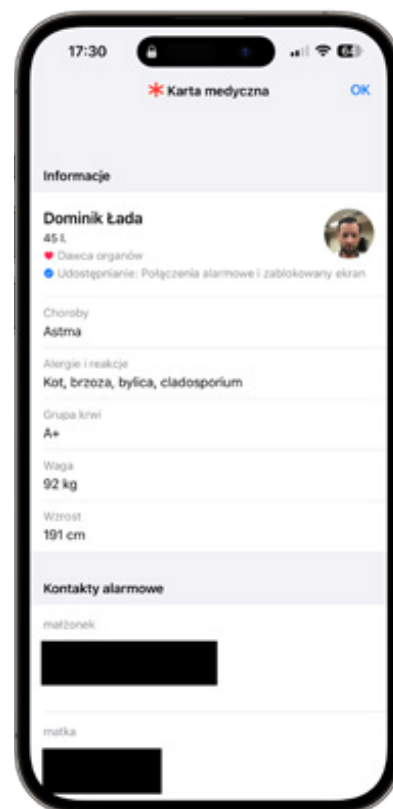
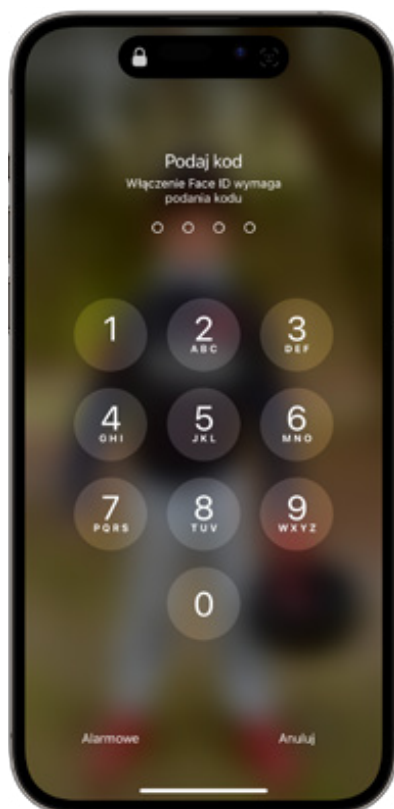
Użytkownicy systemu Windows mogą pobrać dedykowane oprogramowanie dla głośników Pebble X. Aplikacja zapewnia użytkownikom dostęp do rodzimych technologii audio Sound Blaster Acoustic Engine, takich jak Surround, Smart Volume, Bass, Crystallizer i EQ. Użytkownicy mogą także personalizować oświetlenie RGB i inne funkcje za pomocą modułów aplikacji Creative, które są dostępne w systemach Windows, Apple App Store i Google Play Store.

Pomimo niewielkich rozmiarów głośniki te mogą zapewnić użytkownikom moc akustyczną sięgającą 15W w RMS i szczytową do 30W po podłączeniu do portu USB z komputera. Po podłączeniu do zasilacza PD o mocy 30W (lub wyższej)* głośniki zapewniają moc szczytową nawet do 60W.

Ceny i dostępność:

Creative **Pebble X** kosztuje 349zł, natomiast **Pebble X Plus** 489zł i można go zamówić na stronie [Creative.com](https://www.creative.com).

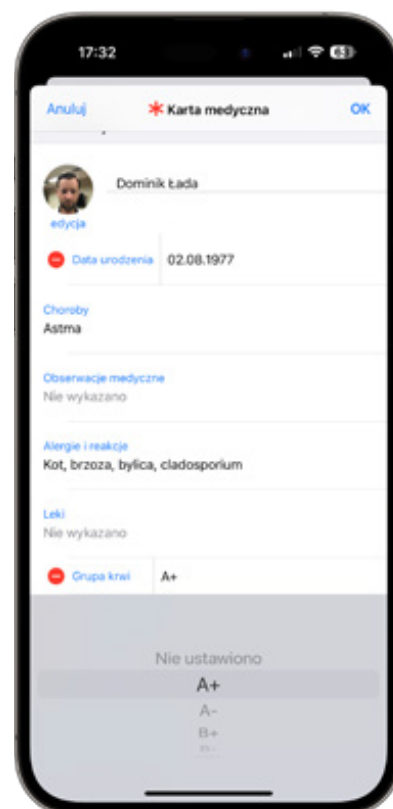




JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

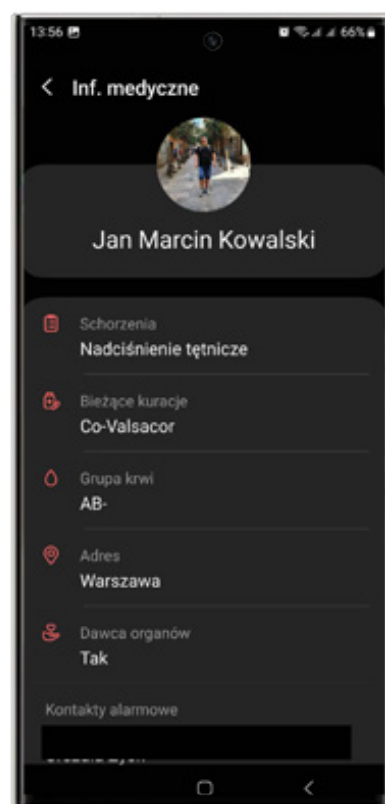


JAK UZUPEŁNIĆ

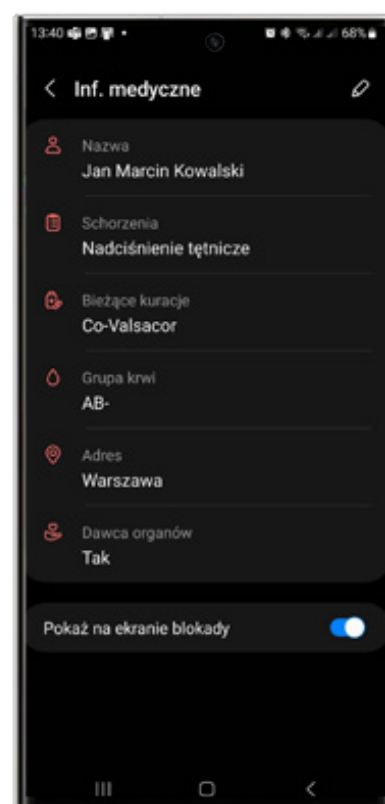
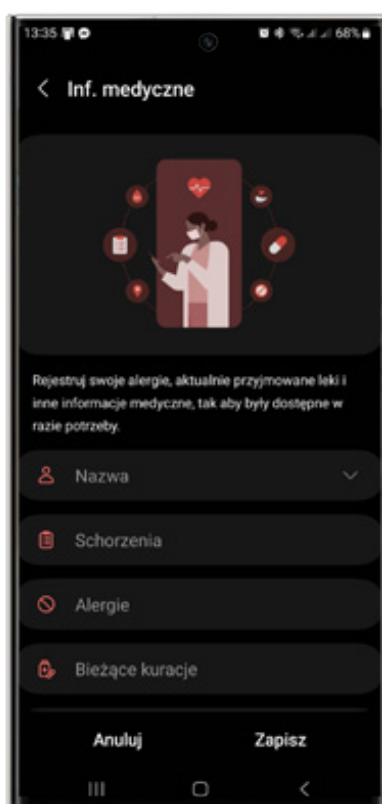
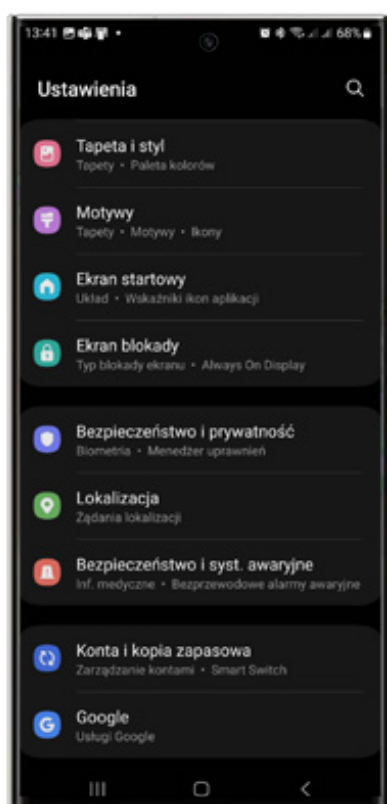


iMAGAZINE

JAK ODCZYTAĆ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU



INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU



SAMSUNG

iMAGAZiNE

JAK UZUPEŁNIĆ

iMAG
AZINE



Obserwuj iMagazine na





MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Wejdź w 2026 bez aplikacji od mediów społecznościowych na telefonie!

A gdybym ci powiedział, że jest jedna rzecz, którą możesz zrobić w tym nowym roku, a która poprawi twoją produktywność, pomoże ci odzyskać jasność umysłu, podniesie twoją samoocenę, zmniejszając przy okazji stany lękowe i do tego poprawi zdolność koncentracji... Tak, możesz poprawić te 5 rzeczy, robiąc tylko jedną. I nie jest to coś, co musisz robić regularnie. Możesz podjąć decyzję raz i po prostu się jej trzymać. Styczeń 2026 to najlepszy moment, żeby to zrobić. Ja zrobiłem to kilka miesięcy temu. Teraz twoja kolej.



Pozbądź się algorytmu mediów społecznościowych

Wszystkie główne sieci społecznościowe są obecnie zarządzane przez algorytmy. Minęły czasy, gdy się obserwowało kilka osób lub marek i otrzymywało treści tylko od nich. Jednym wyjątkiem jest geekowski otwarty protokół społecznościowy Mastodon, ale poza tym Facebook, Instagram, TikTok, Twitter, LinkedIn, Threads... i wszystkie inne sieci serwują ci treści na podstawie algorytmu, który automatycznie decyduje, co utrzyma poziom twojego zaangażowania i sprawi, że będziesz przewijać te aplikacje jak najdłużej.

Wszystkie główne sieci społecznościowe są obecnie zarządzane przez algorytmy. Minęły czasy, gdy się obserwowało kilka osób lub marek i otrzymywało treści tylko od nich. Jednym wyjątkiem jest geekowski otwarty protokół społecznościowy Mastodon...

Tak, możesz spróbować być dzielnym człowiekiem i użyć jak najwięcej siły woli, żeby oprzeć się algorytmowi, ale ostatecznie przegrasz. Inżynierowie z tych firm są zbyt sprytni i wyrafinowani. Nie mamy żadnych szans w tej walce. Ciągłe dostosowują algorytm, żeby upewnić się, że wciąż przegrywamy i wracamy po więcej treści dostosowanych do nas. Jediną realną opcją jest po prostu odpuścić i ograniczyć.

I to właśnie proponuję. Możesz wygrać z algorytmem, nie ulegając mu. Odrzucając go (prawie) całkowicie. Pozbywając się go.

Oto moje wyzwanie na 2026 rok – usuń media społecznościowe z telefonu.

A co z używaniem Screen Time? A co z ograniczaniem czasu?

Celem tego wyzwania jest zmiana twojej relacji z telefonem. Teraz, mając zainstalowane aplikacje społecznościowe, jest on źródłem dopaminy. Dopamina to taki przekaznik przyjemności dla naszego mózgu.



Jak się okazuje, nasz telefon z mediami społecznościowymi staje się teraz uzależniającym kawałkiem technologii, który zawsze masz w kieszeni, gotowy dać ci zastrzyk pustej, krótkotrwałej radości lub niepokoju. To twoje źródło stresu.

Nawet jeśli ustawisz sobie limit Screen Time, zawsze będziesz mógł go obejść. Wiem. Próbowiałem tego. A nawet jeśli pozwolisz komuś innemu ustawić kod Screen Time, będziesz jak narkoman, który pragnie więcej i wymyśla sposoby na obejście limitu. Twój telefon pozostanie twoim źródłem uzależnienia.

Dlatego nie ma innej drogi.

Aplikacje społecznościowe muszą zostać całkowicie usunięte z telefonu i powinno się też wylogować z nich w przeglądarce mobilnej.

A co, jeśli muszę publikować w mediach społecznościowych?

Jeśli naprawdę musisz publikować w mediach społecznościowych w ramach twojej pracy z telefonu, wciąż możesz to skonfigurować. Używam aplikacji Buffer, która pozwala mi publikować od razu lub zaplanować publikację. Mam też skonfigurowanych kilka Skrótów, które pozwalają mi publikować treści w dowolnym momencie. Żaden problem.

To jest ta różnica. Możesz publikować z telefonu, ale nie możesz przeglądać algorytmicznie serwowanych treści. O to chodzi w tym wyzwaniu.

Zaloguj się do mediów społecznościowych w przeglądarce na komputerze

Teraz, jeśli potrzebujesz mediów społecznościowych do pracy, możesz skonfigurować dodatkowy profil w Safari lub Chrome i zalogować się tam do wszystkich swoich kont społecznościowych.

Aplikacje społecznościowe muszą zostać całkowicie usunięte z telefonu i powinno się też wylogować z nich w przeglądarce mobilnej.



Właściwie mam kilka profili w Safari. Na jednym jestem zalogowany do moich prywatnych mediów społecznościowych, na drugim jestem zalogowany do oficjalnych kanałów Nozbe. I używam mediów społecznościowych tylko wtedy, gdy jestem przy komputerze w przeglądarce. W ten sposób mogę zaplanować czas na interakcję z obserwującymi, sprawdzić odpowiedzi i sprawdzić posty.

Media społecznościowe to wciąż coś, co robię, ale jako część mojej pracy. Nie jako część mojego uzależnienia od telefonu jako źródło dopaminy.

Na moim telefonie nie ma algorytmu. Kiedy go podnoszę, mogę kontynuować czytanie książki lub nadrobić zaległości na blogach moich ulubionych blogerów. Albo obejrzeć najnowszy film mojego ulubionego YouTubera bez wszystkich sugerowanych filmów pod spodem.

Jak wiesz, moim głównym komputerem jest iPad Pro M4, bo jestem #iPadOnly, więc używam na nim Stage Managera i mam wszystkie aplikacje społecznościowe na jednej oddzielnej scenie. W ten sposób, gdy muszę „robić pracę w mediach społecznościowych”, mogę przełączyć się na tę scenę i wchodzić w interakcje z aplikacjami. Później mogę po prostu zmienić sceny i wrócić do pracy. Przy okazji na dużym ekranie iPada te aplikacje świetnie wyglądają obok siebie, bo każda z nich jest przystosowana do wymiaru telefonu.

Spraw, żeby twój telefon znów był nudny... i kreatywny!

Przestawiłem mój ekran główny tak, żeby mieć tam aplikacje takie jak Kindle (do książek) czy Reeder (do subskrypcji blogów lub innych treści w formacie RSS).

Dzięki temu czytam książki na Kindle i czytam długie treści, takie jak blogi lub oglądam filmy na YouTube, subskrybując je przez RSS w aplikacji Reeder.

Na moim telefonie nie ma algorytmu. Kiedy go podnoszę, mogę kontynuować czytanie książki lub nadrobić zaległości na blogach moich ulubionych blogerów. Albo obejrzeć najnowszy film mojego ulubionego YouTubera bez



Więc dzisiaj, pisząc te słowa, postanowiłem również usunąć aplikację Ivory (której używam do Mastodona) z mojego iPhone'a i zostawić ją tylko na iPadzie, żebym mógł ją sprawdzać, kiedy zdecyduję się robić rzeczy związane z mediami społecznościowymi.

wszystkich sugerowanych filmów pod spodem. Albo słucham audiobooków lub podcastów na nim z moimi nowymi AirPods Pro 3.

Mój telefon jest wciąż interesujący. Tylko mniej. Jest bardziej... nudny.

Korzyści z aplikacji Kindle – urządzenie Kindle przed snem!

Posiadanie aplikacji Kindle na telefonie nie tylko zmieniło moją relację z nim, ale także poprawiło moją rutynę zasypiania. Teraz, zamiast przeglądać telefon przed zaśnięciem, co nie jest dla mnie zdrowe, po prostu używam telefonu do pisania wieczornego dziennika i odkładam go na ładowarkę MagSafe.

Żadnego przeglądania mediów społecznościowych, żadnego czytania wiadomości, żadnych zastrzyków dopaminy.

Podnoszę moje urządzenie Kindle, które jest prostym czytnikiem e-booków i czytam książkę na czarno-białym ekranie e-ink, a kiedy zauważam, że oczy mi się kleją, odkładam je na bok i odpływam.

Mastodon jako wyjątek? Może, ale może nie...

Do dziś jedyną siecią społecznościową, którą wciąż miałem zainstalowaną na telefonie, był Mastodon, ponieważ jest to staromodna sieć społecznościowa oparta na osi czasu. Obserwuję ludzi i kiedy publikują coś, widzę to w kolejności chronologicznej. Nie ma algorytmu.

Jednak zauważyłem, że wciąż było to dla mnie swoistym źródłem zastrzyku dopaminy. Ludzie, których obserwuję, publikują wiadomości. Publikują komentarze o bieżących wydarzeniach. Wciągają się. Emocjonują się.



Więc dzisiaj, pisząc te słowa, postanowiłem również usunąć aplikację Ivory (której używam do Mastodona) z mojego iPhone'a i zostawić ją tylko na iPadzie, żebym mógł ją sprawdzać, kiedy zdecyduję się robić rzeczy związane z mediami społecznościowymi.

Korzyści z usunięcia mediów społecznościowych z telefonu...

Jak wspomniałem na początku tego artykułu, nie próbuję nakłonić cię do usunięcia mediów społecznościowych z telefonu, bo chcę, żebyś został mnichem zen. Jest 5 rzeczywistych korzyści z takiego podejścia:

- Poprawi to twoją produktywność, ponieważ znajdziesz bardziej kreatywne sposoby używania telefonu niż tylko jako urządzenia dostarczającego zastrzyk dopaminy.
- Pomoże ci odzyskać jasność umysłu, ponieważ będziesz bardziej świadomie podnosić telefon, żeby wykonać określone zadanie, a nie tylko żeby się rozpraszać.
- Podniesie twoją samoocenę, ponieważ nie będziesz tracić czasu na śledzenie życia innych ludzi i użalać się nad sobą, myśląc, że to, co robisz, jest mniej ekscytujące.
- Zmniejszy twój niepokój, ponieważ nie pozwolisz się już bombardować wszystkimi wiadomościami z całego świata przez cały czas.
- I wreszcie, poprawi twoją zdolność koncentracji, ponieważ nie będziesz bezmyślnie przewijać krótkich informacji, ale przejdiesz na czytanie i konsumpcję długich i bardziej ambitnych treści.

Serio, nie brzmi to ciekawie?

Zachęcam cię, aby wprowadzić tę zmianę. Usuń media społecznościowe z telefonu na 2026 rok jako eksperyment i sprawdź, jak się poczujesz i czy korzyści, o których wspominam, się zmaterializują.

Jeśli ja cię nie przekonałem, posłuchaj Cala Newporta, autora bestsellera „Deep Work”, który głosi dokładnie to samo.

Usunąłem media społecznościowe z mojego iPhone'a. A ty?



 argon[®]LAMPY



OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA [SKLEP.ARGON-LAMPY.PL](https://sklep.argon-lampy.pl)



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Lifestyle

Elves Eglath ARX — jeden rower, wszystkie drogi

Oczekiwanie dobiegło końca — nowa generacja endurance/all-road od Elves debiutuje właśnie teraz. Eglath ARX to ewolucja modelu Pro, zaprojektowana w kierunku maksymalnej wszechstronności: rower szybki na asfalcie, stabilny na szutrze i pewny w każdych warunkach pomiędzy jednym a drugim.

Geometria balansuje pomiędzy efektywnością a komfortem, zachowując świetną stabilność przy wysokich prędkościach. Prześwit na opony 700×38C pozwala wjechać tam, gdzie asfalt się kończy — bez utraty dynamiki. Carbonowa konstrukcja, wysoka sztywność i opcja darmowego malowania custom to już znak rozpoznawczy Elves.

Cena ramy wyniesie ok. £825 / €945 / \$1100, a kierownicę można dokupić z 50% zniżką albo otrzymać bezpłatnie przy zakupie kół. Jeśli w garażu ma stać tylko jeden rower — to właśnie ten powinien tam trafić.

Więcej informacji na stronie [sklepu Elves Bikes Polska](#)





Lucent Stellar Gentle Teeth Whitening Kit - zestaw do wybielania zębów

Stellar to zestaw wybielający, który działa maksymalnie delikatnie, a jednocześnie daje efekt spektakularnego rozświetlenia zębów. Formuła PAP+ - w przeciwieństwie do innych substancji wybielających - jest całkowicie pozbawiona nadtlenków i nie wywołuje nadwrażliwości, a wybielanie odbywa się bez pieczenia czy dyskomfortu. To technologia stworzona z myślą o codziennym bezpieczeństwie szkliwa – pozwala uzyskać jaśniejszy uśmiech w sposób spokojny, kontrolowany i wyjątkowo komfortowy. Idealna opcja dla osób, które chcą efektów premium bez ostrych metod.

Cena: 359 PLN

Do kupienia w [iSpot.pl](https://www.ispot.pl)



Decoded Leather AirCase Pro 3 – luksus dla Twoich AirPodsów

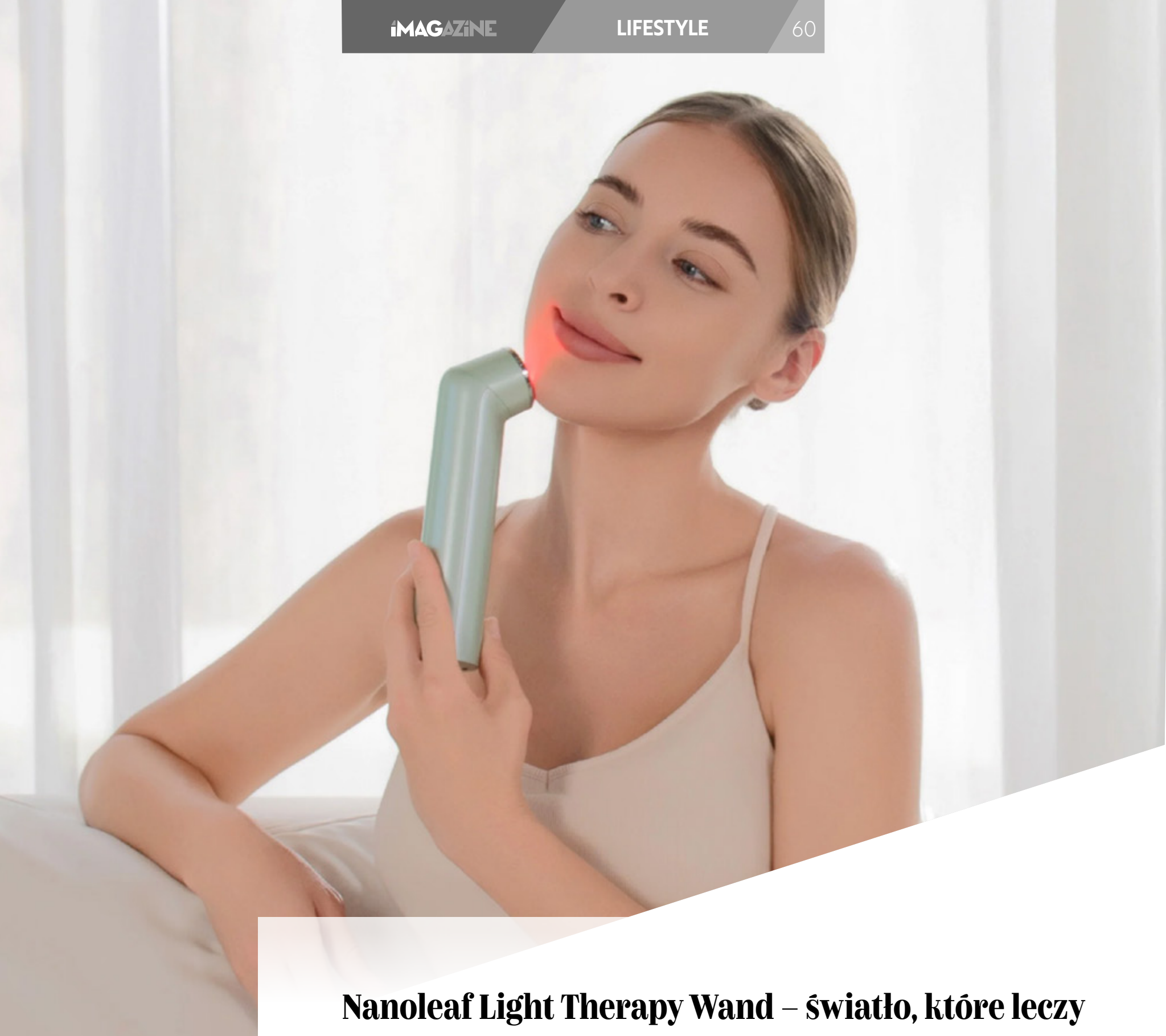
Decoded Leather AirCase Pro 3 to etui klasy premium dla AirPods Pro (3. generacji), wykonane z naturalnej skóry pełnoziarnistej od renomowanej garbarni ECCO. Stylowy, minimalistyczny design skrywa solidną ochronę – obudowa jest odporna na zarysowania, kompatybilna z MagSafe i wspiera ładowanie bezprzewodowe.

Miękka mikrofibra wewnątrz chroni słuchawki, a precyzyjne wycięcia zapewniają pełen dostęp do diody i portów. Etui dla tych, którzy chcą czegoś więcej niż plastiku.

Cena: 150 PLN

Do kupienia w [MediaExpert](#)





Nanoleaf Light Therapy Wand – światło, które leczy

Nanoleaf Light Therapy Wand to przenośna, elegancka „różdżka” do terapii światłem, łącząca technologię LED z minimalistycznym designem. Urządzenie wykorzystuje światło czerwone i bliską podczerwień (NIR), aby wspomagać regenerację skóry, zmniejszać stany zapalne i poprawiać mikrokążenie – bezboleśnie i bezinwazyjnie.

Dzięki kompaktowej formie możesz korzystać z terapii światłem gdziekolwiek: w domu, w biurze czy w podróży. Wystarczy kilka minut dziennie, by zauważyć różnicę.

Cena: 449 PLN

Do kupienia w [iSpot.pl](https://www.ispot.pl)



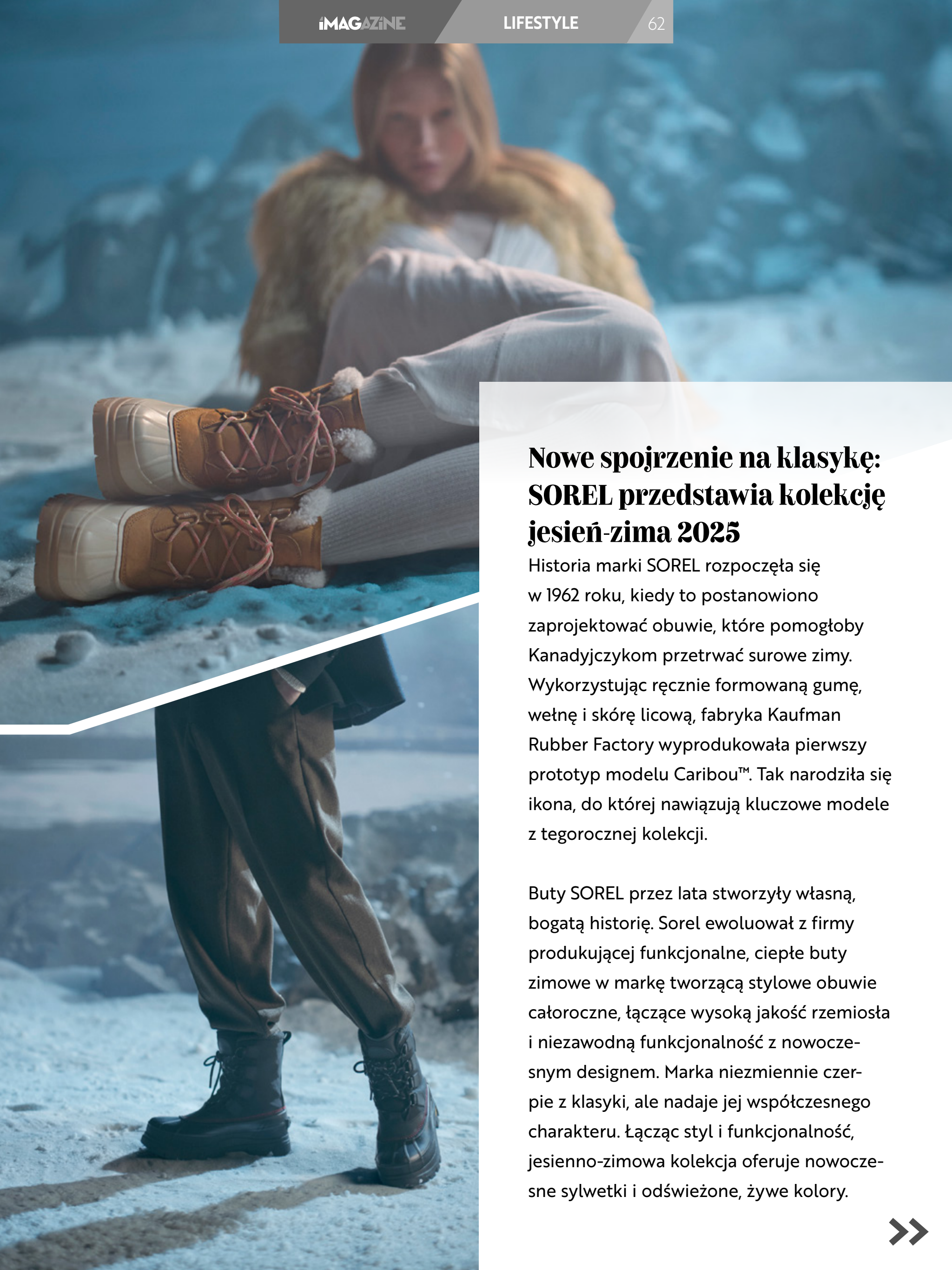
iGPSPORT × Groupama–FDJ – nowa era technologii w profesjonalnym kolarstwie

Marka iGPSPORT, specjalizująca się w komputerach rowerowych i smart akcesoriach dla kolarzy, ogłosiła strategiczne partnerstwo z francuskim zespołem Groupama–FDJ. To ważny krok – iGPSPORT po raz pierwszy oficjalnie wchodzi do świata wielkich tourów, oferując swoje rozwiązania technologiczne na najwyższym poziomie wyścigów szosowych.

Partnerstwo z tak renomowanym zespołem to nie tylko potwierdzenie jakości iGPSPORT, ale też zapowiedź nowych rozwiązań dla zawodowego peletonu – od zaawansowanych liczników GPS po integrację danych treningowych w czasie rzeczywistym.

Debiut w Wielkich Tourach już w sezonie 2026.





Nowe spojrzenie na klasykę: SOREL przedstawia kolekcję jesień-zima 2025

Historia marki SOREL rozpoczęła się w 1962 roku, kiedy to postanowiono zaprojektować obuwie, które pomogłoby Kanadyjczykom przetrwać surowe zimy. Wykorzystując ręcznie formowaną gumę, wełnę i skórę licową, fabryka Kaufman Rubber Factory wyprodukowała pierwszy prototyp modelu Caribou™. Tak narodziła się ikona, do której nawiązują kluczowe modele z tegorocznej kolekcji.

Buty SOREL przez lata stworzyły własną, bogatą historię. Sorel ewoluował z firmy produkującej funkcjonalne, ciepłe buty zimowe w markę tworzącą stylowe obuwie całoroczne, łączące wysoką jakość rzemiosła i niezawodną funkcjonalność z nowoczesnym designem. Marka niezmiennie czerpie z klasyki, ale nadaje jej współczesnego charakteru. Łącząc styl i funkcjonalność, jesienno-zimowa kolekcja oferuje nowoczesne sylwetki i odświeżone, żywe kolory.



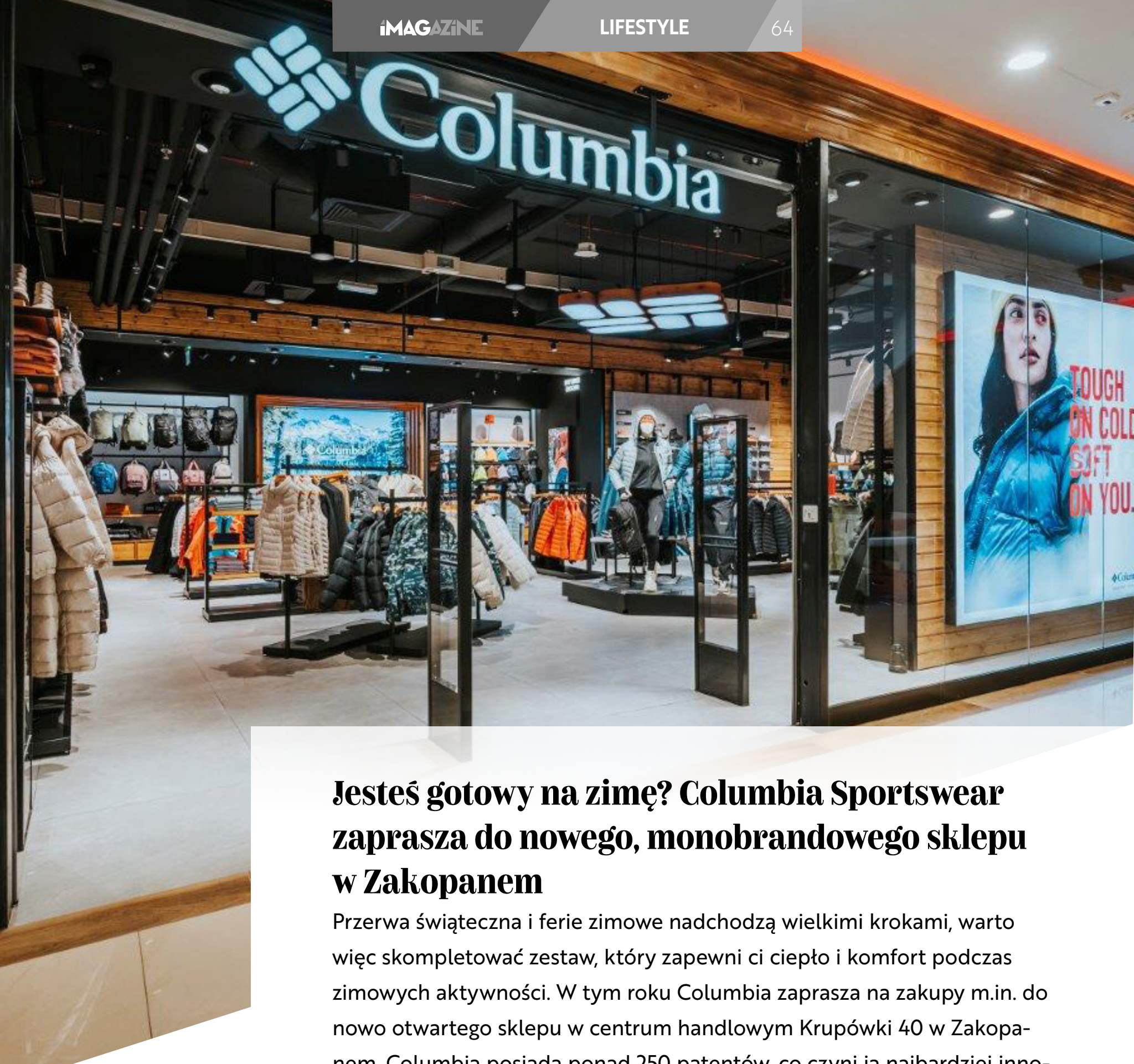
Zima w Tyrolu jak z bajki - odkryj jej najpiękniejsze oblicza

Zima w Tyrolu to coś więcej niż tylko narty. To kraina światła, natury i zimowej magii, która tej zimy dosłownie łśni zachwytem. Pierwszy śnieg zamienia alpejski krajobraz w bajkową scenografię, a region przygotował wyjątkowe atrakcje, które urzekają nie tylko widokami.

Zimowe, tyrolskie wieczory rozświetla Lumagica - artystyczne instalacje świetlne, które zamieniają parki i średniowieczne ruiny w bajkową scenerię, idealną na rodzinny spacer wśród migoczących iluminacji. Z kolei zimowe jeziora zamieniają się w naturalne lodowiska, gdzie jazda na łyżwach w promieniach słońca staje się prawdziwie magicznym przeżyciem. W Tyrolu magia nie kończy się jednak wraz z zachodem słońca. Zimowe noce zachęcają do obserwacji nieba - w igloo w dolinie Ötztal, na platformie widokowej Hotelu Stern czy podczas księżycowych pikników.

To wszystko sprawia, że Tyrol jest idealną propozycją na zimowy wyjazd - pełen niezwykłych wrażeń, światła i alpejskiej atmosfery, której nie da się pomylić z żadnym innym miejscem!





Jesteś gotowy na zimę? Columbia Sportswear zaprasza do nowego, monobrandowego sklepu w Zakopanem

Przerwa świąteczna i ferie zimowe nadchodzą wielkimi krokami, warto więc skompletować zestaw, który zapewni ci ciepło i komfort podczas zimowych aktywności. W tym roku Columbia zaprasza na zakupy m.in. do nowo otwartego sklepu w centrum handlowym Krupówki 40 w Zakopanem. Columbia posiada ponad 250 patentów, co czyni ją najbardziej innowacyjną marką w branży outdoorowej. Tej zimy innowacyjne technologie Columbii zapewniają wydajność, komfort termiczny, ochronę i stylowy wygląd w szerokiej ofercie zawierającej m. in. kolekcje hike, narciarską, skitourową i lifestyle. Sklep w centrum handlowym Krupówki 40, o łącznej powierzchni 160 m² oferuje szeroki asortyment Columbii i stwarza możliwość doświadczenia marki w sposób, który multibrandowe placówki oferują w bardzo ograniczonym wymiarze. Klienci poszukujący odzieży, butów i akcesoriów niezbędnych podczas outdoorowych aktywności, znajdą w nim produkty z kolekcji jesień-zima 2025, wykorzystujące m.in. innowacyjne technologie, chroniące przed niskimi temperaturami.



Kurtka puchowa Helly Hansen Odin Everdown Hooded Jacket

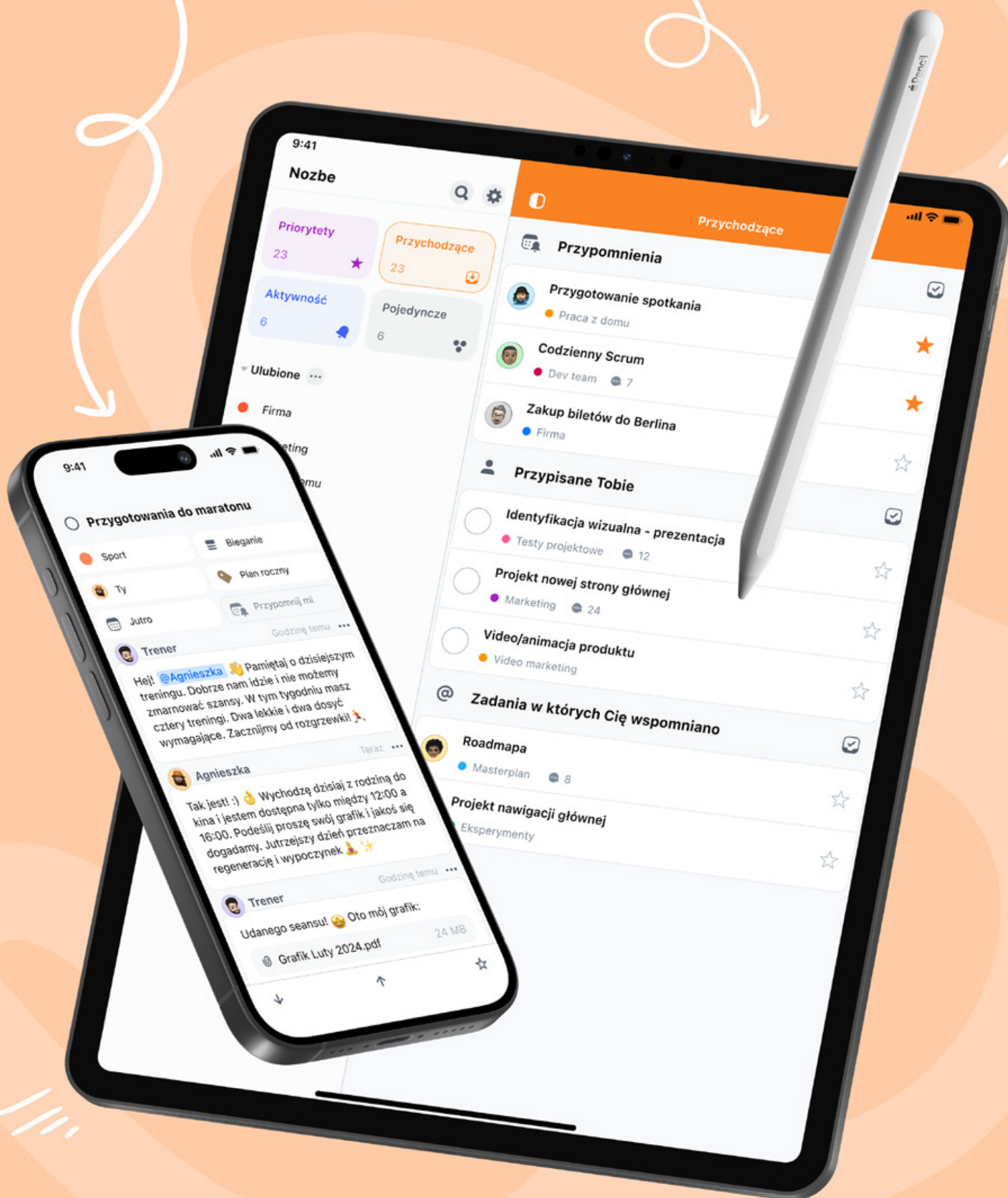
Lekka, a zarazem niezwykle ciepła kurtka puchowa dostępna jest w wersji damskiej, jak i męskiej. W tej kurtce wypełnienie z naturalnego puchu zostało utrwalone wewnętrznym rusztowaniem z nici syntetycznej - przez co puch zawsze pozostaje w miejscu - bez konieczności pikowania kurtki od zewnątrz! Puch zapewnia doskonałą izolację, a także długie użytkowanie, natomiast nowoczesna konstrukcja gwarantuje komfort w trakcie każdej pogody. Elastyczne mankiety i dół kurtki pozwalają lepiej dopasować się do sylwetki, ograniczają ucieczkę ciepła i dobrze chronią przed wiatrem. Odzież świetnie sprawdzi się podczas zimowych wypraw, trekkingów, podróży w chłodne klimaty, ale też jako codzienna kurtka na mroźne dni spędzone w mieście. To prezent, który zostanie z obdarowanym na lata i posłuży mu w trudnych warunkach, jednocześnie wyglądając naprawdę stylowo.

Cena: 2100 PLN

Do kupienia w Helly Hansen



Zorganizuj swoje życie prywatne i zawodowe





ANIA GABRYŚ
@ania13

Proweniencja, głupcze!

Jak nie dać się oszukać sztucznej inteligencji

W epoce, gdy sztuczna inteligencja tworzy sztukę – obrazy, teksty i muzykę, pytanie o pochodzenie każdego obiektu, wirtualnego czy nie, staje się nie tylko techniczne, lecz etyczne. Tylko w ten sposób można zbudować zaufanie, które staje się równie cenne jak waluta – ale czy etykieta „AI-generated” wystarczy, by odbiorca poczuł się bezpiecznie?

Rodowód w erze algorytmów

Proweniencja, czyli po prostu rodowód, jest pojęciem odmiennym w świecie muzealników i historyków sztuki przez wszystkie przypadki. Pochodzenie obiektu, jego losy – kto komu go przekazał, kto go nabył za grosze na pchlim targu, a kto po prostu zrabował, jak trafił na aukcję, jak znalazł się w kolekcji prywatnej czy publicznej... Każde dzieło sztuki ma ściśle udokumentowaną proveniencję, bo inaczej traci na wartości, jeśli nie umiemy udowodnić, przez jakie ręce przeszło. To świadczy bowiem o autentyczności dzieła. Jak pisałam równo cztery lata temu **w styczniowym numerze iMaga z 2022 roku** – „dzieło o nieustalonej lub niepewnej proveniencji nie jest dobrą lokatą kapitału, bo nie wiadomo kto, kiedy i w jaki sposób może sobie do niego rościć prawa”. Dodam, że nie wiadomo kto i kiedy to dzieło stworzył – i tu przywołam największą wtopę ostatnich lat, czyli sprzedaż na aukcji obrazu „Zbawiciel świata”, mimo wielu wątpliwości co do między innymi proveniencji. Krótko mówiąc, idąc wstecz po śladach tego dzieła, nie dochodziło się do Leonardo da Vinci.

Każde dzieło sztuki ma ściśle udokumentowaną proveniencję, bo inaczej traci na wartości, jeśli nie umiemy udowodnić, przez jakie ręce przeszło.



Do tego tradycyjnego traktowania proveniencji i badań nad nią doszedł w ostatnich latach nowy wymiar i nowe znaczenie: otóż to sztuczna inteligencja „tworzy” sztukę. Źle. Napiszę to inaczej: dzisiaj to algorytm generuje obrazy, teksty czy muzykę. Czy mają one swój rodowód? Jaki? Kto i gdzie go może zapisać i, najważniejsze, jak go sprawdzimy?

Problem leży niestety w tym, że odnosi się nie tylko do sztuki i obiektów muzealnych, ale do... wszystkiego. Mam na myśli dezinformację, deepfake, manipulację obrazem i słowem, z którymi mamy do czynienia w codziennym życiu.

Debata globalna: regulacje jako fundament zaufania

Na całym świecie trwa debata i próba regulacji w odpowiedzi na zalew kontentu generowanego przez AI. W USA ma powstać **Federal AI Governance and Transparency Act**, który wprowadzi zasady przejrzystości i nadzoru co do wytworów AI w administracji publicznej, a już funkcjonują wytyczne, czyli AI Bill of Rights. **W Chinach od 1 września 2025 roku obowiązuje stosowanie etykiet jawnych i ukrytych.** Te pierwsze wymuszają widoczne dla odbiorców oznaczenia w obiektach, a te drugie zakładają zamieszczenie w metadanych obiektu informacji o jego pochodzeniu i identyfikatorze treści. W Unii Europejskiej efektem trwających aktualnie prac będzie wdrożony w 2026 roku **Kodeks postępowania**

dotyczący oznaczania i etykietowania treści generowanych przez sztuczną inteligencję. Wygląda na najbardziej rygorystyczne regulacje na świecie. Ma wspierać realizację obowiązków przejrzystości wynikających z **art. 50. Aktu o Sztucznej Inteligencji (AI Act)**. Jego celem jest obowiązkowe oznaczanie treści generowanych przez algorytmy w sposób jasny i zrozumiały dla odbiorców.

Takie regulacje wprowadzające etykiety pojawiają się na całym świecie. Transparentność ma budować zaufanie, etykieta jest tarczą chroniącą społeczeństwa w tej nierównej walce, w której każdy człowiek na prywatnym telefonie może stworzyć контент uchodzący za prawdziwy.

W Unii Europejskiej efektem trwających aktualnie prac będzie wdrożony w 2026 roku Kodeks postępowania dotyczący oznaczania i etykietowania treści generowanych przez sztuczną inteligencję. Wygląda na najbardziej rygorystyczne regulacje na świecie.



C2PA i Content Credentials – cyfrowa karta katalogowa

Jak to zrobić? Jak budować zaufanie wokół obiektów? Muzealnicy wiedzą doskonale, jak to powinno być zorganizowane. Z ich doświadczeń niewątpliwie korzystała Coalition for Content Provenance and Authenticity, która proponuje zestaw metadanych, mających za zadanie udokumentować proces powstawania danego obiektu. **Standard C2PA** tejże koalicji jest żywcem przeniesiony z sal, po których niedawno jeszcze chodziło się w filcowych kapciach. Kto, kiedy, z wykorzystaniem jakiego narzędzia, historia edycji... Jest to nic innego jak karta katalogowa, jaką znamy z... bingo! Muzeów! Znajdujemy w niej całą historię danego wirtualnego artefaktu, czyli jego proveniencję. A wszystko to dzięki jednemu kliknięciu ikony „Content Credentials”, gdzie pierwszą informacją jest to, kto jest autorem: człowiek czy jakakolwiek forma AI.

Standard C2PA tejże koalicji jest żywcem przeniesiony z sal, po których niedawno jeszcze chodziło się w filcowych kapciach. Kto, kiedy, z wykorzystaniem jakiego narzędzia, historia edycji... Jest to nic innego jak karta katalogowa, jaką znamy z... bingo! Muzeów!

Content Credentials jako współczesny storytelling

No ale właśnie, kto jest autorem, zapytajmy jak nabywca wspomnianego „Salvatora Mundi”? Jeśli człowiek, to choć nie zawsze znamy jego tożsamość, mamy jednak pewność, że obiekt jest efektem ludzkiej kreatywności. W przypadku treści generowanych przez algorytmy autorem jest algorytm? Autor prompta, na podstawie którego powstały te treści? A może twórca modelu czy firma, która model wytrenowała? A może elektrownia, która zasila maszyny, na których powstają te treści?

Te wszystkie informacje (może poza elektrownią, to trochę mój żart, choć...) można będzie znaleźć w Content Credentials. Co zyskamy? Nie



Nie mamy wyjścia, sami musimy się nauczyć i szerzyć wiedzę, jak sprawdzać jakiegokolwiek treści znalezione w internecie. „Sprawdzam” powinno być codzienną mantrą każdego z nas.

tylko pewność, że mamy do czynienia z wytworem maszyny, ale także swoistą opowieść, poznamy nazwisko autora prompta, datę wygenerowania, może miejsce wygenerowania? Czy ważne jest dla podziwiającego obrazy van Gogha w sterylnych muzeach świata, w jakich warunkach te dzieła powstały? Chyba ważne, o czym świadczy popularność biopików... Wyobrażam sobie, że podobnie w przypadku szczególnie udanych obiektów powstałych z udziałem AI dla odbiorców może to być ciekawe. Niektórzy nad klawiaturami ciągle widzą tysięcych facetów w flanelowych koszulach, tymczasem rzeczywistość może być inna. Jej ujawnienie wzmacnia fundamenty zaufania.

Edukacja cyfrowa, głupcze!

Wyobraźmy sobie, że mamy już te regulacje, mamy etykiety, każdy obiekt napotkany w internecie możemy zidentyfikować. W teorii, bo jak do tego podejść odbiorcy? Niestety, pewnie tak samo jak do wielu innych falsyfikatów w przeszłości, by wspomnieć choćby liczne fikcyjne żywoty świętych fabrykowane w celach propagandowych w średniowieczu albo niestawne „Protokoły Mędrców Syjonu”, które do dzisiaj (ponad 100 lat od ich produkcji przez rosyjskie służby!) są pożywką dla tych, którym nie chce się powiedzieć „sprawdzam”. Obraz, zanim trafi na ściany w muzeum, jest weryfikowany przez grono specjalistów, a i tak mamy do czynienia z wieloma wpadkami w stylu „Salvatora Mundi”.

Nie mamy wyjścia, sami musimy się nauczyć i szerzyć wiedzę, jak sprawdzać jakiegokolwiek treści znalezione w internecie. „Sprawdzam” powinno być codzienną mantrą każdego z nas. Stwierdzenie pochodzenia ma być naszą nadzieją na budowanie społecznego zaufania. Sprawdzajcie!



Jaki rower
wybrać,
by bezpiecznie
przewozić
małe dziecko?

1/2



www.roweremzdziekiem.pl



2/3

Jak przygotować
rower do
przewozu dzieci?

#bikewithkids   

3/3

Jak jeździć
z dzieckiem na
rowerze?





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

CMF Headphone Pro

– wyróżnij się

W ubiegłym roku na rynku pojawiło się wyjątkowo wiele udanych modeli słuchawek nausznych, oferujących już nie tylko dobrą jakość i wygodę obsługi, ale też świetną cenę. CMF Headphone Pro mają to wszystko, a przy tym oferują niezwykle wygodne sterowanie muzyką.





Należąca do Nothing marka CMF pozycjonowana jest nieco niżej: mają to być produkty przystępne cenowo, ale oferujące przy tym nie tylko podstawowe, ale i unikalne funkcje. Testowany model ma bardzo ładny, choć prosty design, łączący błyszczące obudowy nauszników z aluminiowym pałakiem i skórą syntetyczną, pokrywającą pozostałe powierzchnie. Ten ostatni materiał wydaje się dość delikatny, jest jednak przyjemny w dotyku. Próżno szukać tu elementów ozdobnych, te są jednak zbędne, konstrukcja ma bowiem bardzo dobre proporcje i kolorystykę. To zresztą jeden z wyróżniających Headphone Pro elementów: dostępne są w trzech podstawowych kolorach, ale można domówić do nich inne poduszki nauszników, dowolnie je miksując. Rzadko kiedy słuchawki nauszne dają tak szerokie możliwości personalizacji swojego wyglądu. W komplecie dostajemy worek



do przechowywania oraz kabel mini Jack (3,5 mm) o długości 1,2 m. Przydaje się zwłaszcza wtedy, gdy korzystamy ze słuchawek z konsolami, które nie zawsze lubią się ze sprzętem Bluetooth.

To, jak w Headphone Pro rozwiązano sterowanie, zasługuje na uwagę. Wszystkie elementy sterujące umieszczono na krawędziach nauszników, są dobrze wyczuwalne pod kciukiem. Do włączania służy okrągły przycisk po lewej stronie, długie przytrzymanie go uruchamia parowanie. Nad nim umieszczono programowalny suwak, domyślnie regulujący podbicie basu. To prosty, a świetny pomysł, Headphone Pro mogą trafić tak do odbiorcy słuchającego zróżnicowanych gatunków, w których podbicie niskich tonów na zmianę jest bądź nie jest potrzebne. Alternatywnie suwak może regulować wysokie tony i tu również widzę dla niego zastosowanie. Oglądając polskie produkcje filmowe, regularnie zmieniam korekcję dźwięku, by słyszeć dialogi, suwak załatwia ten problem lepiej niż napisy.





Na prawym nauszniku mamy kolejny przycisk, tym razem do sterowania mikrofonem, dźwiękiem przestrzennym, asystentem głosowym lub ANC. Każdą z tych funkcji można przypisać do krótkiego wciśnięcia lub przytrzymania przycisku. No i jest jeszcze rolka, której obracanie zmienia głośność, a wciskanie steruje odtwarzaniem. Ma bardzo dobrze wyczuwalne kliknięcie i jest w idealnym miejscu, a do tego w ogóle nie słychać jej podczas odtwarzania.

Prócz wygodnego sterowania, słuchawki mają też sporo przydatnych funkcji. Nie zabrakło naprawdę dobrego ANC oraz trybu ambient, a także funkcji dźwięku przestrzennego. Do dyspozycji mamy tryb koncertowy oraz teatralny, oba poszerzają scenę, ale dość mocno ingerują też w brzmienie.

Rzadko kiedy słuchawki nauszne dają tak szerokie możliwości personalizacji swojego wyglądu.



Sam postanowiłem z niego nie korzystać, właśnie z uwagi na to, w jaki sposób zmieniają dźwięk. Nie brakuje rozbudowanego korektora graficznego oraz możliwości personalizacji dźwięku. Jest też tryb niskich opóźnień oraz łączenie się z dwoma źródłami naraz. Jak na tę półkę, jest to wręcz imponujący zestaw funkcji. Równie dobre wrażenie robi bateria, która wytrzymuje nawet 100 godzin, choć pod pewnymi warunkami. Czas ten osiągalny jest przy korzystaniu z kodeka AAC (iPhone nie daje w tej sytuacji żadnego wyboru i właśnie z niego korzysta) oraz po wyłączeniu ANC. Uruchomienie tej funkcji skraca ten czas o połowę, co wciąż jest świetnym wynikiem. W przypadku korzystania z kodeka LDAC czas ten wynosi





odpowiednio 70 i 38 godzin. Do ładowania wykorzystywany jest port USB, pozwalający w 5 minut zyskać energię na nawet 8 godzin pracy (o ile nie używamy ANC).

Za dźwięk odpowiadają spore, 40-milimetrowe, kompozytowe przetworniki o niklowanej powierzchni. Słuchawki obsługują kodeki SBC, AAC oraz LDAC. Ten ostatni pozwala na transmisję dźwięku w wysokiej jakości, niemniej nie jestem pewien, czy kodek ten jest niezbędny akurat w tych słuchawkach. Ogólnie Headphone Pro brzmią dobrze – mają porządną separację i niezły poziom detali, zwłaszcza na środku, uważam jednak, że w przypadku wysokich tonów słychać stosunkowo niewiele niuansów. Są słyszalne, nie czuć tu jakichś braków, ale też nie da się ich przesadnie analizować. Środek dobrze wyeksponowano, wychodzi na pierwszy plan kosztem góry. Dół bez podbicia jest bardzo przyjemny, uderza raczej miękko, po podkręceniu go staje się wyraźniejszy, ale nie dominuje w brzmieniu, póki nie przekroczymy połowy skali suwaka. Ogółem, dźwięk generowany przez Headphone Pro jest satysfakcjonujący, wyraźnie ocieplony,



To, jak w Headphone Pro rozwiązano sterowanie, zasługuje na uwagę.

a jednocześnie na tyle szczegółowy, że poradzi sobie z każdym gatunkiem muzyki. Nie należy nastawiać się jednak, że będziemy mogli tu skupić się na analizie utworu – to nie ten poziom zaawansowania konstrukcji.

CMF Headphone Pro to kolejne udane słuchawki od Nothing. Ponownie udało się osiągnąć kompromis pomiędzy ceną i możliwościami. Te robią wrażenie, bo prócz solidnego brzmienia dostajemy też dobre ANC i tryb ambient, komfortowe sterowanie i bardzo wytrzymałą baterię. Do codziennego słuchania muzyki w tle nadają się idealnie.

CMF Headphone Pro



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- przemyślane, wygodne sterowanie
- bardzo długa praca na baterii
- wygoda noszenia

– Minusy:

- przeciętny dźwięk przestrzenny

Cena: około 460 PLN



VIVO X  00 PRO

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDn](#)

Weekend z Vivo X300 Pro w Stambule w Turcji vs iPhone 17 Pro

Do testów wjechał Vivo X300 Pro z unikalnym zestawem aparatów. Zrobiłem jedyną logiczną rzecz i wsiadłem do samolotu, aby sprawdzić, jak spisują się one w ciut ładniejszej scenerii niż w obecnej, jakże polskiej, aurze. Przy okazji porównuję też zdjęcia do iPhone'a 17 Pro.



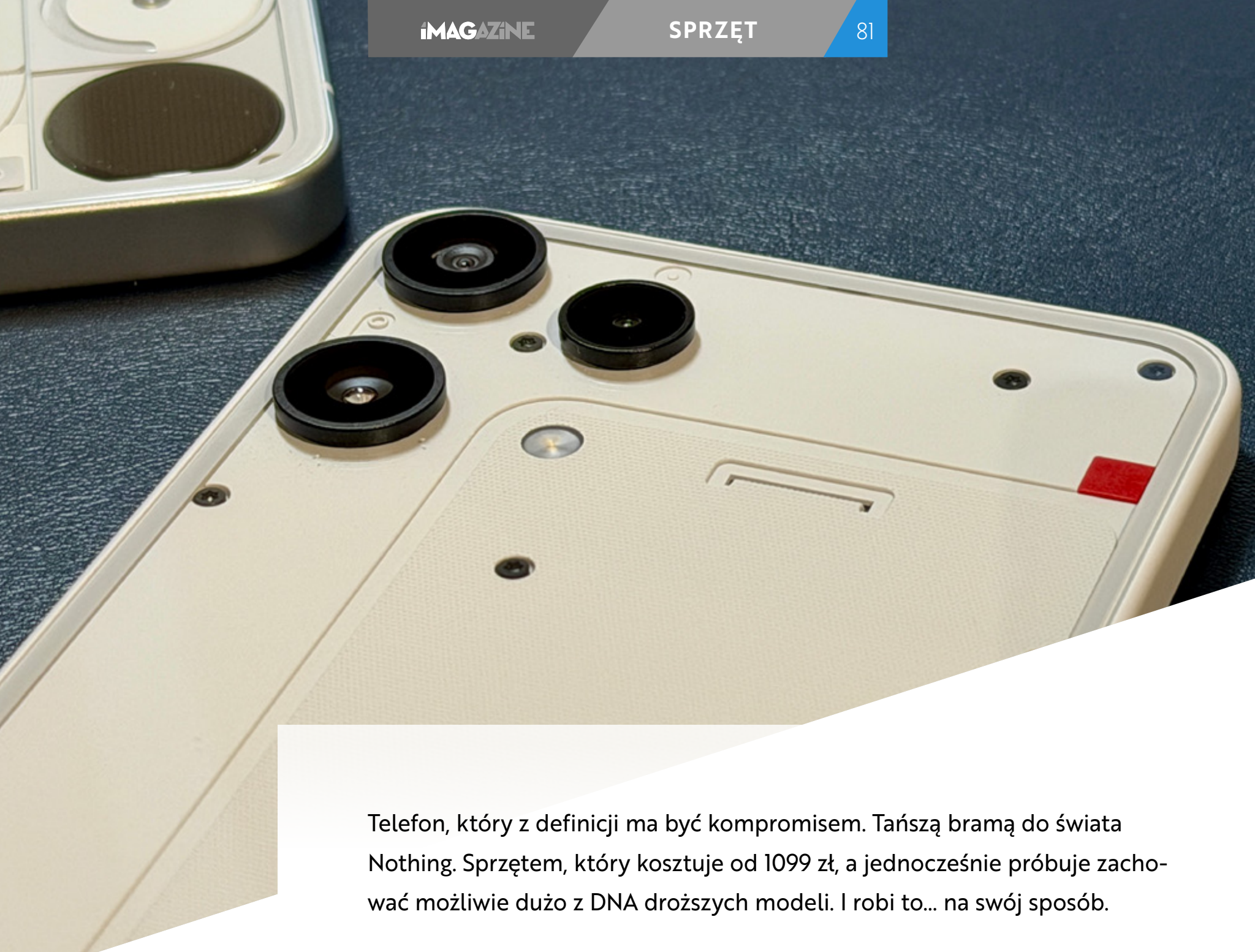


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Nothing Phone (3a) Lite – tanio, ale nie byle jak. Dłuższe, pierwsze wrażenia

Nothing ma dziś dość komfortową pozycję. To marka, która już nikomu nie musi tłumaczyć, dlaczego jest inna. Charakterystyczny design, minimalistyczne oprogramowanie i komunikacja, która bardziej przypomina startupowe manifesty niż marketing wielkiej korporacji, sprawiły, że każdy kolejny telefon Nothing wzbudza zainteresowanie – nawet jeśli obiektywnie nie jest rewolucją. I dokładnie w tym miejscu pojawia się Nothing Phone (3a) Lite.





Telefon, który z definicji ma być kompromisem. Tańszą bramą do świata Nothing. Sprzętem, który kosztuje od 1099 zł, a jednocześnie próbuje zachować możliwie dużo z DNA droższych modeli. I robi to... na swój sposób.

Lite, czyli bez fajerwerków (ale z diodą)

Pierwsze zderzenie z rzeczywistością następuje szybko. Nie ma Glypha. Przynajmniej nie tego, do którego Nothing nas przyzwyczało. Zamiast rozbudowanego systemu świetlnego dostajemy pojedynczą diodę powiadomienia. Czy to dramat? Niekoniecznie. Czy to symboliczne? Bardzo.

Glyph był wizytówką marki – trochę bajerem, trochę użytecznym dodatkiem. W wersji Lite z niego zrezygnowano, ale nie do końca. Dioda jest, mruga, informuje. Tyle. I właściwie dokładnie tak należy patrzeć na cały ten telefon – jest, działa, spełnia swoją rolę, ale nie próbuje udawać czegoś więcej.

Design: plastik, który nie udaje szkła

Ramka jest plastikowa, co w tej cenie absolutnie nie powinno nikogo dziwić. Co ważne – plastik nie jest tandetny. W wersji białej całość prezentuje się naprawdę estetycznie, czysto i spójnie. Nothing po raz kolejny udowadnia, że design to nie tylko materiały, ale przede wszystkim konsekwencja.





Telefon jest płaski, dość prosty wizualnie, z charakterystycznym układem aparatów, który – jak zwykle u Nothing – jednych zachwyci, innych zirytuje. Mnie się podoba, choć trudno powiedzieć, by był to projekt „ładny” w klasycznym sensie. To raczej estetyka technologicznej surowości.

Ekran i multimedia: dobrze, dopóki nie słyszysz

Wyświetlacz AMOLED 120 Hz to dziś niemal standard, nawet w tej półce cenowej, ale Nothing potrafi go dobrze wykorzystać. Jasność jest wysoka, kolory przyjemne, a całość świetnie współgra z minimalistycznym Nothing OS.

Problem zaczyna się w momencie, gdy odwracamy telefon poziomo i... słyszymy tylko jeden głośnik. Brak stereo to jedna z najbardziej odczuwalnych oszczędności. Dźwięk jest płaski, przeciętny, zupełnie bez charakteru. Do podcastów – wystarczy. Do filmów czy gier – raczej nie zachwyci.

Wydajność i system: tutaj Nothing wygrywa

Nothing Phone (3a) Lite działa pod kontrolą Nothing OS 3.5 opartego na Androidzie 15. I to jest jeden z jego największych atutów. System jest szybki, czysty, spójny wizualnie i – co najważniejsze – nie przeszkadza.

Nie ma tu bloatware'u, nachalnych dodatków ani reklam. Animacje są lekkie, interfejs czytelny, a całość sprawia



wrażenie dopracowanej. To doświadczenie bliższe Pixelom niż typowym „tanim Androidom”.

Warto jednak jasno powiedzieć: Nothing OS 4.0 nie jest jeszcze dostępny dla tego modelu. Producent zapowiada aktualizację na początek 2026 roku. Plus za transparentną politykę aktualizacji – 3 lata Androida i aż 6 lat poprawek bezpieczeństwa – co w tym segmencie jest rzadkością.

Aparat: poprawnie, dopóki jest jasno

Z tyłu znajdziemy dwa aparaty. Główny oraz... makro 2 MP, które zastępuje teleobiektyw znany z droższych modeli. I nie oszukujmy się – to najłabszy punkt zestawu.

Zdjęcia w dobrym świetle dziennym są całkiem OK. Mają przyzwoitą szczegółowość, kolory bywają atrakcyjne, choć czasem zbyt nasycone. Gdy jednak robi się ciemniej, telefon szybko pokazuje swoje ograniczenia – spada szczegółowość, pojawiają się problemy z balansem bieli, a szumy stają się widoczne.





Czy to rozczarowuje? Niespecjalnie. To telefon za około 1000 zł. Na tym poziomie trudno oczekiwać cudów. I tak jest lepiej, niż można by się spodziewać.

Dual SIM + karta pamięci? Tak, to wciąż możliwe

Miłe zaskoczenie – 2x SIM + możliwość dodania karty microSD.

W czasach, gdy producenci masowo rezygnują z rozszerzalnej pamięci, Nothing idzie pod prąd. Dla wielu użytkowników – szczególnie tych mniej „chmurowych” – to ogromny plus.

CMF kontra Lite – wewnętrzna konkurencja

Ciekawostką jest fakt, że Nothing Phone (3a) Lite konkuruje bezpośrednio z CMF by Nothing Phone 2 Pro. Dwoma telefonami tej samej grupy, skierowanymi do podobnego klienta.

CMF jest bardziej „surowy”, bardziej budżetowy w odbiorze. Nothing Lite – mimo plastikowej ramki – sprawia wrażenie bardziej dopracowanego, bardziej „markowego”. Wybór między nimi to dziś bardziej kwestia estetyki i podejścia do systemu niż czystej specyfikacji.



Podsumowując – Lite z charakterem

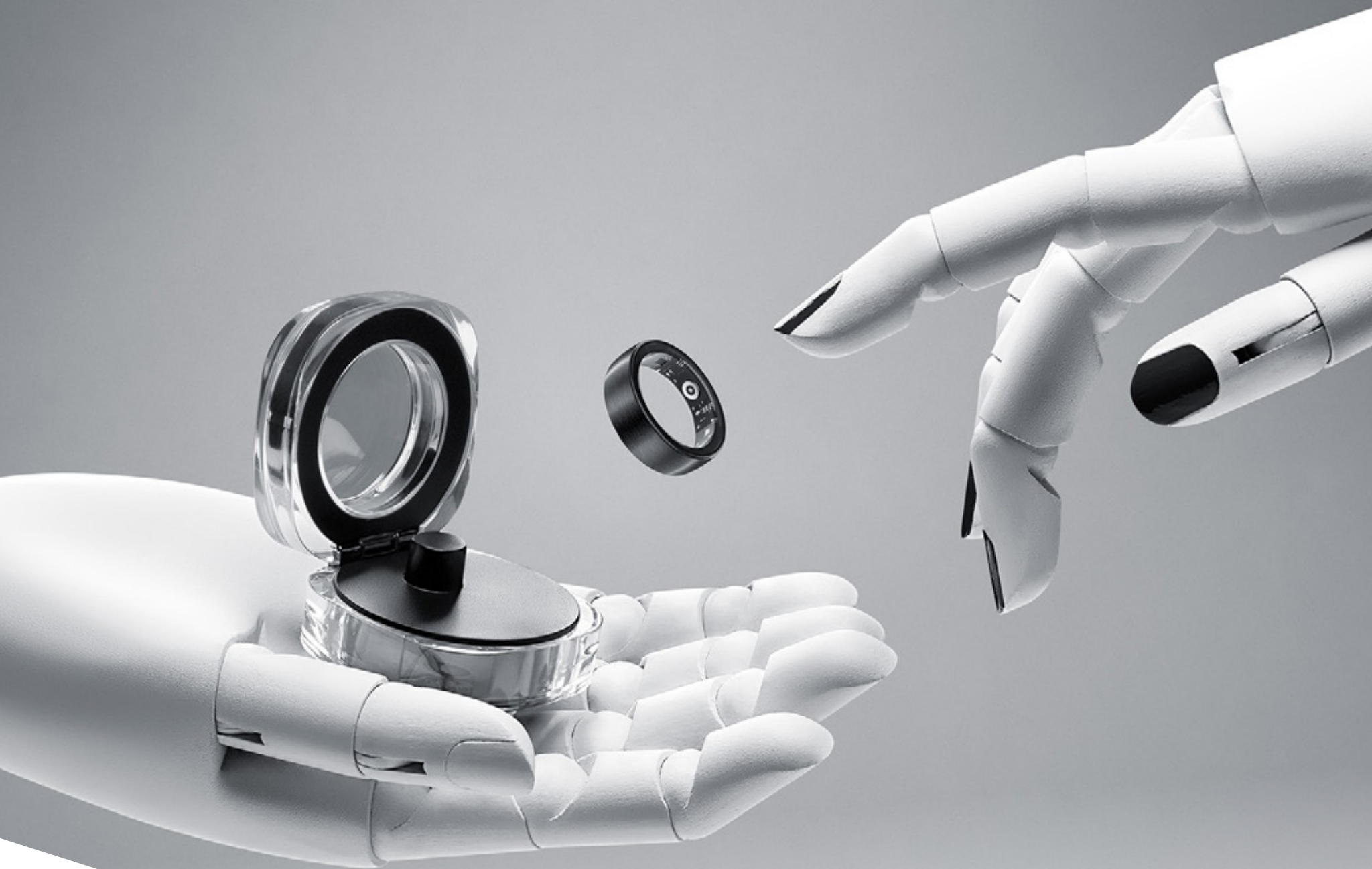
Nothing Phone (3a) Lite nie próbuje być flagowcem. Nie udaje, że jest czymś więcej, niż jest. To telefon rozsądnie wyceniony, dobrze zaprojektowany i świetnie zoptymalizowany.

Ma swoje wady: – brak stereo, – przeciętny aparat w słabszym świetle, – brak pełnego Glypha.

Ale ma też coś, czego wielu konkurentów może mu zazdrościć – spójność i charakter. A w świecie tanich smartfonów to wcale nie jest oczywiste.

Jeśli szukacie telefonu za około 1000 zł, który nie będzie irytował, będzie działał płynnie i da namiastkę „czegoś innego” – Nothing Phone (3a) Lite jest propozycją, obok której naprawdę trudno przejść obojętnie.





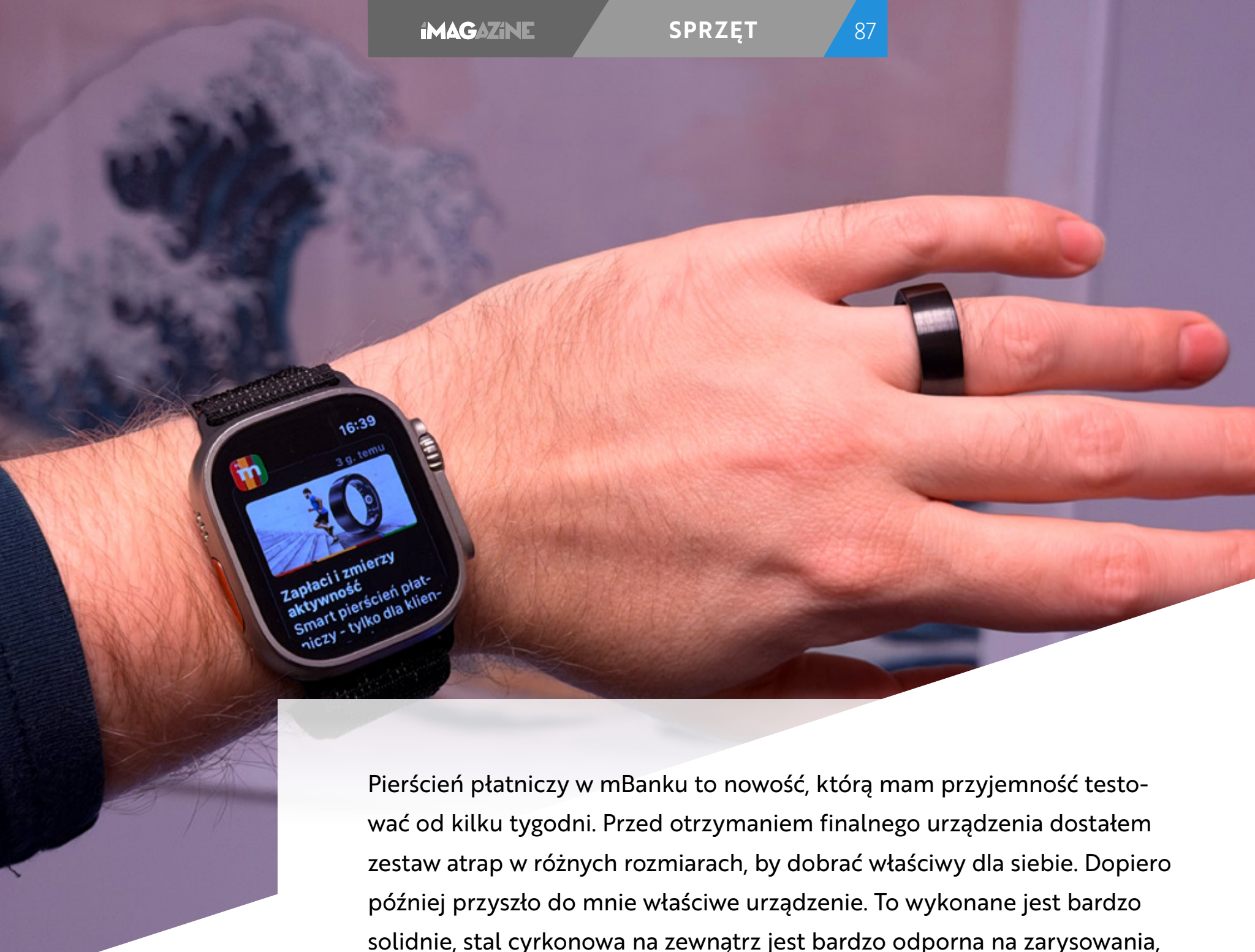
PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Niceboy One Ultra

– płacenie pierścieniem z mBankiem

Karta już dawno nie jest potrzebna do większości codziennych płatności – smartfony i zegarki skutecznie ją zastąpiły. Pierścień płatniczy to jednak coś nowego, a Niceboy One Ultra od mBanku może znacznie więcej niż tylko zastąpić kartę.





Pierścień płatniczy w mBanku to nowość, którą mam przyjemność testować od kilku tygodni. Przed otrzymaniem finalnego urządzenia dostałem zestaw atrap w różnych rozmiarach, by dobrać właściwy dla siebie. Dopiero później przyszło do mnie właściwe urządzenie. To wykonane jest bardzo solidnie, stal cyrkonowa na zewnątrz jest bardzo odporna na zarysowania, a szczotkowane wykończenie świetnie się prezentuje. Wewnątrz pierścień pokrywa hipoalergiczne tworzywo sztuczne. Pierścień jest dość szeroki i ma jedynie minimalnie zaokrąglone krawędzie, ale dzięki temu, że jest okrągły (a nie spłaszczony, jak niektórzy konkurenci) i cienki, nie przeszkadza na co dzień. Obudowa jest wodoszczelna do 5 ATM, nie trzeba więc zdejmować go ani pod prysznicem, ani na basenie. Po kilku tygodniach korzystania z niego non stop, a więc również podczas treningów na siłowni czy pracy fizycznej, nie ma on żadnych śladów użytkowania, co dobrze świadczy o trwałości materiałów.

Razem z pierścieniem dostajemy niewielkie, przezroczyste etui ładujące z gniazdem USB. Ładuje ono pierścień w około 4 godziny, natomiast bateria urządzenia wytrzymuje maksymalnie tydzień. Dotyczy to jednak sytuacji, w której nie korzystamy z większości funkcji monitorowania zdrowia, ich włączenie może skrócić ten czas do około 5 dni. To i tak dobry wynik, biorąc pod uwagę to, jak wiele pomiarów wykonuje Niceboy One Ultra.





Prócz samych płatności pozwala bowiem mierzyć tętno, saturację, spalane kalorie, liczbę kroków, dystans, jakość snu, zmienność tętna, stres czy zmiany temperatury skóry. Wszystkie te informacje zawarte są w bardzo czytelnej aplikacji Niceboy One, w której przedstawiono je za pomocą widżetów. Aplikacja oferuje szczegółowy opis każdego parametru, jest też dobrze przetłumaczona, co wcale nie jest regułą. Co więcej, integruje się z Apple Health, ma też kilka dodatków, takie jak znajdowanie pierścienia, dwukrotne stuknięcie, by zmienić utwór czy zdalne wyzwalanie migawki aparatu. Jestem pod wrażeniem tego, jak wiele informacji potrafi dostarczyć to urządzenie, a nie jest to nawet główny powód, dla którego się je wybiera.



Niceboy One Ultra ma służyć przede wszystkim do płatności. Wymaga on osobnej aplikacji, Niceboy Pay, w której dodamy kartę. Proces przypomina bardzo to, jak konfigurujemy Apple Pay czy Google Pay, jest więc szybko i sprawnie. Pierścień działa jednak zawsze, a więc również wtedy, gdy jego bateria jest rozładowana. Oznacza to jednak, że zadziała nawet wtedy, gdy nie znajduje się na naszym palcu, co rodzi ryzyko wykorzystania go przez niepowołaną osobę. Jest zresztą na naszej dłoni, a płatność nie wymaga wykonania żadnego gestu ani czynności, działa więc dokładnie tak, jak karta płatnicza. Z tego powodu przy transakcjach na kwotę powyżej 100 PLN wymagany jest PIN. To bardzo uzasadnione ograniczenie.



Pierścień wykorzystuje token, który można zablokować, jeśli zgubimy urządzenie. Mimo tego, że na co dzień zarówno smartfon, jak i smartwatch, pozwalają mi zapłacić zbliżeniowo, z pierścienia korzystałem najczęściej. Powód jest prosty: jest najwygodniejszy, bo działa nawet przez rękawice, podczas gdy zegarek czy telefon muszę wydobyć z kieszeni lub z rękawa kurtki. Jest to też dobre rozwiązanie dla każdego, kto nie nosi zegarka w ogóle, a telefon ma w torebce lub innym miejscu, które nie zapewnia do niego szybkiego dostępu.

Niceboy One Ultra to sprzęt, którego nie potrzebowałem, ale gdy już trafił na mój palec, używany był właściwie codziennie. Nie dość, że pozwala wygodnie płacić, to mierzy też wiele parametrów zdrowia i aktywności, co docenią szczególnie te osoby, które nie chcą nosić zegarka czy opaski, które oferują podobne funkcje. Jest przy tym zwyczajnie ładny i bardzo wytrzymały, a to kluczowe cechy, jeśli chcemy, by jakikolwiek tak eksponowany sprzęt towarzyszył nam na co dzień.

Niceboy One Ultra



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- bardzo trwała i ładna obudowa
- wygoda obsługi
- pomiar wielu parametrów zdrowia

– Minusy:

- PIN wymagany do transakcji o większej wartości

Cena: około 700 PLN





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Umevo Note AI

– dyktafon, który chce być drugim mózgiem

Na rynku dyktafonów wydawało się, że wszystko już było. Lepsze mikrofony, więcej pamięci, dłuższy czas pracy – ewolucja, nie rewolucja. I wtedy pojawia się Umevo Note AI, urządzenie, które próbuje odpowiedzieć na pytanie, którego wcześniej nikt głośno nie zadawał: czy dyktafon może być czymś więcej niż tylko dyktafonem?





Pierwsze wrażenie: cienie się już nie da

Umevo jest zaskakująco... płaski. Grubość czterech kart kredytowych to nie marketingowa przesada, tylko fakt. Waży około 30 gramów i faktycznie znika w kieszeni marynarki czy torby na laptopa. Gdyby nie mały ekranik i minimalistyczne przyciski, można by go pomylić z kartą dostępową albo powerbankiem w wersji „nano”.

Do zestawu dołączono magnetyczny portfel MagSafe. Co ważne – nie jest to tylko gadżet „żeby był”. Portfele Apple pasują tu 1:1, ale ten od Umevo jest sprytniej zaprojektowany: ma wycięcie na ekran oraz otwór, który pozwala ładować dyktafon bez wyjmowania go z etui. Mała rzecz, a cieszy – zwłaszcza jeśli ktoś faktycznie zamierza korzystać z niego codziennie.

Dyktafon, który... wibruje

Pierwsze zaskoczenie? Wibracje. Tak, Umevo wibruje przy rozpoczęciu i zakończeniu nagrywania. Niby drobiazg, ale w praktyce daje ogromny komfort psychiczny – nie musisz zerkać na ekran, żeby upewnić się, czy nagrywanie faktycznie ruszyło. Podczas spotkań czy rozmów to detal, który robi różnicę.



Obsługa jest skrajnie prosta: jeden przycisk, przełącznik trybu i koniec filozofii. To dyktafon, który można uruchomić bez wyciągania telefonu, bez aplikacji, bez zastanawiania się „czy na pewno nagrywa”.

Jakość nagrań: tu nie ma kompromisów

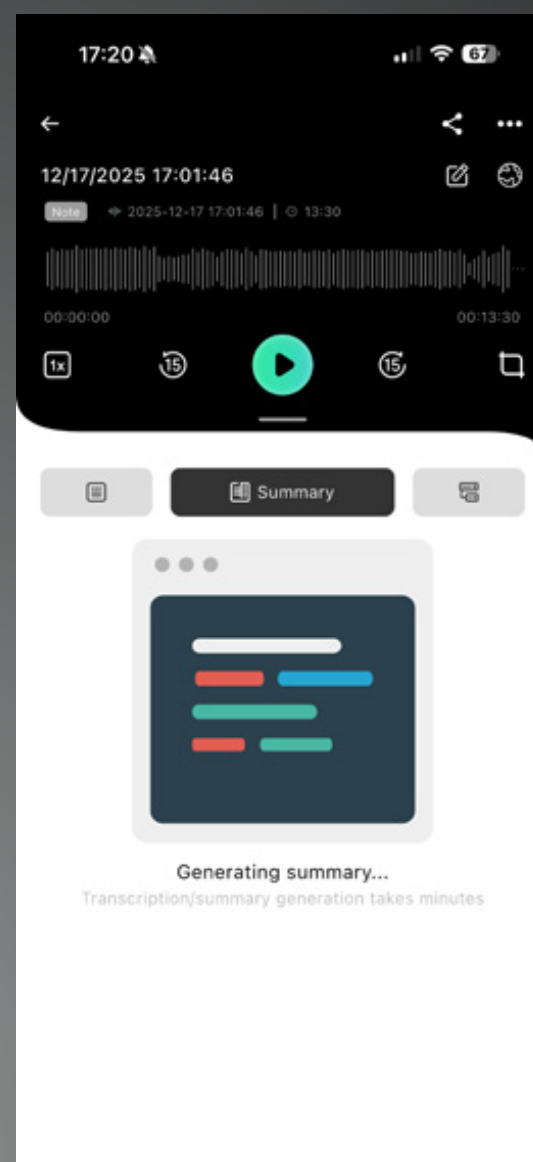
Umevo ma dwa mikrofony i słysząc to od pierwszych sekund nagrania. Dźwięk jest wyraźny, klarowny, a redukcja szumów radzi sobie nawet w trudniejszych warunkach – restauracja, ruchliwe biuro, spotkanie z kilkoma osobami mówiącymi jednocześnie.

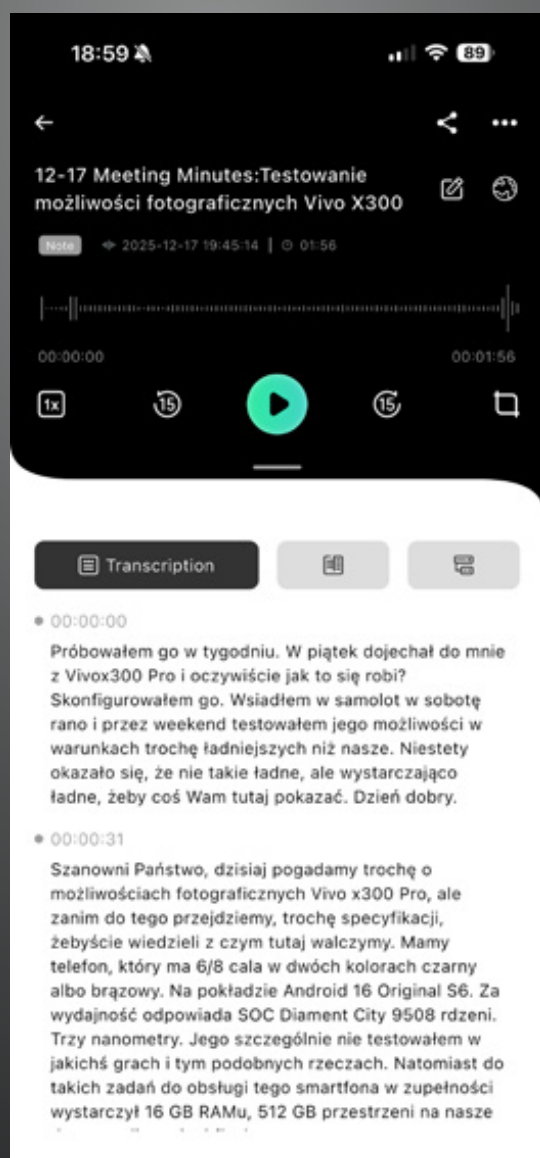
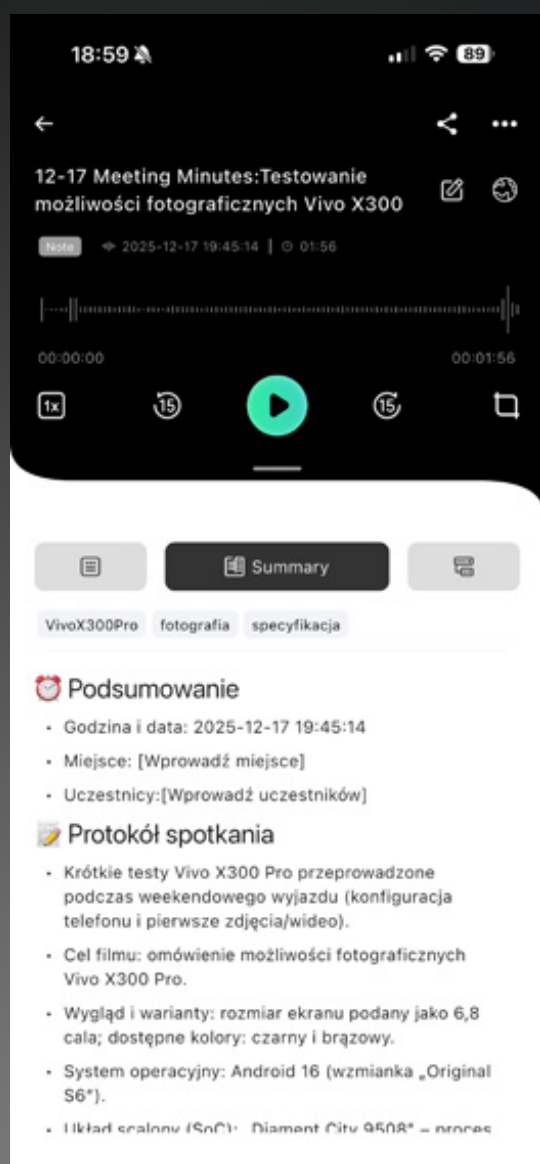
Czułość mikrofonów jest wysoka – momentami wręcz za wysoka. Urządzenie potrafi złapać każdy szmer, przesunięcie dłoni czy stuknięcie w stół. W pomieszczeniach to zaleta, na zewnątrz bywa różnie. Na szczęście AI robi tu sporą część roboty po stronie transkrypcji.

AI, czyli „drugi mózg” w praktyce

Największym wyróżnikiem Umevo jest oczywiście sztuczna inteligencja. Po synchronizacji z aplikacją nagrania są automatycznie:

- transkrybowane (obsługa ~140 języków, w tym oczywiście polskiego),
- porządkowane,





- streszczane,
- a nawet zamieniane w mapy myśli.

Transkrypcje są zaskakująco dokładne. System radzi sobie z różnymi akcentami, automatycznie rozpoznaje mówców i – co ciekawe – poprawnie zapisuje liczby, waluty czy skróty. Owszem, zdarzają się drobne potknięcia, jak kropka w środku zdania po dłuższej pauzie, ale w ogólnym rozrachunku to poziom, który spokojnie można wykorzystać zawodowo.

Integracja z ChatGPT (w tym nowszymi modelami) sprawia, że notatki faktycznie zaczynają „pracować” – zamiast ściany tekstu dostajemy sensowne podsumowanie spotkania czy wykładu.

Aplikacja: prosta, funkcjonalna, logiczna

Aplikacja do Umevo jest dokładnie taka, jaka powinna być: intuicyjna. Foldery, eksport do TXT, Markdowna, PDF czy DOCX, możliwość edycji transkrypcji – wszystko jest na miejscu. Brakuje fajerwerków, ale to raczej zaleta niż wada.

Małe minusy? Wizualizacja fali dźwiękowej jest bardziej symboliczna niż precyzyjna, a sporadyczne błędy interfejsu potrafią się zdarzyć. Nic krytycznego, ale perfekjonisci zauważą.



Pamięć, bateria i kabel z pomysłem

64 GB pamięci oznacza około 400 godzin nagrań. Do tego bateria wystarczająca na nawet 40 godzin pracy – wynik imponujący jak na tak małe urządzenie. Ładowanie trwa około półtorej godziny.

Sam kabel też zasługuje na uwagę: magnetyczny, solidnie trzymający się urządzenia, a w zestawie znajdziemy przejściówkę z USB-A na USB-C. Detal, który pokazuje, że ktoś tu naprawdę pomyślał o użytkowniku.

Cena i subskrypcja – zimny prysznic

Nie ma co owijać w bawełnę: Umevo jest drogie. Do tego po pierwszym roku darmowej, nielimitowanej transkrypcji dostajemy tylko 400 minut rocznie.



Dodatkowe minuty można dokupić, ale model subskrypcyjny nie każdemu przypadnie do gustu.

To sprzęt, który najbardziej docenią osoby regularnie pracujące z nagraniami: dziennikarze, prawnicy, studenci, wykładowcy, menedżerowie. Dla okazjonalnego użytkownika cena może być trudna do obrony.

Podsumowując

Umevo Note AI nie jest zwykłym dyktafonem. To narzędzie do zbierania, porządkowania i przetwarzania informacji, które realnie oszczędza czas. Świetna jakość nagrań, sensownie wykorzystana AI i przemyślany design sprawiają, że łatwo się do niego przyzwyczaić.

Czy jest idealny? Nie. Czy tani? Zdecydowanie nie. Ale jeśli ktoś szuka „drugiego mózgu”, który faktycznie działa, Umevo jest jednym z ciekawszych urządzeń w tej kategorii, jakie ostatnio trafiły w moje ręce.

Kosztuje 544 zł i można go kupić na stronie producenta





AGNIESZKA SERAFINOWICZ
[@LifestyleAga](#)

Estetyka smaku

Kiedy design spotyka się z funkcjonalnością

Pamiętacie czasy, gdy sprzęt kuchenny kupowało się z myślą, by jak najszybciej schować go do szafki po użyciu? Wielkie, nieustawne bryły, plątanina kabli i ten wszechobecny, wątpliwej urody plastik. Na szczęście to już przeszłość. Dziś kuchnia to często serce domu, otwarta przestrzeń połączona z salonem, gdzie toster czy ekspres do kawy stają się elementami wystroju, równie istotnymi co wazon czy designerska lampa.





Chcę wam dziś zaprezentować zestaw, który idealnie wpisuje się w ten trend „smart casual” w kuchni. Marka MOVA, której nazwa łączy w sobie dynamizm i harmonię, wprowadziła do swojej oferty dwa nowe, interesujące urządzenia: ekspres MOVA Virtuoso 10 Pro oraz frytkownicę beztłuszczową MOVA Aeroglass AF20 Pro. Oba sprzęty łączy jedno: są tak ładne, że chowanie ich do szafki byłoby zbrodnią.

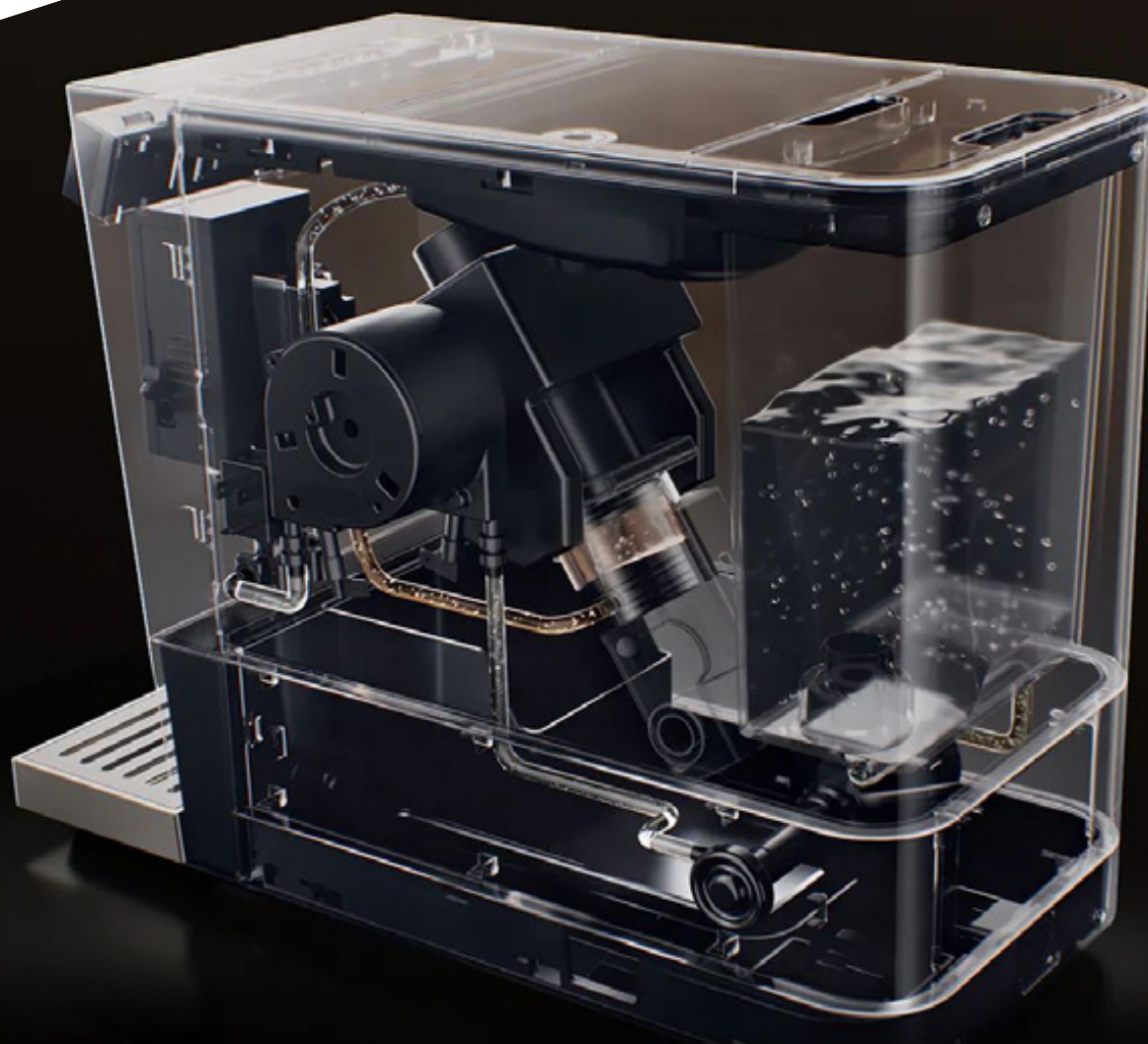
Mała czarna w wielkim stylu

Zacznijmy od poranka. Nie wiem jak wy, ale ja bez kawy nie funkcjonuję. MOVA Virtuoso 10 Pro to w pełni automatyczny ekspres, który zaskakuje przede wszystkim gabarytami. Producent określa jego wielkość jako równowartość „dwóch kromek chleba”. Chyba trochę przesadzili (albo ja jem naprawdę małe kromki), ale faktycznie



– wymiary 180x314x412 mm sprawiają, że ten sprzęt zmieści się w absolutnie każdej, nawet najmniejszej kuchni czy aneksie.

Ale niech was nie zwiodą niewielkie rozmiary. W środku drzemie prawdziwy barista. Mamy tu pompę wytwarzającą ciśnienie 19 barów oraz zaawansowaną technologię Inline. Zaczniemy od ciśnienia, bo wypada wyjaśnić istotną rzecz. To nie jest tak, że kawa jest tym lepsza, im wyższe ciśnienie. Niektórzy tak myślą, bo profesjonalne, kawiarniane, olbrzymie i drogie ekspresy mają właśnie dużą moc, a to złe rozumienie tematu. Aby uzyskać idealny ekstrakt z kawy, optymalne ciśnienie wynosi 9 barów. Niby mniej, ale diabeł tkwi w szczegółach. Ciśnienie to powinno być stałe podczas całego procesu ekstrakcji espresso, bez względu na jakość ziarna, czy grubość jego zmielenia. Dlatego naprawdę dobre ekspresy (jak opisywany tu MOVA Virtuoso 10 Pro) oferują nominalnie wyższe ciśnienie pompy, bo to oznacza jedno: gwarancję, że bez względu na rodzaj ziarna, stopień zmielenia czy choćby twardość wody, proces ekstrakcji kawy będzie zawsze zachodził z idealnym ciśnieniem. Ekspresy o nominalnym





ciśnieniu 9 barów nie podążają temu zadaniu. Ba, nawet niektóre 15-tki (ekspresy ciśnieniowe z pompą 15 barów) czasem nie dają rady. Tu tego problemu nie ma. Pompa ma wystarczającą moc, by uzyskać idealne espresso.

A o co chodzi z tym Inline? To system, który w połączeniu z precyzyjną kontrolą temperatury wydobywa z ziaren esencję smaku i pełny, bogaty aromat. Do tego dochodzi system wstępnego zaparzania pod niskim ciśnieniem, który uwalnia dwutlenek węgla z kawy, zapewniając gładszy smak i wyważoną goryczkę.

Obsługa? Banalna. Dotykowy panel, jedno tapnięcie i mamy do wyboru 8 klasycznych napojów. Co ciekawe, korpus urządzenia jest nachylony o 4,6 stopnia. To drobny, ergonomiczny detal, który sprawia, że obsługa ekranu jest wygodna niezależnie od tego, czy stoimy, czy siedzimy przy wyspie kuchennej.

Oczywiście niech powyższy śródtytuł was nie zmyli. MOVA Virtuoso 10 Pro to nie tylko mała czarna. Fanów kaw mlecznych ucieszy funkcja LatteCraft, która automatycznie tworzy kremową, jedwabistą piankę bez konieczności ręcznego manewrowania dyszą. A gdy już się obudzimy i wypijemy nasze idealne espresso czy cappuccino, ekspres sam zadba o higienę, uruchamiając automatyczne czyszczenie. Proste, eleganckie i skuteczne.





Powietrze zamknięte w szkle robi smak

Kawa wypita, czas na lunch. Tutaj na scenę wchodzi MOVA Aeroglass AF20 Pro. Jeśli frytkownica beztłuszczowa kojarzy wam się z plastikową „szufladą”, w której jedzenie znika i trzeba co chwilę ją otwierać, by sprawdzić stan wysmażenia, to ten model zmienia zasady gry.

To, co wyróżnia Aeroglass AF20 Pro, to konstrukcja oparta na szkle. W zasadzie cała dolna część urządzenia jest tu tak naprawdę eleganckim, szklanym naczyniem, dzięki któremu cały proces pieczenia czy smażenia obserwujemy w czasie rzeczywistym. To nie tylko świetnie i futurystycznie wygląda, ale eliminuje też kontakt żywności z plastikiem i potencjalnymi zapachami, co dla mnie jest ogromnym atutem.

Urządzenie ma moc 1700 W i wykorzystuje silnik bezszczotkowy, co przekłada się na cichszą pracę i błyskawiczne nagrzewanie. Ale





prawdziwym atutem jest system dwóch wymiennych szklanych pojemników: większego 4L (idealnego na obiad dla rodziny, np. całego kurczaka) i mniejszego 2,5L (na szybkie przekąski).

Najlepsze zostawiłam na koniec. Funkcja „Cook and Serve”. Szklane naczynia wyglądają tak estetycznie i są wyposażone w ergonomiczne uchwyty oraz podstawę termoizolacyjną, że po zakończeniu pieczenia po prostu wyjmujesz kosz i stawiasz go bezpośrednio na stole. Żadnego brudzenia dodatkowych półmisek. Zero obaw o przypalenie obrusa (doskonała termoizolacja naczyń). Jecie zdrowo (redukcja tłuszczu nawet o 90%), smacznie i – co równie ważne – estetycznie.



Zestaw obowiązkowy

MOVA udowadnia, że nowoczesne AGD to coś więcej niż suma parametrów technicznych. To styl życia. Zarówno Virtuoso 10 Pro, jak i Aeroglass AF20 Pro to urządzenia, które szanują nasz czas, dbają o nasze zdrowie i cieszą oko minimalistycznym, ale wpadającym w oko wzornictwem.

Dla wszystkich, którzy chcieliby wprowadzić do swojej kuchni nieco „szklanej rewolucji” lub szukają kompaktowego baristy, mam dobrą wiadomość. Do 31 grudnia 2025 roku trwa promocja, w której oba urządzenia kupicie znacznie taniej (Aeroglass AF20 Pro z rabatem 36%, a Virtuoso 10 Pro z rabatem 35%). To idealny moment, by sprawić prezent sobie lub bliskim.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

XGIMI Vibe One

– projektor na co dzień

Im częściej korzystam z mobilnych projektorów, tym bardziej doceniam ich możliwości. Sprzęt ten nie musi być drogi, by spełniać swoją funkcję – XGIMI Vibe One to atrakcyjnie wyceniony model, oferujący niemal tyle, co jego droższe warianty.





Projektor XGIMI Vibe One zaprojektowano bardzo umiejętnie, czyniąc praktyczne elementy ładnymi. Jego podstawa ma gniazdo ładowania oraz zintegrowaną lampę, która generuje przyjemne, rozproszone światło. Z niej wychodzi rama, będąca jednocześnie uchwytem, jak i mocowaniem korpusu urządzenia. Pozwala ona odchyłać projektor w pionie, w zakresie 160°, dzięki czemu bez trudu wycelujemy go tam, gdzie chcemy. Korpus ma dość jednolitą budowę, na jego części znalazły się jedynie otwory wentylacyjne, z tyłu zaś umieszczono włącznik, port HDMI 1.4 oraz USB-A. Soczewka nie ma żadnej osłony, po złożeniu chroni ją jedynie podstawa. Przez to może szybciej się kurzyć, zwłaszcza jeśli będziemy często korzystać z projektora mobilnie. Jakość materiałów jest bardzo dobra i nie czuć, że na tym polu poczyniono jakiegokolwiek oszczędności. W komplecie z Vibe One dostajemy świetny, znany z innych modeli pilot Bluetooth oraz zasilacz ze specjalną wtyczką. Szkoda, że producent nie zdecydował się na gniazdo USB-C, dające więcej swobody w doborze źródła zasilania. W pudełku z urządzeniem znajdziemy też naklejki do personalizacji sprzętu – to drobiazg, który z pewnością wyróżnia ten model.

Ogromną zaletą XGIMI Vibe One jest system Google TV, który nie dość, że



jest łatwy w obsłudze, to ma też najbogatsze możliwości. Konfiguracja trwa chwilę, bo w jej trakcie instalowane są aplikacje do streamingu, które wybierzemy w kreatorze. Nie brakuje niczego, bezproblemowo skorzystamy choćby z Netfliksa, Apple TV, Disney Plus, YouTube, HBO Max czy Prime Video. Są też oczywiście aplikacje do streamingu muzyki, gry, a także inne programy oferowane w Play Store. Interfejs jest bardzo prosty, główny ekran pozwala przeglądać treści z serwisów, do których jesteśmy zalogowani, da się też oczywiście wejść do każdej aplikacji indywidualnie. Ustawienia podzielone są na sekcje szybkich i pełnych, te pierwsze pozwalają przetaczać źródła wideo, szybko skorygować obraz i dźwięk, włączyć wygaszacz czy zarządzać połączeniami Wi-Fi oraz Bluetooth. W pełnych ustawieniach projektora nie brakuje regulacji jasności, nasycenia kolorów (do wyboru mamy trzy gotowe ustawienia oraz własną konfigurację), a także korekcji ostrości oraz geometrii obrazu. Jest też tryb gry, zmniejszający opóźnienia (o dziwo, w tytuły niewymagające bardzo szybkiej reakcji można spokojnie grać).



Projektory XGIMI zawsze wyróżniały się jakością automatycznego ustawiania obrazu. W Vibe One nie brakuje tej funkcji i działa ona dobrze, choć nie tak niezawodnie, jak w innych modelach. Projektor błyskawicznie ustawia ostrość, nie zawsze jednak prawidłowo dostosowuje korekcję trapezową i trzeba poprawiać ją ręcznie. Zazwyczaj lekkie poruszenie urządzeniem i powtórne wywołanie funkcji pomaga, niemniej jest to różnica względem droższych modeli. Jasność 250 ISO lumenów jest wystarczająca do używania projektora w ciemnym pomieszczeniu, jednak nawet niewielka ilość światła znacznie pogarsza wrażenia z oglądania. Ponadto warto mieć na uwadze to, że jasność jest też ograniczona, jeśli korzystamy z zasilania bateryjnego. Nasyceń kolorów jest dobre, a rozdzielczość 1080 p wystarcza z powodzeniem do domowych zastosowań. Producent zaleca, by wyświetlany obraz mieścił się w przedziale od 45 do 150 cali, w przypadku moich testów przekątna wynosiła około 100 cali, ale zdarzyło mi się korzystać z projektora bardzo blisko ściany, gdzie obraz nie przekraczał 30 cali – obraz był równie wyraźny, co przy zalecanej odległości.

Dobrze sprawdzają się też wbudowane głośniki stereo JBL, o mocy 3 W każdy i oferujące wsparcie Dolby Audio. Dźwięk jest



czysty, choć brakuje mu nieco dołu, wystarcza jednak, by ze średnią głośnością obejrzeć serial czy puścić dzieciom bajkę i nie szukać przy tym dodatkowego źródła dźwięku, które możemy podłączyć. Vibe One może zresztą działać jako głośnik Bluetooth (parujemy go ze smartfonem) i wytrzyma na baterii do 4 godzin pracy. W przypadku oglądania wideo czas ten wynosi nieco ponad godzinę – to może nie wystarczyć do obejrzenia całego filmu, niemniej do innych zastosowań wystarczy. Kolejną dodatkową funkcją Vibe One jest oświetlenie ambient – lampa wbudowana w podstawę może świecić na 8 kolorów, efekt jest bardzo przyjemny dla oka, światło jest równo rozproszone.

XGIMI Vibe One to bardzo wygodny, a jednocześnie funkcjonalny projektor. Jakość obrazu i dźwięku jest zadowalająca, zwłaszcza jeśli mamy dobre warunki oświetleniowe. System obsługuje się łatwo i intuicyjnie, a dodatkowe funkcje, takie jak oświetlenie ambient czy pełnienie funkcji głośnika Bluetooth, dodatkowo rozszerzają zakres jego zastosowań. Zintegrowana bateria pozwala natomiast używać go bez kabli wszędzie, co ma szczególnie duże znaczenie, gdy urządzenie nie ma stałego miejsca w domu. Uważam, że w tej cenie nie sposób znaleźć godnego konkurenta dla tego modelu.



XGIMI Vibe One ★★★★★

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- dobra jakość obrazu
- Google TV
- wbudowana bateria

- Minusy:

- niezbyt wysoka jasność
- zawodna korekcja zniekształceń trapezowych

Cena: 990 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Niewidzialny Pasażer

Kiedy Volkswagen przejmuje stery, ratując życie

Zima to ten moment w roku, kiedy marketingowe hasła o „radości z jazdy” zderzają się z brutalną fizyką i biologią. W sukurs przychodzi nam nowoczesna technologia. Jednak abyśmy mogli z niej korzystać w pełni, warto możliwie jak najlepiej ją zrozumieć.



Marznący deszcz, wcześniej zapadający zmrok i zmęczenie, które dopada nas szybciej niż zwykle. Właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, liczy się to, czego na pierwszy rzut oka nie widać. Volkswagen nazywa to parasolem technologicznym IQ.DRIVE, ale po analizie technicznej dokumentacji inżynierskiej, w mojej głowie ukuło się inne określenie: Niewidzialny Pasażer. Ale taki, który w razie potrzeby wie co robić.

Współczesny krajobraz motoryzacyjny przechodzi jedną z najbardziej fundamentalnych transformacji w swojej historii. Przechodzimy z epoki bezpieczeństwa biernego – definiowanej przez strefy zgniotu, klatki bezpieczeństwa i pasywne systemy ochrony – do ery bezpieczeństwa aktywnego i predykcyjnego. W nomenklaturze inżynierskiej koncernu Volkswagen ta nowa rzeczywistość realizowana jest pod szyldem IQ.DRIVE. Systemy takie jak Emergency Assist oraz Proactive Occupant Protection (Pre-Crash) nie są już jedynie prostymi układami wspomagającymi. Stanowią zaawansowaną warstwę cyfrowej świadomości pojazdu, działającą w tle i analizującą tysiące parametrów na sekundę.

Wzięliśmy pod lupę dwa systemy, które w modelach takich jak flagowy, elektryczny ID.7 (platforma MEB) czy popularny, nowy T-Roc (platforma MQB evo), którego niedawno miałem okazję bliżej poznać podczas pierwszych jazd testowych (o nich niebawem w odrębnym materiale), działają jak cyfrowy układ nerwowy. To one czuwają, gdy Ty przestajesz. I robią to w sposób znacznie bardziej skomplikowany, niż mogłoby się wydawać. Jednak ta komplikacja służy przede wszystkim skuteczności, odczarujmy nieco ten temat.

Ewolucja: od reakcji do predykcji

Historycznie systemy bezpieczeństwa były reaktywne. ABS reagował na poślizg koła, ESP na utratę stabilności toru jazdy, a poduszki powietrzne na fizyczne uderzenie. Nowa generacja systemów jest z natury proaktywna. „Niewidzialny Pasażer” to w istocie algorytm, który stale zadaje sobie dwa krytyczne pytania: „Czy kierowca jest przytomny?” oraz „Czy zderzenie jest nieuchronne?”.

Odpowiedź przecząca na pierwsze lub twierdząca na drugie uruchamia kaskadę zdarzeń, która ma na celu uratowanie życia nie tylko pasażerów,



ale i osób postronnych. Co ciekawe, technologie te, niegdyś zarezerwowane dla limuzyn pokroju Phaetona, dziś trafiły do segmentu kompaktowego, choć ich poziom zaawansowania różni się w zależności od platformy. To też warto wiedzieć, by być świadomym, czym w istocie dysponujemy.

Oczy i uszy systemu, czyli sensorfuzja w praktyce

Aby zrozumieć, jak Volkswagen podejmuje decyzję o autonomicznym hamowaniu czy dociągnięciu pasów, musimy zajrzeć w jego „zmysły”. W inżynierii systemów ADAS kluczem jest sensorfuzja – proces łączenia danych z wielu niezależnych czujników w jeden spójny obraz rzeczywistości przetwarzany przez algorytm decyzyjny danego systemu. Pojedynczy sensor może się mylić, ale system oparty na fuzji posiada redundancję niezbędną do podejmowania właściwych decyzji. Trudno o uproszczone podejście, decyzje podejmowane przez systemy w transporcie to kwestia życia i śmierci.



Przedni radar dalekiego zasięgu (Long-Range Radar) to fundament systemów Front Assist i ACC (adaptacyjnego tempomatu). Emituje wiązki fal milimetrowych (częstotliwość 77 GHz), które dzięki efektowi Dopplera precyzyjnie określają nie tylko odległość, ale przede wszystkim prędkość względną obiektów. To pozwala systemowi odróżnić stojący samochód od jadącego i wykryć gwałtowne hamowanie poprzedzającego pojazdu znacznie szybciej niż ludzkie oko. W modelach spalinowych jak T-Roc radar ten często ukryty jest za emblematem na grillu lub w dolnej części zderzaka, natomiast w elektrycznym ID.7 znajduje się za gładkim panelem przednim.

Tu jednak pojawia się zimowe wyzwanie. Analiza materiałów serwisowych wskazuje, że radary te bywają podatne na „oślepienie” przez mokry śnieg i lód. Gdy radar „oślepie”, ACC i zaawansowane funkcje Emergency Assist mogą przejść w tryb awaryjny. To brutalne przypomnienie, że nawet najbardziej zaawansowany algorytm przegra z warstwą zamrożonego błota. Dla nas to dodatkowa motywacja do tego, by przed

podróżą, a także w jej trakcie, zadbać nie tylko o szyby czy reflektory, ale także by oczyścić panele sensorów nowoczesnych systemów. Radar działa szybciej niż ty myślisz, ignorowanie tego faktu się po prostu nie opłaca.

Przedni radar dalekiego zasięgu (Long-Range Radar) to fundament systemów Front Assist i ACC (adaptacyjnego tempomatu). Emituje wiązki fal milimetrowych (częstotliwość 77 GHz), które dzięki efektowi Dopplera precyzyjnie określają nie tylko odległość, ale przede wszystkim prędkość względną obiektów.

Kolejnym istotnym elementem wspomnianej fuzji sensorów jest kamera wielofunkcyjna (MFC) zlokalizowana najczęściej w podstawie lusterka wstecznego, kamera „widzi” świat w spektrum optycznym. Odpowiada za wykrywanie linii (niezbędne dla Lane Assist), rozpoznawanie znaków i klasyfikację obiektów – odróżnia pieszego od słupka. W systemie Emergency Assist jest kluczowa do utrzymania pojazdu na pasie podczas awaryjnego hamowania. Jej ograniczeniem jest widoczność – ulewa, gęsta mgła czy brak pasów na jezdni mogą ją „wyłączyć”, chyba że... system korzysta z danych roju, o czym za chwilę.

Następny element czyli radary narożne i Side Assist. To tutaj nastąpił największy postęp widoczny zarówno w ID.7 czy nowym T-Rocu. Tylne radary



o zasięgu do 70 metrów monitorują strefę martwego pola i obszar za pojazdem. Są one krytyczne dla dwóch funkcji. Po pierwsze, dla systemu Pre-Crash, pozwalając wykryć pojazd zbliżający się z tyłu z dużą prędkością (ryzyko najechania). Po drugie, są niezbędne dla funkcji automatycznej zmiany pasa ruchu (Lane Change) w ramach Emergency Assist. Aby system mógł podjąć decyzję o zjeździe na pobocze („pull over”), musi mieć 100% pewności, że pas obok jest wolny.

To wciąż nie wszystko. Ważne jest też działanie tego krążka, które trzymasz prowadząc auto. Kierownica pojemnościowa w nowoczesnych Volkswagach to pierwszy punkt kontaktu. W starszych modelach system wykrywał ręce na kierownicy poprzez analizę mikroruchów (momentu obrotowego), co wymagało od kierowcy ciągłego, lekkiego „siłowania się” z układem. Nowe modele (ID.7, czy VW T-Roc z Travel Assist) korzystają z kierownicy pojemnościowej. Pod poszyciem wieńca znajduje się mata czujnikowa wykrywająca samą zmianę pojemności elektrycznej przy dotyku. Jeśli kierownica nie wykrywa dłoni przez 10-15 sekund, system rozpoczyna procedurę alarmową. Acha, butelka, czy triki z pomarańczami, czy innymi owocami, znane z social mediów, nie zadziałają. Musisz dotknąć, udowodnić dotykiem, że żyjesz, funkcjonujesz i działasz. W przeciwnym razie zaczyna się dziać naprawdę wiele.

Anatomia interwencji Emergency Assist

Działanie systemu Emergency Assist to precyzyjnie zaprogramowany algorytm, tzw. drabina eskalacji. Celem nadrzędnym jest zawsze przywrócenie kontroli kierowcy. Autonomiczne zatrzymanie to ostateczność.

Faza 1: ostrzeganie i weryfikacja. Gdy system wykryje brak rąk na kierownicy, zaczyna delikatnie. Na Digital Cockpit pojawia się biały, a potem czerwony komunikat nakłaniający kierowcę do przejęcia kontroli nad pojazdem, wsparty narastającym sygnałem akustycznym.

Faza 2: fizyczne wybudzanie. Jeśli audiowizualne prośby zawiodą, Volkswagen przechodzi do rękoczynów. To unikalna cecha tych systemów – układ hamulcowy generuje serię krótkich, gwałtownych przyhamowań. I są one naprawdę dość gwałtowne. To absolutnie nie jest płynne zwolnienie, raczej kinetyczny wstrząs, który ma obudzić kierowcę z mikrosnu lub omdlenia.





W niektórych wersjach towarzyszy temu gwałtowne dociągnięcie pasów bezpieczeństwa (zależy od modelu i wersji wyposażenia).

Faza 3: przejęcie kontroli. Czyli awaryjne zatrzymanie (The Emergency Stop). Jeśli pomimo sygnałów wizualnych i akustycznych oraz po „szarpnięciach” kierowca nadal nie reaguje, system uznaje go za niezdolnego do jazdy. W tym momencie „Niewidzialny Pasażer” przejmuje władzę. Włącza światła awaryjne, trąbi klaksonem (by ostrzec innych kierowców o nietypowym zachowaniu) i rozpoczyna hamowanie, utrzymując auto na pasie ruchu. Pojazd może nawet wykonywać delikatne wężykowanie w obrębie pasa, by dodatkowo zasygnalizować otoczeniu problem. Po zatrzymaniu włącza hamulec postojowy, odryglowuje drzwi, zapala światło wewnętrzne i inicjuje połączenie eCall ze służbami ratunkowymi.

Emergency Assist vs Emergency Assist

Działanie opisywanego systemu może się subtelnie różnić zależnie do modelu i platformy na jakiej ów model powstał. Pamiętajmy, że platforma definiuje tak naprawdę potencjał technologiczny wozu. O ile powyżej opisane fazy jak najbardziej zaistnieją w podobnej sytuacji w wielu niekoniecznie najnowszych Volkswagenach z systemem Travel Assist na



pokładzie, o tyle np. w VW ID.7 podobna sytuacja wywoła jeszcze jeden etap, manewr Pull Over.

W tym manewrze widać pewną przewagę platformy MEB w ID.7 oraz najnowszych wersji MQB evo w T-Rocu (po liftingu). Jeśli system (dzięki tylnym radarom) wie, że jest na autostradzie, a prawy pas lub pobocze są wolne, nie zatrzyma się na środku drogi. Samodzielnie włączy kierunkowskaz i zjedzie na bezpieczniejszą pozycję. To gigantyczna różnica w bezpieczeństwie – usunięcie zatrzymującego się pojazdu z lewego pasa drastycznie zmniejsza ryzyko karambolu. Warunkiem jest jednak posiadanie pełnego pakietu Travel Assist i Side Assist oraz prędkość zazwyczaj powyżej 90 km/h.

Dane Roju

Wspominałem o tym wcześniej, że w pewnych sytuacjach, gdy sensoryka lokalnie otrzymuje zbyt mało danych z otoczenia lub są one niepełne, najnowsze modele Volkswagena potrafią czerpać z jeszcze jednego źródła.

Dane Roju (Swarm Data) to inteligencja zbiorowa, czy też – jak kto woli – kolektywna. Na przykład w modelu ID.7 (ale również i w wielu innych Volkswagenach, jak np. w najnowszych T-Rocach przy odpowiednio wysokim poziomie wyposażenia) system korzysta z anonimowych danych zbieranych z tysięcy innych Volkswagenów. Dzięki temu Emergency Assist potrafi utrzymać auto na pasie nawet tam, gdzie brakuje jednej z linii (np. na drogach krajowych bez linii środkowej), „ucząc się” toru jazdy od innych aut, które przejeżdżały tą trasą.

Pre-Crash: fizyka i biomechanika „uścisku”

Podczas gdy Emergency Assist próbuje zapobiec wypadkowi, system Proactive Occupant Protection (Pre-Crash) działa w scenariuszu, gdzie zderzenie jest niemal nieuchronne. Jego zadaniem jest przygotowanie fizyki ciał pasażerów na ekstremalne przeciążenia.

Podczas gdy Emergency Assist próbuje zapobiec wypadkowi, system Proactive Occupant Protection (Pre-Crash) działa w scenariuszu, gdzie zderzenie jest niemal nieuchronne.



Algorytmy monitorują dwa wektory zagrożeń. Pierwszy to dynamika własna – system wykrywa „paniczne” hamowanie (gwałtowny wzrost ciśnienia w układzie hamulcowym) lub utratę stabilności (nadsterowność/podsterowność poprzez ESC). Drugi wektor to zagrożenie zewnętrzne (Rear-End) – radary tylne wykrywają obiekt zbliżający się z tyłu z dużą różnicą prędkości, co sugeruje najechanie.

Wówczas w trakcie milisekund zapada mnóstwo decyzji, przyjrzymy się im bliżej:

- Odwracalne napinanie pasów: to jeszcze nie pirotechnika. Silniki elektryczne w zwijaczach (nie mylić z pirotechnicznymi napinaczami działającymi podczas uderzenia) gwałtownie cofają pas, kasując luz wynikający np. z grubych ubrań (mamy wszak zimę). Kierowca i pasażerowie zostają niejako „przyklejeni” do fotela. To kluczowe biomechanicznie – w momencie uderzenia ciało jest w optymalnej pozycji względem poduszki powietrznej, a proces wytracania prędkości (ride-down) zaczyna się wcześniej, co chroni klatkę piersiową.
- Domykanie: system domyka szyby i dach panoramiczny, zostawiając minimalną szczelinę. Dlaczego nie do końca? Chodzi o fizykę wybuchu poduszek. Pozostawienie szpary pozwala na wyrównanie skoku ciśnienia w kabinie, chroniąc bębenki w uszach pasażerów. Jednocześnie domknięta szyba stanowi niezbędne oparcie dla rozwijającej się kurtyny powietrznej – przy otwartym oknie kurtyna mogłaby wypaść na zewnątrz, tracąc skuteczność.
- Sygnalizacja: w przypadku zagrożenia najechania na tył, tylne światła awaryjne zaczynają migać z wysoką częstotliwością, by „obudzić” kierowcę jadącego za nami.

Wybierz mądrze

Wybierając wersję wyposażenia swojego Volkswagena warto mieć na uwadze, że odpowiednio wysoki poziom, to nie tylko np. więcej wygód, lepsze materiały wykończeniowe czy np. pełniejszy system audio, ale też bardziej rozbudowane systemy bezpieczeństwa. Wiele również zależy od konkretnego modelu. W przypadku wyżej pozycjonowanych modeli (jak np. wspomniany VW ID.7 zbudowany na platformie MEB), Emergency Assist jest standardem i zawsze uwzględnia również manewr Pull Over (bezpiecznego zjechania na pobocze).



Z kolei w mniejszym (i tańszym) VW T-Rocu (MQB evo) sytuacja jest bardziej zniuansowana. Emergency Assist jest standardem od wersji Life. Bazowa wersja Trend go nie posiada, oferując jedynie podstawowy Front Assist. To kluczowa informacja dla kupującego – oszczędność na wersji wyposażenia oznacza tu rezygnację z „cyfrowego anioła stróża”. Co więcej, system Pre-Crash w T-Rocu często jest elementem płatnego Pakietu Tech lub opcją, nawet w wyższych wersjach. Radar w T-Rocu, umieszczony za logo na grillu, bywa wrażliwy na gęsty, mokry śnieg, o czym również warto pamiętać.

Przyszłość jest już za rogiem

Volkswagen nie stoi w miejscu. Partnerstwo z Mobileye i Valeo zapowiada wprowadzenie systemów opartych na procesorach EyeQ6 High, które umożliwią automatyzację poziomu 2+. Oznacza to jeszcze



płynniejsze działanie Emergency Assist, detekcję 360 stopni i potencjalnie jazdę „bez użycia rąk” w określonych strefach. Scentralizowana jednostka sterująca zastąpi wiele obecnych sterowników, drastycznie skracając czas reakcji.

Wnioski: zaufanie ograniczone fizyką

Systemy Emergency Assist i Pre-Crash to jedne z najbardziej zaawansowanych rozwiązań w klasie popularnej. Nie są jednak nieomyślne. Zima bezlitośnie weryfikuje czystość sensorów – komunikat o „braku widoczności” należy traktować poważnie, bo oznacza deaktywację systemów ratunkowych.

Niemniej, świadomość, że w sytuacjach granicznych – gdy my zawiedziemy biologicznie lub fizyka wymknie się spod kontroli – samochód posiada procedury ratunkowe, daje ogromny komfort psychiczny. Dociągnięcie pasów, domknięcie okien czy autonomiczny zjazd na pobocze to konkretne, fizyczne działania, które mogą decydować o przeżyciu. W modelach ID.7 i nowym T-Rocu, samochód przestaje być tylko maszyną. Staje się partnerem, który w sytuacji krytycznej ma nie tylko prawo, ale i cyfrowy obowiązek przejąć stery. Na koniec, mając na uwadze, że obraz jest wart więcej niż 1000 słów proponuję krótki klip pokazujący działanie Emergency Assist:





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Range Rover SV LWB P615

Gdy pierwsza klasa to za mało

Są samochody, które kupuje się rozumem, analizując tabelki w Excelu. Są takie, które kupuje się sercem, dla czystej emocji. I jest Range Rover SV w wersji LWB (Long Wheelbase). Jego nie kupuje się ani tym, ani tym. Kupuje się go, bo po prostu można.





W twoim garażu stoi już sportowe coupé do zabawy, S-klasa do wożenia dzieci do szkoły, a potrzebujesz czegoś, co sprawi, że wizyta na szczycie w Davos czy podjazd pod operę w Wiedniu nie będą wyglądały na próbę udowodnienia czegośkolwiek komukolwiek. To auto to ostateczny argument w dyskusji, której właściciel nawet nie musi podejmować.

Przez kilka dni, w zimowej scenerii (znacznie bardziej zimowej, niż mieliśmy w święta) miałem okazję obcować z motoryzacyjnym odpowiednikiem prywatnego odrzutowca. Range Rover SV LWB P615 to nie jest po prostu SUV. To demonstracja siły brytyjskiej (z małą pomocą niemiecką, o czym za chwilę) inżynierii i designu. W zasadzie to doskonały przykład inżynierskiego hedonizmu. Egzemplarz, który widzicie na zdjęciach, wyceniono na – usiądźcie, jeśli stoicie – 1 732 910 złotych



brutto. Tak, dobrze czytacie. Ponad milion siedemset tysięcy. Co dostajemy w zamian za równowartość sporego apartamentu w Warszawie lub domu pod miastem? Zapraszam do świata, w którym słowo „kompromis” zostało wykreślone ze słownika.

Miedziany monolit: studium designu za 66 tysięcy

Zacznijmy od tego, co widzą inni, gdy ten kolos doskonale płynnie przetacza się przez miasto. Lakier. W konfiguratorze widnieje pod nazwą Sunrise Copper z wykończeniem Satin. To nie jest po prostu matowy brąz. To głęboka, satynowa miedź, która w zimowym słońcu wygląda jak płynny metal. Sama dopłata za ten lakier wynosi 66 460 zł. To cena niejednego auta miejskiego, tutaj płacimy tyle za samą powłokę lakierniczą. Ale efekt jest piorunujący. Satyna idealnie podkreśla monolityczną, gładką bryłę nadwozia generacji L460, pozbawioną zbędnych przetłoczeń, z chowanymi klamkami i szybami zlicowanymi z karoserią niemal na gładko.





W testowanym egzemplarzu wygląd definiuje również pakiet zewnętrznych akcentów stylistycznych SV Intrepid. To specyficzne dla wersji SV wykończenie, które zastępuje klasyczne chromy ciemniejszymi, bardziej technicznymi detalami w kolorze Anthracite. Do tego dochodzą gigantyczne, 23-calowe felgi (wzór 1075) wykończone w czerni (Gloss Black), które idealnie wypełniają nadkola tego 5,2-metrowego giganta. Dla kontekstu jak wielkie są te koła, podpowiem, że najpopularniejszy rozmiar felg dla ciągników siodłowych (potocznie zwanych TIR-ami) to 22,5 cala. Wracając do RR SV, całość wieńczy kontrastowy, czarny dach, który optycznie obniża sylwetkę.

Bawarskie serce w brytyjskim garniturze

Otwieramy maskę. Tutaj nie ma miejsca na ekologiczne półśrodki w postaci silników R4 czy V6. Oznaczenie P615 na klapie bagażnika zdradza potencjał: 615 koni mechanicznych. Źródłem tej mocy jest podwójnie doładowane V8 o pojemności 4395 cm³. Fani motoryzacji od razu zauważą zmianę – JLR odesłało na emeryturę swoje pancerne 5.0 V8 Supercharged, sięgając po technologię partnera z Bawarii. Tak, to jednostka wywodząca się z konstrukcji BMW (rodzina N63/S63).

Czy to źle? Absolutnie nie. To najlepsze, co mogło spotkać ten model. Silnik generuje potężne 750 Nm momentu obrotowego, dostępnego znacznie



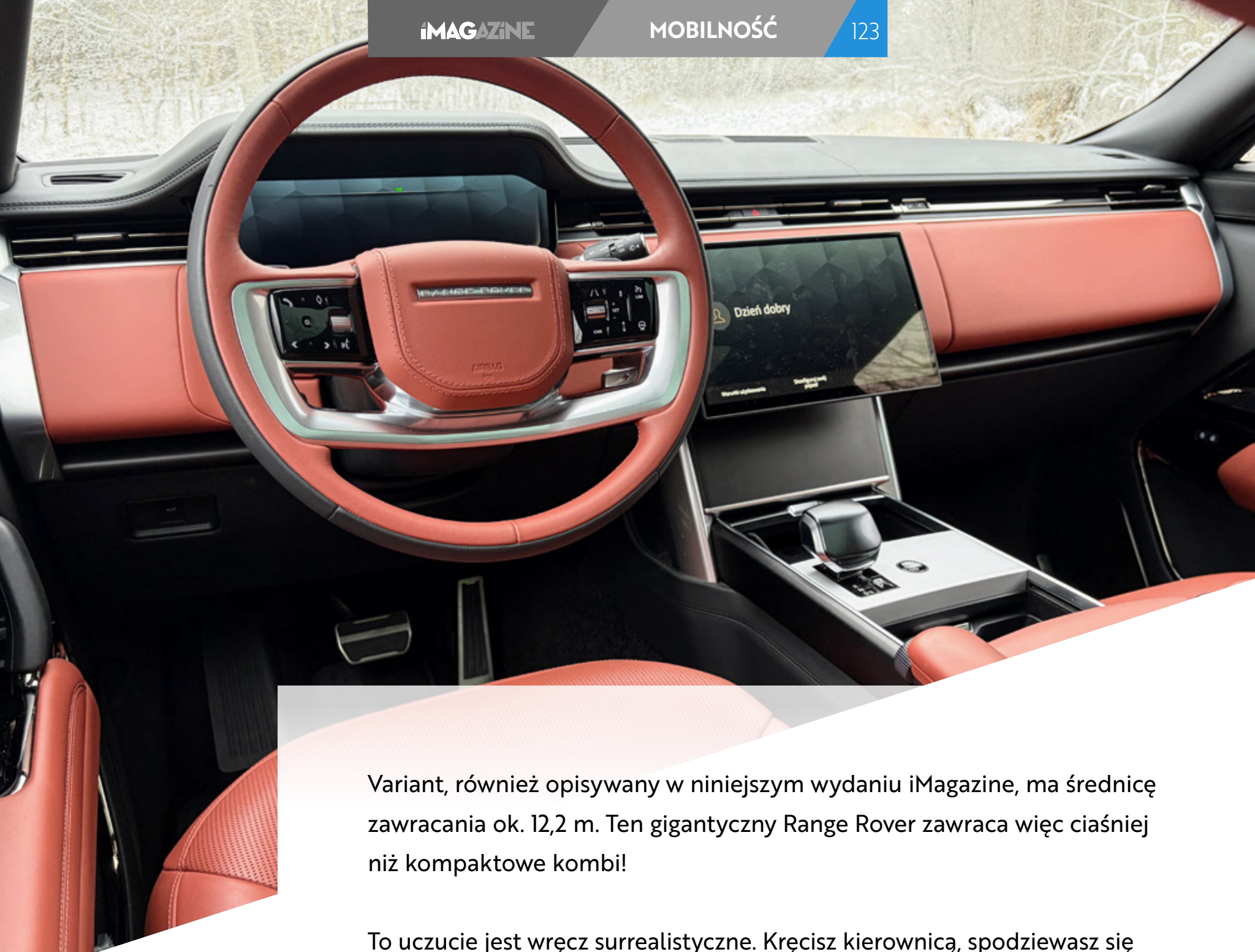
szerzej niż w starym kompresorze. Mimo że auto waży blisko 2,8 tony, katapultuje się do 100 km/h w czasie 4,6 sekundy. To wartość, która jeszcze dekadę temu była zarezerwowana dla aut sportowych. Tutaj odbywa się to w atmosferze absolutnego spokoju. Przód unosi się majestatycznie, jak dziób luksusowej motorówki Riva, a świat za oknem zaczyna się rozmywać. Prędkość maksymalna? Abstrakcyjne 261 km/h.

Magia tylnej osi – czyli jak czołg stał się baletnicą

Range Rover LWB ma ponad 5,2 metra długości. Fizyka podpowiada, że manewrowanie nim w ciasnym garażu powinno być koszmarem. Tymczasem jest... dziecinnie proste. I to nie tylko ze względu na imponujący zestaw kamer dookólnych z widokiem przez maskę czy na felgi.

Sekretem jest seryjny układ All-Wheel Steering (tylna oś skrętna). Tylne koła mogą skrócić się o kąt do 7,3°. Przy niskich prędkościach (poniżej 50 km/h) skręcają w kierunku przeciwnym do przednich. Efekt? Wirtualne skrócenie rozstawu osi. Średnica zawracania tego kolosa wynosi niecałe 12 metrów (ok. 11,5 m). Dla porównania – kompaktowy Volkswagen Golf R





Variant, również opisywany w niniejszym wydaniu iMagazine, ma średnicę zawracania ok. 12,2 m. Ten gigantyczny Range Rover zawraca więc ciaśniej niż kompaktowe kombi!

To uczucie jest wręcz surrealistyczne. Kręcisz kierownicą, spodziewasz się walki i konieczności „brania na trzy”, a auto po prostu składa się w zakręt, jakby łamało prawa fizyki. Z kolei przy wyższych prędkościach koła tylne skręcają w tym samym kierunku, co przednie, co stabilizuje auto przy zmianie pasów na autostradzie. Dzięki temu Range Rovera SV prowadzi się z pewnością, której nie spodziewasz się po aucie o aerodynamice Pałacu Kultury.

Wnętrze: ceramika, drewno i 113 tysięcy za fotele

Prawdziwa magia zaczyna się jednak po zajęciu miejsca w środku. To tutaj widać, za co płacimy te astronomiczne kwoty. Wersja SV (Special Vehicles) to popis możliwości działu personalizacji. Testowany egzemplarz ma wnętrze wykończone w konfiguracji dwukolorowej: przednie fotele pokryto skórą SV Intrepid Near-Aniline w kolorze Rosewood (piękny, ceglany odcień), natomiast tylna kanapa to skóra Semi-Aniline w kolorze Ebony (bliskim czerni).

Ale to detale robią największą robotę. Zapomnijcie o plastikowych przyciskach. W Range Roverze SV elementy sterujące – pokrętła klimatyzacji,





wyberak biegów, przełącznik głośności – wykonane są z ceramiki. W tym konkretnym egzemplarzu to Satin Black Ceramic. Ceramika jest chłodna w dotyku, niesamowicie twarda, odporna na zarysowania i daje poczucie obcowania z czymś szlachetnym, niemal biżuteryjnym.

Jednak najważniejsza opcja w tym aucie to Pakiet SV Signature Suite. Kosztuje on bagatela 113 690 zł. Co dostajemy za cenę nowej Toyoty Corolli? Dostajemy auto czteroosobowe. Z tyłu znika klasyczna kanapa, a pojawiają się dwa niezależne fotele lotnicze Executive Class Comfort Plus. Są one rozdzielone potężną, stałą konsolą centralną, która biegnie przez całą długość kabiny.





W tej konsoli ukryto prawdziwe skarby. Znalazłem w niej między innymi elektrycznie wysuwane miejsca na napoje czy również elektrycznie wysuwany stolik klubowy – solidny, aluminiowy mechanizm wysuwa blat, który w tym egzemplarzu wykończono fornirem pasującym do reszty dekorów (Black Anodised Metal). Idealny, by postawić laptopa albo podpisać kontrakt.

To nie wszystko. Z tyłu, między oparciami, znajduje się chłodziarka z miejscem przeznaczonym na butelkę szampana (czy czegokolwiek innego) i dwa kryształowe kieliszki (które mają swoje specjalne uchwyty, by nie brzęczały podczas jazdy). W samej konsoli umieszczono również ekran sterujący. Ów 8-calowy tablet między fotelami zarządza wszystkim: od rolet, przez oświetlenie, aż po masaż. A masaż to nie byle co – mamy tu funkcję Hot Stone (gorące kamienie), która w zimowe dni jest absolutnym błogostawieństwem.

Technologia w służbie ciszy

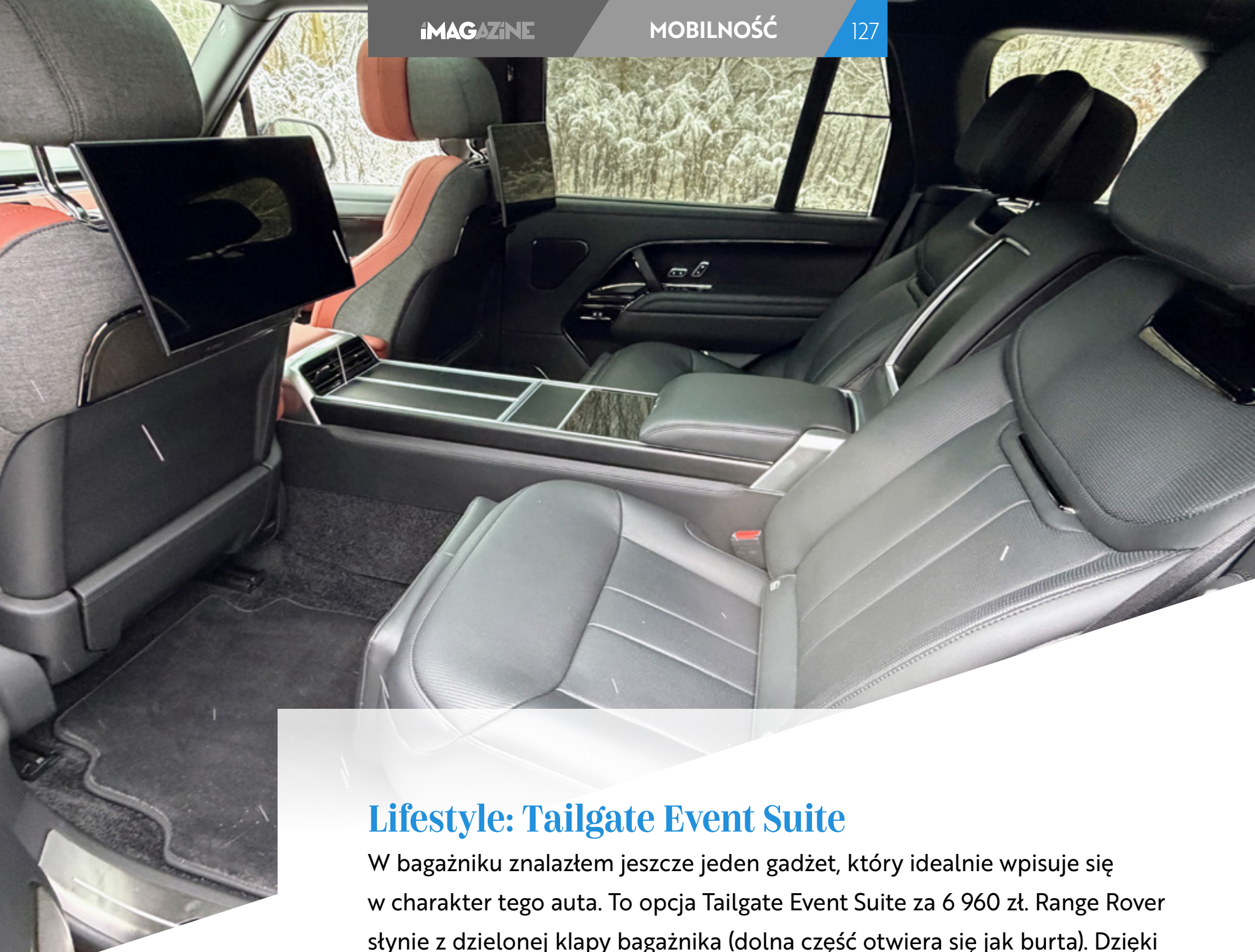
Range Rover SV to również sala koncertowa na kołach. Odpowiada za to system audio Meridian Signature o mocy 1600 W, wyposażony w 34 głośniki oraz subwoofer. Ale moc to nie wszystko. System ten posiada technologię Active Noise Cancellation trzeciej generacji. Działa to podobnie jak w słuchawkach z ANC. Mikrofony w nadkolach monitorują hałas generowany przez opony



i zawieszenie, a głośniki (w tym te ukryte w zagłówkach foteli) generują falę dźwiękową o przeciwnej fazie, która „kasuje” niepożądany szum, zanim dotrze on do uszu pasażerów. Efekt? W tym aucie panuje cisza. Przy 140 km/h na autostradzie można rozmawiać szeptem albo delektować się imponującym, czystym brzmieniem pokładowego systemu audio.

Dla pasażerów z tyłu przewidziano system rozrywki z dwoma ekranami o przekątnej 13,1 cala. Można podłączyć konsolę, laptopa albo po prostu streamować film, odcinając się od świata zewnętrznego. A jeśli chcemy odciąć się dosłownie – wystarczy nacisnąć przycisk, by elektryczne rolety w drzwiach zamieniły wnętrze w prywatne kino.





Lifestyle: Tailgate Event Suite

W bagażniku znalazłem jeszcze jeden gadżet, który idealnie wpisuje się w charakter tego auta. To opcja Tailgate Event Suite za 6 960 zł. Range Rover słynie z dzielonej klapy bagażnika (dolna część otwiera się jak burta). Dzięki tej opcji na dolnej klapie montowane są specjalne, skórzane poduszki, a w górnej części klapy pojawiają się dodatkowe głośniki i oświetlenie. To idealne rozwiązanie na oglądanie meczu polo, piknik na polowaniu czy po prostu podziwianie zachodu słońca nad własną winnicą albo jeziorem. Czy to zbytek? Oczywiście. Ale w tym aucie wszystko jest zbytkiem.

Ile pali smok i czy da się tym żyć?

Pytanie o spalanie w aucie za ponad 1,7 mln zł jest nietaktem, ale dziennikarski obowiązek każe mi na nie odpowiedzieć. Silnik V8 o mocy 615 KM nie jest na diecie. W mieście, w gęstym ruchu warszawskim, na krótkich odcinkach, komputer pokładowy bezlitośnie wskazywał wartości rzędu 25–30 litrów/100 km. Każde dynamiczne ruszanie spod świateł to mały wir w baku. Miłe zaskoczenie odnotowałem w trasie. Przy płynnej jeździe drogami krajowymi (90–100 km/h) udało mi się zejść do okolic 11 litrów/100 km. Jeżeli chcemy jechać równie płynnie, ale szybciej, to autostradowe 140 km/h stabilizuje spalanie w okolicach 15–16 litrów na każde pokonane 100 km.





Biorąc pod uwagę moc, masę i aerodynamikę, wyniki w trasie są jak najbardziej akceptowalne. Problemem może być zasięg w mieście, mimo sporego, 90-litrowego baku. Ale powiedzmy sobie szczerze – właściciel tego auta tankuje do pełna i nie patrzy na dystrybutor.

W codziennym użytkowaniu auto zaskakuje jednak czymś innym – łatwością obsługi. System Pivi Pro na 13,1-calowym zakrzywionym ekranie działa płynnie, ma świetną grafikę i bezprzewodowo obsługuje Apple CarPlay. Kamery 3D Surround pokazują obraz doskonale, co w połączeniu z systemem automatycznego parkowania sprawia, że nawet wjazd do ciasnego garażu podziemnego nie powoduje palpacji serca (choć trzeba uważać na wysokość – auto jest potężne).

Podsumowanie

Range Rover SV LWB P615 to szczyt motoryzacyjnego łańcucha pokarmowego. To samochód totalny, który łączy w sobie sprzeczności. Jest wielki jak czołg, a zwrotny jak kompakt (dzięki tylnej osi skrętnej). Jest dynamiczny i szybki, a jednocześnie relaksujący jak wizyta w SPA. Jest naszpikowany technologią, ale w obsłudze pozostaje intuicyjny i analogowy w odczuciu (dzięki ceramice i skórze).

Wersja z pakietem Signature Suite to propozycja dla egoistów w najlepszym tego słowa znaczeniu. Rezygnujesz



z praktyczności (brak składanej kanapy, mniejszy bagażnik przez stałą przegrodę, tylko 4 miejsca) na rzecz absolutnego luksusu dla dwójki pasażerów z tyłu. Czy jest wart 1,7 miliona złotych? W kategorii „transport z punktu A do B” – oczywiście, że nie. Ale w kategorii „dobra luksusowe”, gdzie płaci się za emocje, jakość materiałów i prestiż – Range Rover SV gra w swojej własnej lidze, patrząc na niemiecką konkurencję z lekkim politowaniem, a z Rolls-Roycem Cullinanem wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, będąc przy tym od niego nowocześniejszym i... tańszym. Range Rover zrobił wóz, który nie ma sensu. Ale to samochód, który ma znaczenie.

Range Rover SV LWB P615



- Design: 6/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5,5/6

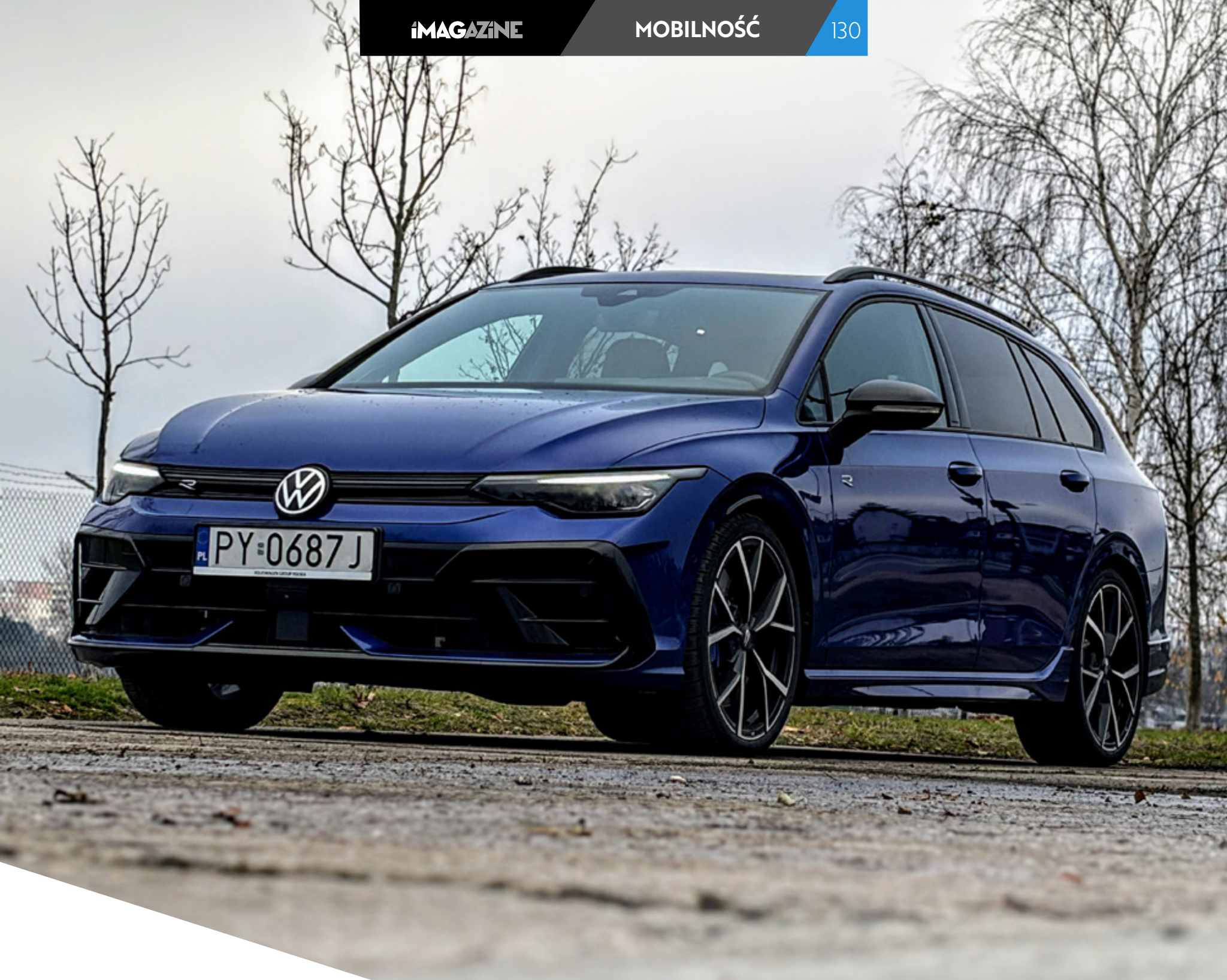
+ Plusy:

- Zwrotność: tylna oś skrętna
- Signature Suite: warunki podróży lepsze niż w pierwszej klasie linii lotniczych.
- Wyciszenie: system ANC w zagłówkach działa cuda.
- Detale: ceramiczne wykończenie przełączników (Satin Black Ceramic) to haptyczny majstersztyk.
- Audio: Meridian Signature 1600 W to uczta dla audiofila.
- Tailgate Event Suite: siedzenie na bagażniku nigdy nie było tak luksusowe.

- Minusy:

- Cena: ponad 1,7 mln zł. To poziom, gdzie kończy się motoryzacja, a zaczyna rynek nieruchomości.
- Praktyczność: w wersji Signature Suite to auto ściśle 4-osobowe, a stała konsola ogranicza przewóz długich przedmiotów (np. nart w środku).
- Spalanie: W mieście potrafi wypić ponad 30 l/100 km.
- Rozmiar: mimo świetnej zwrotności fizyczna szerokość i długość mogą wykluczyć wjazd na niektóre parkingi podziemne (skrajnia).





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Volkswagen Golf R Variant

Tatuś woli szybciej

Żyjemy w czasach, w których motoryzacyjny rozsądek powoli zabija emocje. Wszędzie SUV-y, hybrydy, elektryki i wszechobecna „zrównoważona mobilność”. A co, jeśli jesteś głową rodziny, wozisz wózek, zakupy i psa, ale w głębi duszy wciąż masz ochotę urwać się ze światła szybciej niż 90% aut na drodze?





Kombi nie musi być nudnym rodzinnym „wozidłem” przedstawiciela handlowego. Skąd to wiem? Odpowiedzią jest on. Volkswagen Golf R Variant. Auto, które łączy sprzeczności w sposób tak naturalny, jakby inżynierowie z Wolfsburga znali twoje najskrytsze pragnienia.

Do naszej redakcji trafił egzemplarz, który już na pierwszy rzut oka krzyczy: „to nie jest zwykły Golf”. Pokryty charakterystycznym lakierem Niebieski Lapis metalik, z czarnymi dodatkami i czterema końcówkami wydechu, wygląda jak atleta w dobrze skrojonym garniturze. Ale czy auto za ponad ćwierć miliona złotych to wciąż Golf, czy już coś więcej?

Błękitna rakietka

Zacznijmy od tego, co najważniejsze w literce R. Pod maską pracuje tu zmodernizowana jednostka 2.0 TSI, która generuje teraz konkretne 333 KM (245 kW). To więcej niż w wielu sportowych autach sprzed dekady i na pewno więcej niż w R-kach poprzednich generacji. Do tego mamy 420 Nm momentu obrotowego, co w połączeniu z napędem na cztery koła 4MOTION, masą nieco ponad 1,6 tony i błyskawicznie działającą, 7-stopniową skrzynią DSG katapultuje to rodzinne kombi do setki w 4,8 sekundy.



Testowany egzemplarz został doposażony w Pakiet R-Performance. Co to daje? Między innymi przesunięcie ogranicznika prędkości maksymalnej do 270 km/h. Tak, dobrze czytacie. Rodzinne kombi, którym na niemieckiej autostradzie możecie pogonić niejedno Porsche. W skład tego pakietu wchodzi też specjalne tryby jazdy, w tym Drift (do zabawy na torze) oraz Special (zestrojony pod Nürburgring), ale o tym za chwilę.

Golf R stoi na 19-calowych felgach Estoril z oponami o profilu 35, czyli już niemal „naleśnikami”, a zza czarnych ramion felg przebijają niebieskie zaciśki hamulcowe z logo R. Całość wygląda bojowo, ale nie karykaturalnie. To wciąż auto, którym bez wstydu podjedziesz zarówno pod przedszkole, jak i pod zimowy kurort.

Wnętrze: sport i... drobne oszczędności

W środku od razu czuć, że siedzimy w topowej wersji. Fotele to absolutna ekstraklasa – kubelkowe, zintegrowane z zagłówkami, wykończone skórą Nappa. Są świetnie wyprofilowane, trzymają w zakrętach jak imadło, a jednocześnie są na tyle wygodne, że po 800 km trasy wysiadłem z nich bez





bólu pleców. Co więcej, są nie tylko podgrzewane, ale i wentylowane (klimatyzowane), co latem jest zbawieniem.

Uwagę zwracają detale. Niebieskie wstawki w bocznych foteli, niebieskie przeszycia i logo R wyhaftowane na oparciach. To drobiazgi, ale budują klimat. Nawet tylna kanapa ma te smaczki – boczki zagłówek również wykończono na niebiesko, co świetnie koresponduje z kolorem nadwozia.

Jest jednak łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Konfigurując auto za taką kwotę, można poczuć lekki niesmak, patrząc na sterowanie fotelami. Owszem, fotel kierowcy jest sterowany w pełni elektrycznie, z pamięcią ustawień. Ale pasażer? Musi zadowolić się „wajchą”. Biorąc pod uwagę, z jaką wersją Golfa miałem do czynienia, odczułem lekkie rozczarowanie.



Deska rozdzielcza to królestwo ekranów. Centralny wyświetlacz systemu nawigacji Discover ma teraz aż 12,9 cala. Działa szybko, grafika jest ostra jak żyłeta, a nowy asystent głosowy IDA zintegrowany z ChatGPT to ciekawostka, która pewnie częściej posłuży do zabawy niż realnej pomocy, ale warto odnotować jej obecność. Mamy tu też wyświetlacz Head-Up, który rzuca najważniejsze dane prosto na szybę.

Jak to jeździ?

Jazda Golfem R Variant to doświadczenie z pogranicza dwóch światów. Z jednej strony masz adaptacyjne zawieszenie DCC, które w trybie Comfort skutecznie filtruje nierówności. Mimo 19-calowych felg i sportowego rodowodu, auto nie jest „betonowe”. Da się nim jeździć na co dzień bez ryzyka utraty plomb w zębach. Układ jezdy jest sprężysty, zwarty, ale nie męczący.

Z drugiej strony, wystarczy jedno kliknięcie przycisku R na kierownicy, by obudzić bestię, a na twarzy kierowcy wywołać szeroki uśmiech. Wydech zaczyna brzmieć bardziej basowo (choć w znacznej mierze to zasługa głośników), skrzynia trzyma obroty, a reakcja na gaz staje się wręcz





telepatyczna. Napęd 4MOTION z systemem R-Performance Torque Vectoring (czyli de facto blokada mechanizmu różnicowego XDS i inteligentny rozdział momentu na tylnej osi) sprawia, że auto klei się do drogi w sposób wręcz nienaturalny. Zwłaszcza jak na kombi. A to nadwozie ma swoje olbrzymie zalety.

Praktyczność na piątkę

Nie zapominajmy, że to wersja Variant. Bagażnik jest po prostu ogromny. Przy rozłożonych siedzeniach mamy do dyspozycji 611 litrów. To przepaść, w której zginą tygodniowe zakupy. Po złożeniu oparć (które dzielą się w proporcji 40/60 i mają otwór na narty) przestrzeń rośnie do 1642 litrów. Długość bagażnika po złożeniu siedzeń to prawie 1,9 metra, więc przy odrobinie uporu można tam spać.



Mamy tu też elektrycznie otwieraną klapę z funkcją Easy Open (machnięcie nogą), gniazdo 12 V i haczyki na siatki. To pełnoprawne, funkcjonalne kombi, które przypadkiem ma osiągi prawdziwie sportowego auta.

Ile to pali?

333 konie muszą pić, prawda? I tak, i nie. Producent deklaruje średnie zużycie w cyklu mieszanym (WLTP) na poziomie 8,28 l/100 km. A jak jest w rzeczywistości? Podczas mojego testu, na dystansie 808 km, średnie spalanie wyniosło równo 10,0 l/100 km. Czy to dużo? Biorąc pod uwagę, że nie uprawiałem ekofazdy, korzystałem z potencjału silnika i cieszyłem się dynamiką – uważam to za wynik bardzo uczciwy. W mieście trzeba liczyć się z okolicami 11–12 litrów, ale w trasie przy spokojnej jeździe da się bez najmniejszego problemu zejść poniżej dyszki. Ba, moja próba spokojnego pokonania kilkudziesięciokilometrowej trasy międzymiastowej po drogach krajowych i wojewódzkich oznaczała wynik 7,4 l/100 km. Ale nie oszukujmy się, nikt nie wybiera Golfa R, by uprawiać ekstremalną ekofazdę. To przecież marnowanie potencjału, za który się płaci. I to niemało.



Podsumowanie

Volkswagen Golf R Variant to samochód kompletny. To „szwajcarski scyzoryk” motoryzacji. Jest wystarczająco szybki, by zawstydzić większość aut na drodze, wystarczająco wygodny, by pojechać nim na wakacje do Chorwacji i wystarczająco pakowny, by przywieźć stamtąd zapas wina na cały rok. Cena? Testowany egzemplarz, doposażony pod korek (m.in. dach panoramiczny, skóra Nappa, Head-Up, kamery 360), kosztuje 256 650 zł. Bazowo startujemy od 197 690 zł. To góra pieniędzy jak na kompakt, ale relatywnie niewiele jak na auto o takich osiągnięciach i wszechstronności. Jeśli szukasz jednego auta do wszystkiego i nie chcesz rezygnować z emocji na rzecz praktyczności – Golf R Variant jest jedną z ostatnich, i zarazem najlepszych, propozycji na rynku.

Volkswagen Golf R Variant 2.0 TSI 4MOTION



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 6/6

+ Plusy:

- Fenomenalne osiągi (333 KM, 4,8 s do setki) i pewność prowadzenia w każdych warunkach
- Ogromna praktyczność nadwozia kombi (611 l bagażnika)
- Świetne fotele sportowe ze skórą Nappa i wentylacją
- Udany kompromis w nastawach zawieszenia DCC – sztywno, ale nie „betonowo”
- Rasowy wygląd wersji R, szczególnie w kolorze Lapiz Blue
- Zaawansowane multimedia z dużym ekranem 12,9"

– Minusy:

- Manualna regulacja fotela pasażera w aucie za ćwierć miliona złotych to pomyłka
- Dotykowa obsługa na kierownicy wciąż bywa irytująca (choć da się przyzwycząić)
- Wysoka cena zakupu doposażonej wersji





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Omoda 9 Super Hybrid

Chiński cios w klasę średnią. Czy celny?

Chińska motoryzacja przestała pukać do drzwi Europy. Ona weszła do przedpokoju, rozsiadła się w salonie i zaczyna meblować go po swojemu. Omoda 9 Super Hybrid to flagowy okręt marki, który ma za zadanie udowodnić, że Państwo Środka potrafi robić nie tylko tanie auta miejskie, ale też potężne SUV-y aspirujące do klasy premium.



Do naszej redakcji trafił egzemplarz w topowej wersji Exclusive, wycenionej na 219 900 zł, pokryty opcjonalnym, matowym lakierem Universe Gray za dodatkowe 5000 zł. Łącznie niespełna 225 tysięcy złotych za 5-metrowego SUV-a o mocy... no właśnie, o jakiej mocy? O tym za chwilę.

Matowy kolos i pierwsze rysy na szkle

Z zewnątrz Omoda 9 robi wrażenie. To kawał ciekawie narysowanego i trzymającego estetyczne proporcje samochodu. Mierzy 4835 mm długości, co stawia go w szranki z takimi tuzami jak Lexus RX czy nawet BMW X5, choć cenowo celuje raczej w Toyotę RAV4. Matowy, szary lakier Universe Gray dodaje mu powagi i nowoczesnego sznytu. Auto wygląda solidnie, masywnie i – co tu dużo mówić – drogo.

Niestety, czar nieco pryska po zajęciu miejsca w środku. I nie chodzi tu o projekt, bo ten jest nowoczesny i całkiem estetyczny. Użyczony nam egzemplarz testowy miał na liczniku prawie 20 tysięcy kilometrów przebiegu. W świecie motoryzacji to zazwyczaj moment, w którym auto jest





„dobrze dotarte”. Tymczasem w Omodzie widać było już zmęczenie materiału. Uwagę zwracały rysy na rolecie schowka w konsoli centralnej, ślady zużycia na bocznych drzwiach czy wyraźne odkształcenia i wgniecenia na skórzanej tapicerce foteli (wykonanej ze skóry ekologicznej i naturalnej). To budzi uzasadnione obawy o trwałość tych materiałów w dłuższej perspektywie. Skoro po 20 tysiącach kilometrów (fakt, dziennikarskich, a więc trudnych) wnętrze nosi takie ślady, jak będzie wyglądać po 100 tysiącach?

Papier przyjmie wszystko, czyli gdzie te 537 koni?

Zajrzyjmy w dane techniczne, bo tam dzieją się rzeczy niestworzone. Omoda deklaruje moc systemową na poziomie 537 KM i moment obrotowy sięgający 800 Nm. Brzmi to jak specyfikacja sportowego bolidu. Do tego przyspieszenie 0–100



km/h w czasie 4,9 sekundy. Liczby robią wrażenie, ale... fizyki i inżynierii nie da się oszukać samymi cyferkami w Excelu. Układ napędowy to skomplikowana hybryda typu plug-in. Mamy tu silnik spalinowy 1.5 TGD i o mocy zaledwie 156 KM. Główną siłą napędową są jednak dwa silniki elektryczne: przedni o mocy 224 KM (165 kW) i tylny o mocy 238 KM (175 kW).

W praktyce, owszem, auto jest szybkie. Start spod świateł potrafi wbić w fotel, a wynik poniżej 5 sekund do setki jest jak najbardziej realny (na suchej nawierzchni) i odczuwalny. Jednak w codziennej jeździe, szczególnie przy wyższych prędkościach, nie czuć tu tych deklarowanych 537 koni mechanicznych. Subiektywne odczucia plasują ten wóz w okolicach 350–400 KM. Dlaczego? Bo przy wyższych prędkościach relatywnie niewielki silnik spalinowy (1.5 l) dostaje zadyszki, a system musi żonglować energią, by utrzymać tempo. To hybryda nastawiona na jazdę elektryczną, gdzie silnik spalinowy jest raczej wsparciem niż głównym aktorem.





Elektryczny długodystansowiec

Tu dochodzimy do największej zalety Omody 9. To hybryda plug-in, która ma sens. Na pokładzie znalazł się potężny jak na PHEV-a akumulator o pojemności aż 34,46 kWh. Producent deklaruje zasięg elektryczny na poziomie 115 km (wg WLTP). I wiecie co? Nie kłamię. Podczas testu, przy temperaturze około 10°C, bez trudu osiągałem wyniki rzędu 100 km na samym prądzie.

To oznacza, że mając dom z fotowoltaiką, możecie jeździć tym dużym SUV-em niemal za darmo, traktując go na co dzień jak pełnoprawnego elektryka. Co więcej, auto wyposażono w złącze CCS, co umożliwia szybkie ładowanie prądem stałym (DC) z mocą (wg producenta) do 60 kW. Jednak w praktyce, gdy podpiąłem użyczony egzemplarz na szybkiej stacji EKOEN pod Redutą w Warszawie, uzyskałem maksymalnie 30,3 kW mocy, a komputer sugerował, że pełną baterię ze stanu 29% będę mieć po niespełna półtorej godziny. To nie jest ultra szybko, ale... szybciej niż 3,6 kW w starszych, jednofazowych PHEV-ach wyłącznie ze złączem AC.

A co w trasie? Tu Omoda 9 wyciąga asa z rękawa. Większość hybryd plug-in ma mikroskopijne baki paliwa (często 40–45 litrów). Omoda 9 Super





Hybrid ma solidne 70 litrów. Połączenie dużej baterii i dużego baku sprawia, że zasięg całkowity tego ważącego prawie 2,25 tony kolosa realnie przekracza 1000 km. Producent mówi nawet o ponad 1200 km, co przy spokojnej jeździe wydaje się osiągalne. To fantastyczny wynik, czyniący z tego auta świetnego kompana dalekich podróży. Dodajmy, wygodnych.

Komfort i ergonomiczne wpadki



Jazda Omodą 9 to relaks. Zawieszenie CDC (z regulacją tłumienia) nastawione jest na komfort. Auto płynie po drodze, a kabina jest zaskakująco dobrze wyciszona (zastosowano szyby dźwiękochłonne). Do tego dochodzą fotele z funkcją 8-punktowego masażu, które naprawdę robią robotę. To nie jest tylko „pompowanie lędźwi”, ale



solidny masaż z szerokim zakresem regulacji, co z pewnością docenicie po kilkuset kilometrach. Niestety, ergonomia wymaga przyzwyczajenia. Choć Chińczycy zostawili sporo fizycznych przycisków i pokręteł (chwata im za to!), ich rozmieszczenie i logika działania bywają dyskusyjne. Czasem trzeba się chwilę zastanowić, co autor miał na myśli.

Bagażnik: gdzie się podziały litry?

Ostatnia kwestia to bagażnik. W broszurach Omoda chwali się pojemnością 660 litrów. Brzmi wspaniale, prawda? Niestety, jest to wartość podana według normy VDA 215, co w praktyce oznacza często pomiar do linii dachu lub z wykorzystaniem wnęk, których normalnie nie używamy. W rzeczywistości, otwierając elektryczną klapę, widzimy przestrzeń, która jest... płytka. Podłoga bagażnika jest umieszczona wysoko (pod nią kryje się osprzęt napędu), przez co do rolety mamy zauważalnie mniej miejsca niż sugerowałyby to dane katalogowe. Owszem, bagażnik jest długi i szeroki, ale jego „litraż” na papierze jest kolejnym przykładem marketingowego optymizmu.



Omoda 9 Super Hybrid Exclusive



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 3,5/6
- Oprogramowanie: 4/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- Rewelacyjny zasięg elektryczny (~100 km realnie) dzięki dużej baterii 34,4 kWh
- Imponujący zasięg całkowity (>1000 km) dzięki 70-litrowemu bakowi
- Dobre wyciszenie kabiny i komfortowe zawieszenie CDC
- Bogate wyposażenie seryjne (masaże, wentylacja, audio Sony)
- Szybkie ładowanie DC

– Minusy:

- Widoczne ślady zużycia wnętrza przy relatywnie niewielkim przebiegu (ok. 20 tys. km)
- Moc 537 KM odczuwalna tylko „na papierze” i przy pełnej baterii
- Płytki bagażnik (realna pojemność użyteczna jest mniejsza niż deklarowane 660 litrów)
- Ergonomiczne niedociągnięcia w obsłudze kokpitu

Podsumowanie

Omoda 9 Super Hybrid to samochód pełen sprzeczności. Z jednej strony oferuje imponującą technologię, świetny zasięg (zarówno elektryczny, jak i całkowity) oraz bogate wyposażenie w cenie, która zawstydza europejską i japońską konkurencję. Z drugiej strony, widać tu pewne braki w jakości materiałów (szybkie zużycie wnętrza), a papierowe dane dotyczące mocy i pojemności bagażnika należy traktować z przymrużeniem oka. Czy warto? Za niespełna 220 tysięcy złotych dostajemy kawał nowoczesnego, szybkiego i oszczędnego SUV-a. Jeśli przymkniesz oko na „wgniecenia na tapicerce” i specyficzną ergonomię, Omoda 9 może być czarnym koniem (lub szarym, matowym koniem) twoich zakupowych rozważań. Zwłaszcza jeśli masz gdzie ją ładować.





Do zobaczenia
na YouTube

SUBSKRYBUJ





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Apple Fitness+

– pięć lat czekania, pięć sekund na decyzję

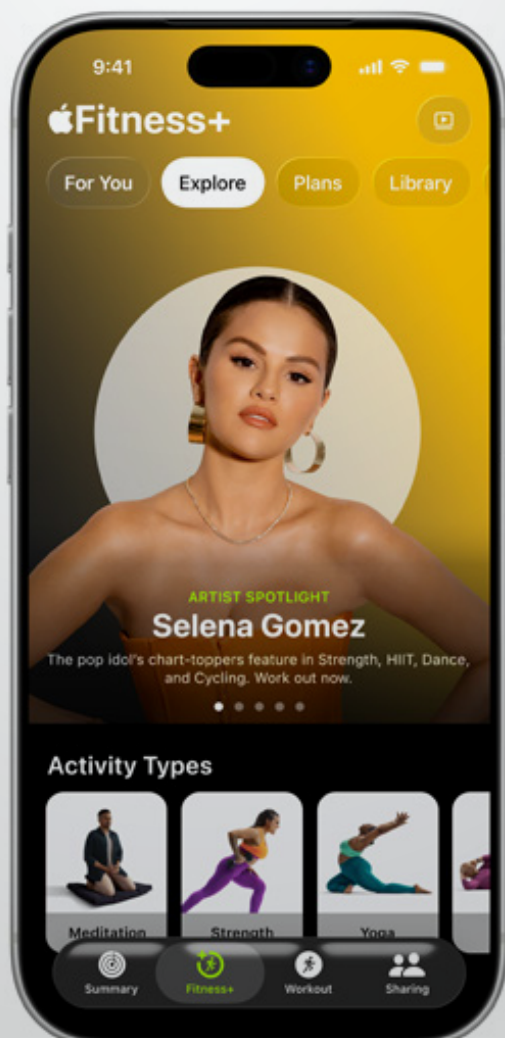
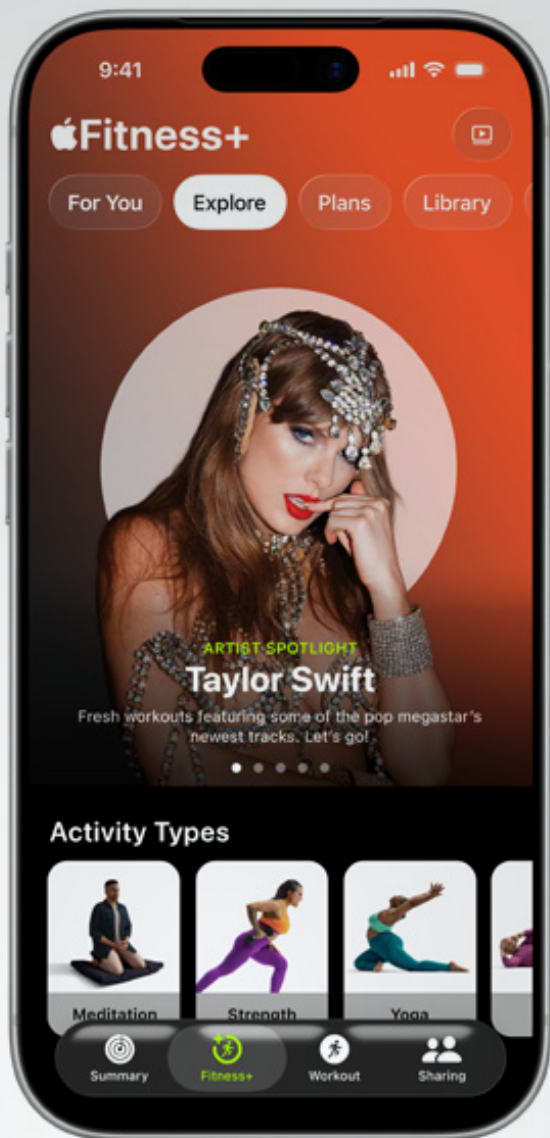
Pięć lat. Tyle musieliśmy w Polsce czekać, żeby Apple Fitness+ w końcu oficjalnie przekroczył Wisłę. Usługa, o której od dawna czytaliśmy w zagranicznych mediach, którą oglądaliśmy na zrzutach ekranu i w recenzjach znajomych z Niemiec, Hiszpanii czy USA, wreszcie stała się „nasza”. I co tu dużo mówić – moment jest niemal idealny.

Bo jeśli istnieje jakiś uniwersalny kalendarz technologiczno-życiowy, to Apple Fitness+ trafia do Polski dokładnie w tym punkcie, w którym lodówka jeszcze pamięta świąteczne serniki, a głowa zaczyna już planować noworoczne postanowienia. Te same, które zwykle kończą się gdzieś między drugim a trzecim tygodniem stycznia.

Fitness w rytmie postanowień noworocznych

Nie oszukujmy się – styczeń to miesiąc, w którym obiecujemy sobie wszystko. Będę się ruszać. Będę dbać o zdrowie. Będę lepszą wersją siebie.





I bardzo często te obietnice rozbijają się o jedną prostą barierę: logistykę. Dojazd na siłownię, grafik, karnet, trener personalny, presja otoczenia. Apple Fitness+ wchodzi tu całe na białą, mówiąc: „Zrób to w domu. Albo gdziekolwiek jesteś”.

I robi to w sposób typowo apple'owy – bez krzyku, bez agresywnego coachingu, bez porównań „before/after”. Po prostu odpalasz trening i ćwiczysz.

Cena, która zmienia perspektywę

159 zł za rok. Albo 19,99 zł miesięcznie. To jest ten moment, w którym naprawdę trudno znaleźć sensowny kontrargument. Roczny dostęp kosztuje mniej niż jedno spotkanie z trenerem personalnym, a mówimy o bibliotece setek treningów, regularnie aktualizowanych, nagrywanych w 4K, z muzyką i pełną integracją ze sprzętem.

Tak, szkoda, że Fitness+ nie jest częścią Apple One, tak jak w Niemczech. Tak, szkoda, że nie doczekaliśmy się pełnego tłumaczenia czy chociaż dubbingu AI – skoro Hiszpania i Niemcy mogą, to Polska też kiedyś powinna. Ale nawet z tymi „ale” rachunek jest prosty: to jedna z najtańszych usług w ekosystemie Apple, która realnie może coś zmienić w codziennym życiu.



Zawsze przy sobie – i to dosłownie

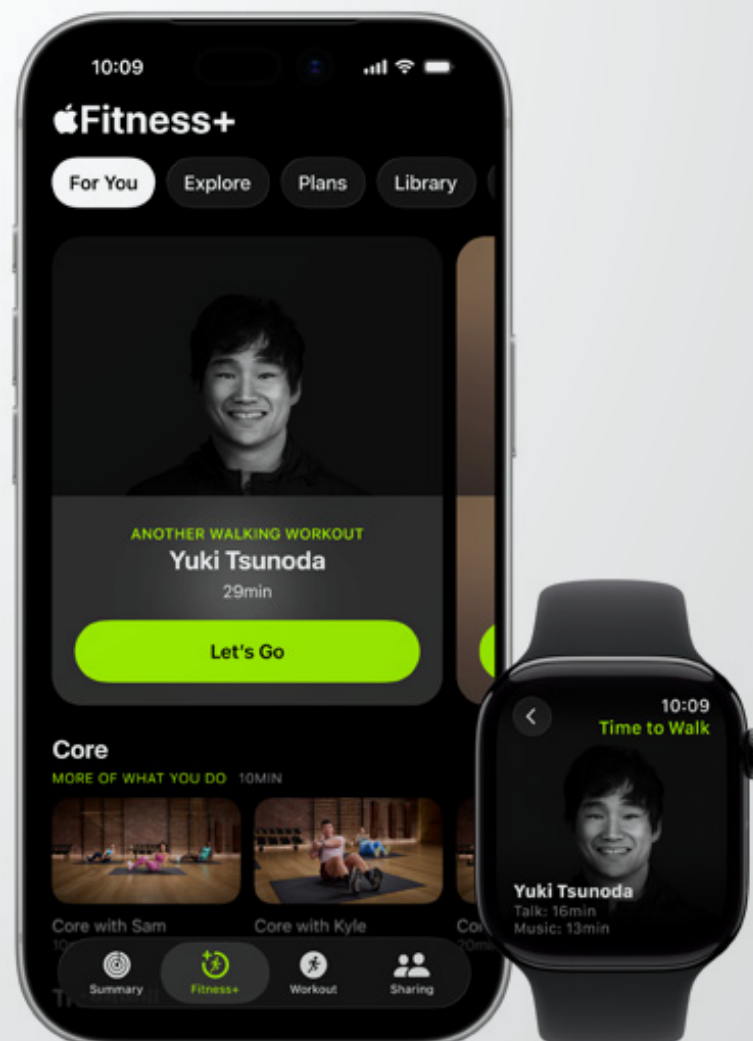
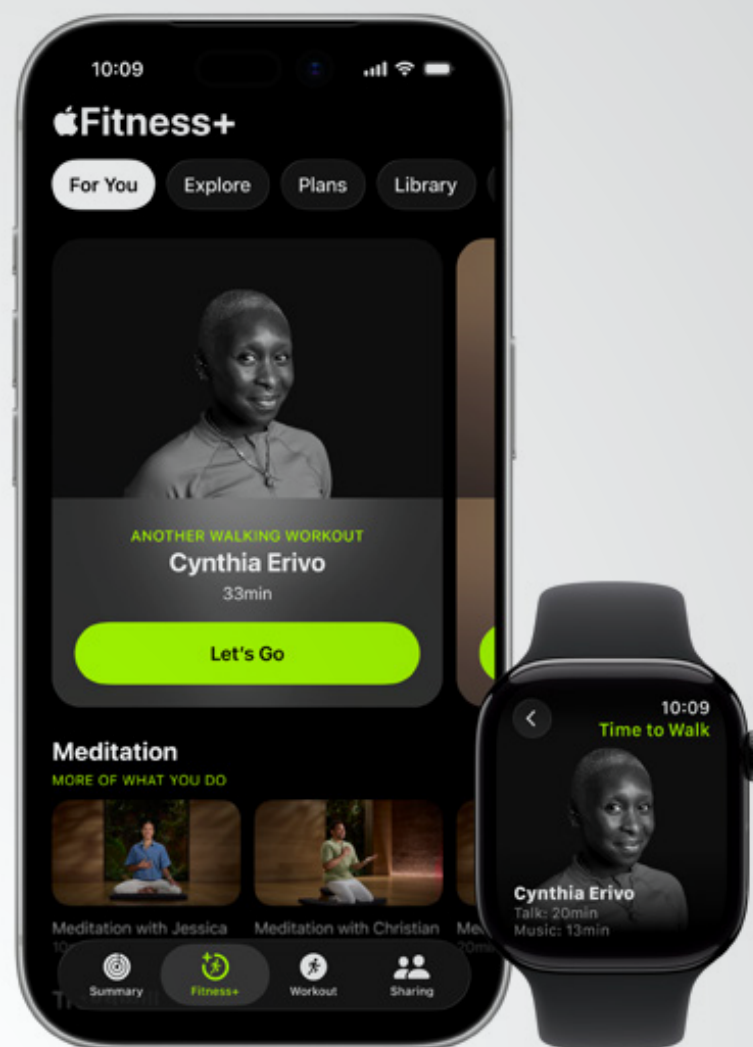
Największa siła Apple Fitness+? To, że on naprawdę jest zawsze pod ręką. Wystarczy iPhone. Można dorzucić Apple Watch, można założyć AirPods Pro 3 i już mamy pełne doświadczenie. Ale im większy ekran, tym lepiej – iPad daje komfort, a zestaw z Apple TV potrafi zamienić salon w prywatne studio fitness.

To nie jest aplikacja „do zegarka”. To usługa, która skaluje się razem z tobą i twoją przestrzenią. Dziś ćwiczysz na dywanie, jutro na hotelowej podłodze, pojutrze w salonie z widokiem na zamknięte pierścienie aktywności.

Dane, które motywują, a nie straszą

Apple odrobiło tu lekcję psychologii. Podczas treningu na ekranie widzisz tętno, kalorie, postęp pierścieni, a nawet Burn Bar – pasek porównujący twój wysiłek z innymi osobami, które robiły ten sam trening. Ale wszystko jest podane w sposób miękki, bez rankingów i czerwonych ostrzeżeń. To bardziej „jesteś na dobrej drodze” niż „dlaczego tak wolno”.

Dla wielu osób to właśnie ten balans między informacją a presją może być kluczowy.





Czas na spacer, czyli fitness w wersji podcastowej

Jest jednak jedna funkcja, która – moim zdaniem – najlepiej pokazuje filozofię Apple Fitness+. Czas na spacer (Time to Walk). Uruchamiasz spacer, idziesz... i słuchasz historii opowiadanych przez znane osoby. Bez zadyszki, bez maty, bez ciężarów.

Lista nazwisk robi wrażenie: Księżę William, Jane Goodall, Naomi Campbell, Yuki Tsunoda, Dolly Parton, Jamie Lee Curtis, Goldie Hawn, Danny Trejo, Jeremy Renner i ponad setka innych.

To bardziej spacer z inspirującą opowieścią niż trening. I być może właśnie dlatego działa.

Co dokładnie dostajemy w Polsce?

Start 15 grudnia oznacza dostęp do pełnej biblioteki: 13 typów treningów, od pięciominutowych sesji po 45-minutowe zajęcia. Siła, HIIT, joga, pilates, taniec, kickboxing, rower, bieganie, wioślarz, medytacje. Wszystko nagrane w 4K, prowadzone przez międzynarodowy, inkluzywny zespół trenerów.

Muzyka? Zintegrowana z Apple Music, z możliwością wyboru nastroju i gatunku. Nowością jest K-Pop jako osobna kategoria – drobiazg, ale



pokazuje, jak bardzo Apple rozumie, że motywacja często zaczyna się w słuchawkach.

Plany, kolekcje i brak wymówek

Fitness+ coraz mocniej idzie w personalizację. Własne plany treningowe dopasowane do grafiku, kolekcje tematyczne, medytacje na sen, spokój, regenerację. To nie jest „zrób wszystko albo nic”. To raczej: „zrób coś – regularnie”.

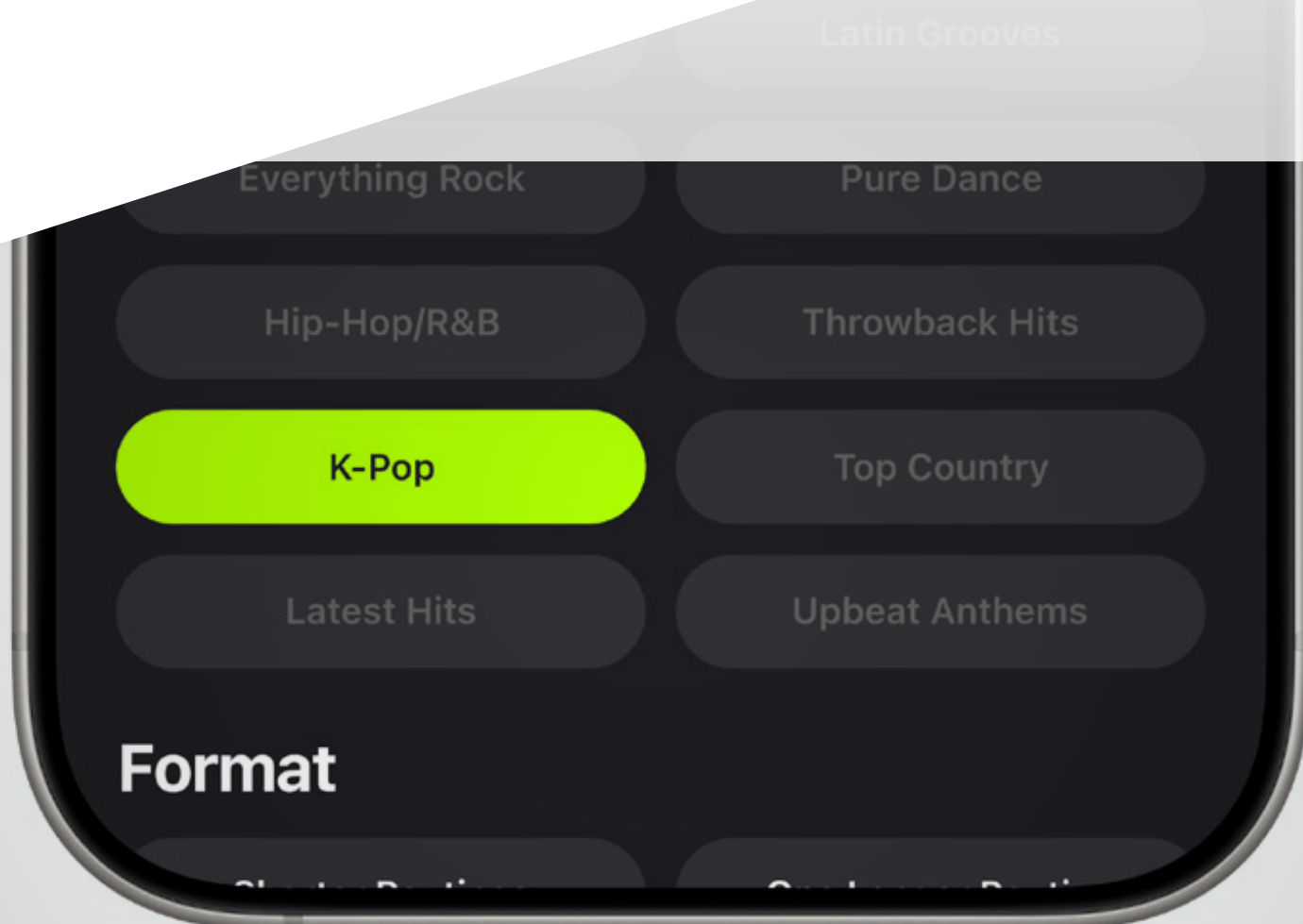
I być może właśnie dlatego ten debiut jest tak ważny.

Spóźniony, ale potrzebny element ekosystemu

Apple Fitness+ trafia do Polski pięć lat za późno, ale... dokładnie wtedy, gdy jesteśmy na niego gotowi. Ekosystem Apple jest u nas dojrzały, Apple Watch na nadgarstkach przestał dziwić, a zdrowie i balans stały się realnym tematem, nie tylko marketingowym hasłem.

Czy chciałbym dubbing po polsku? Tak. Czy chciałbym go w Apple One? Oczywiście. Ale nawet bez tego trudno nie odnieść wrażenia, że to brakujący puzzel, który wreszcie wskoczył na swoje miejsce.

A decyzja o rozpoczęciu treningu? Czasem naprawdę zajmuje pięć sekund.





KLAUDIA
KWIATKOWSKA-KOŁACZ
@yogacafe

Noworoczna aktywność w domowym zaciszu z Apple Fitness+

Kiedy mąż zapytał mnie, czy chciałabym napisać o platformie Apple Fitness+ z punktu widzenia mojej praktyki nauczycielki jogi – nie zastanawiałam się długo. Joga to jednak coś więcej niż platforma do treningów online jednego z technologicznych gigantów, dlatego w tym tekście chcę was przede wszystkim zachęcić do poznania jogi w nowym roku. A w konsekwencji? Lepszego zrozumienia siebie.

Początek przygody z jogą i medytacją

Najważniejszym elementem w praktyce jogi jest pojawienie się na macie. Nieważne jest miejsce, długość czy intensywność – liczy się regularność i konsekwentne spotkanie z samym sobą. Joga nie jest sportem ani treningiem, jednak większość z nas kojarzy ją przede wszystkim z wygibasami



na macie. Co zatem odróżnia jogę od zwykłego treningu? Moim zdaniem – uważność. To ona pozwala wejść na matę świadomie, z akceptacją i bez oceniania swojego poziomu rozciągnięcia czy zdolności koncentracji. Nie musisz mieć żadnych celów poza chęcią zrobienia czegoś dobrego dla siebie, a nie znam lepszego sposobu na zadbanie o zdrowie fizyczne i psychiczne niż joga. Tu nigdy nie chodziło i nie powinno chodzić o statystyki i łamanie ilości godzin spędzonych na macie.

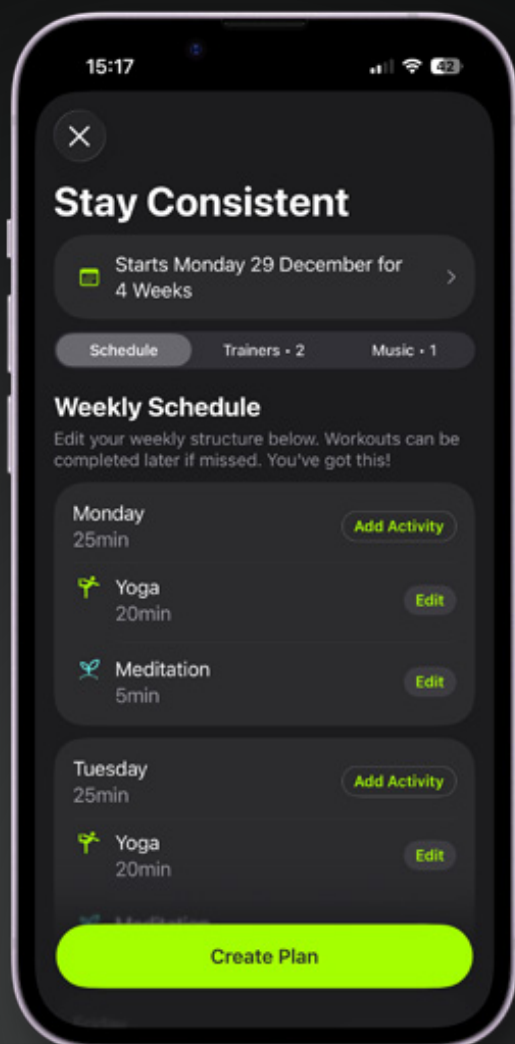
Tu nigdy nie chodziło i nie powinno chodzić o statystyki i łamanie ilości godzin spędzonych na macie.

Gdy zaczynałam swoją praktykę osiem lat temu, oferta zarówno online, jak i offline, była nieporównywalnie mniejsza niż dziś. Od tamtego czasu joga osiągnęła absolutny szczyt popularności, który – wszystko na to wskazuje – utrzymuje się na stabilnym poziomie. Obecnie wybór jest ogromny: nie tylko jeśli chodzi o liczbę stylów, nauczycieli czy tematykę praktyk, ale także o sposób rozpoczęcia. Taki nadmiar możliwości może przytłaczać i odwlekać decyzję o starcie, dlatego postanowiłam podzielić się własnym doświadczeniem.

Od samego początku praktykuję w domu. Choć dziś dostęp do szkół jogi jest znacznie łatwiejszy, pozostałam przy tej formie, bo najlepiej się u mnie sprawdza. Próg wejścia dla osoby całkowicie początkującej jest bardzo niski – wystarczy wygodne ubranie (nawet domowy dres, nie trzeba od razu kupować modnego zestawu do jogi), mata i odrobina czasu. Przydaje się także pewna struktura oraz zajęcia, które nie są przypadkowe. I w tym miejscu mogę polecić platformę Apple Fitness+, którą testuję od pierwszego dnia jej dostępności w Polsce.

Choć mam już spore doświadczenie w praktyce i nauczaniu jogi, wiem, co lubię oraz czego szukam, do pierwszych zajęć podeszłam z ciekawością i bez oczekiwań. Już po pierwszej praktyce wiedziałam, że będę wracać regularnie. Na szczęście katalog jest tak obszerny, że przez długi czas nie zabraknie mi materiału. Zajęcia zaczynają się już od 10 minut – to idealny próg wejścia. Bardzo możliwe, że po tych 10 minutach włączysz kolejną praktykę, ale sama świadomość krótkiego czasu trwania ułatwia rozpoczęcie. Najdłuższe lekcje trwają 45 minut. Każda z nich zaczyna się chwilą wyciszenia i koncentracji,





co od pierwszych minut buduje uważność, a kończy krótką medytacją. Te również dostępne są jako osobne jednostki, do których jeszcze wrócę.

Po kilku sesjach wyłonili się moi ulubieni nauczyciele – zachęcam, by spróbować praktyki z każdym z nich. Nauczyciela trzeba po prostu „poczuć” (nawet przez ekran), bo mimo świetnie poprowadzonej lekcji nie każdemu będzie odpowiadać energia, styl bycia czy na-wet głos prowadzącego. Tu nie potrzeba żadnego Apple Vision Pro czy Apple Glasses, bo i tak jogę czujemy sercem. Każdy inaczej. Główny nauczyciel znajduje się w centrum ekranu i oferuje werbalne modyfikacje pozycji, co jest niezwykle ważne. Dodatkowo w tle widzimy dwie osoby prezentujące różne poziomy zaawansowania, to rozwiązanie wyjątkowe i rzadko spotykane. Dzięki filtrom możemy wybrać nauczyciela, długość praktyki, jej charakter (dynamiczna lub spokojna) oraz dopasowaną muzykę. Wszystkie playlisty są dostępne również w Apple Music. A wraz z naszymi postępami, za miesiąc czy kwartał, sami zorientujemy się, że praktykę robimy wspólnie z osobą na froncie, a nie z którąś z dwóch pozo-stałych w tle po jej prawej i lewej stronie. To maksymalnie proste rozwiązanie, które motywuje właśnie poprzez swoją prostotę.



Dodatkowo w tle widzimy dwie osoby prezentujące różne poziomy zaawansowania, to rozwiązanie wyjątkowe i rzadko spotykane.

Fizyczny wymiar jogi – praktyka asan – ma prowadzić do zatrzymania poruszeń umysłu. Ruch prowadzi do bezruchu; ciało zatrzymuje się, by umysł mógł wejść w stan medytacji. Sama medytacja to temat złożony, a sesje dostępne na platformie stanowią dobry pierwszy krok. Warto dać się poprowadzić, by nie czuć się zagubionym w ciszy na zewnątrz i hałasie wewnątrz własnej głowy. W ofercie znajdziemy praktyki skupione na oddechu, mindfulness, budowaniu odporności psychicznej, poprawie snu i wielu innych aspektach. Również tutaj możemy wybierać spośród różnych nauczycieli, tematów i długości sesji (od 5 do 10 minut).

To wszystko w jednym miejscu pozwala idealnie dopasować praktykę do siebie, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy, o jakiej porze ćwiczymy i jakim sprzętem dysponujemy. Nawet pięć minut praktyki asan przynosi realne korzyści dla ciała i umysłu: może pobudzić lub wyciszyć układ nerwowy, sprowadzić „małpi umysł” do chwili obecnej i pomóc zauważyć to, co dzieje się w środku. Joga to przede wszystkim spotkanie z samym sobą – w prawdzie, bez oceniania i poprawiania, za to z uważnością i akceptacją.

Ogólnorozwojowe ćwiczenia core & strength dla każdego

W styczniu siłownie jak zawsze będą pękać w szwach. Nie są to optymalne warunki do rozpoczynania swojej przygody z fitnesssem. Apple Fitness+ oferuje również dostęp do przeróżnych treningów na wysokim poziomie, od których warto zacząć. Od siły z hantlami, przez HIIT, po pilates i rozciąganie po treningu – każdy znajdzie coś dla siebie. Najlepszym rozwiązaniem jest łączenie różnych form ruchu i tworzenie własnego planu treningowego, który będzie wspierał zdrowie i sprawność na wielu poziomach.

Treningi te świetnie sprawdzą się zarówno u osób początkujących, dzięki prezentowanym różnym poziomom zaawansowania, jak i u bardziej doświadczonych sportowców, którzy cenią sobie możliwość ćwiczeń w domu lub traktują je jako uzupełnienie głównej aktywności. Biegaczom szczególnie polecam treningi siłowe i core. Dzięki funkcji łączenia sesji można stworzyć pełnowartościowy trening trwający nawet godzinę.



Wisienką na torcie jest filtrowanie treningów poprzez rodzaj muzyki lub konkretnych wykonawców (jeśli bardziej motywują was hity lat 90. lub Taylor Swift – jest taka możliwość). Sama muzyka natomiast, czyli playlisty, są dobierane tak, aby ich rytm wspomagał trening. Więcej o tej technice, którą stosują najlepsi biegacze i biegaczki na świecie, możecie posłuchać w tym odcinku podcastu **RACE PACE**.

Jeśli chodzi o samą funkcjonalność aplikacji – jest ona przejrzysta i przyjemnie porusza się po niej, używając wspomnianych już filtrów. Każdy trening zawiera podgląd – krótki zwiastun – samego treningu nie można jednak przescrollować. Za to w opisie dostajemy krótką informację dotyczącą części ciała czy grup mięśniowych, nad którymi będziemy pracować. Po wykonaniu kilku sesji aplikacja zaproponuje nam plan treningowy na podstawie naszej historii. Istnieje również opcja zbudowania własnego.

Podsumowując, Apple Fitness+ nie zre-wolucjonizowało oferty treningów online, ale dodało do niej wartościowe miejsce, któremu warto dać szansę. Niezależnie od tego, czy chcecie zacząć się ruszać, czy dodać świeżości swojemu planowi treningowemu – ta platforma będzie was wspierać na każdym etapie, a charyzmatyczni trenerzy sprawią, że poczujecie się jak w najlepszym studio fitness, nie wychodząc z domu.



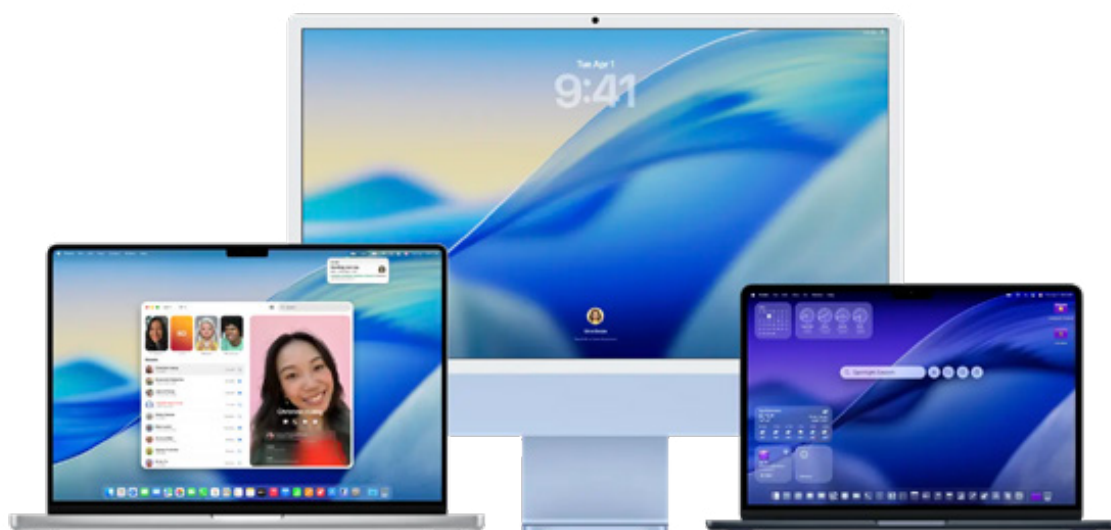
KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

DOMINIK ŁADA
@dominiklada

(Prawie) wszystko o...

iOS/iPadOS 26

[czytaj dalej...](#)



macOS Tahoe 26

[czytaj dalej...](#)

macOS Tahoe 26.2

[czytaj dalej...](#)

Tahoe



ARC Raiders

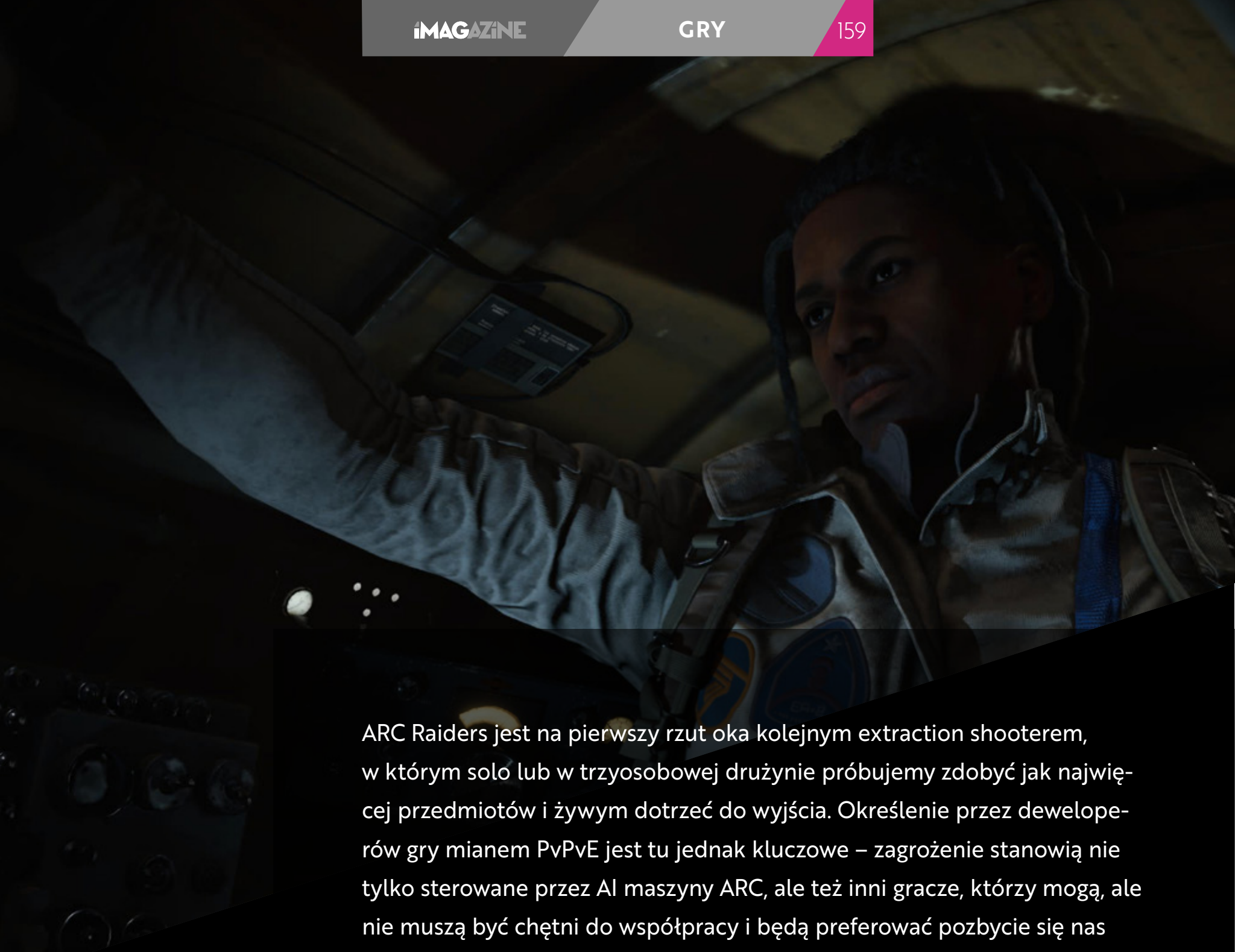


PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

ARC Raiders

W rozgrywce online najbardziej nieprzewidywalną rzeczą będzie zawsze zachowanie innego gracza. ARC Raiders uczyniło z tego elementu trzon swojej rozgrywki, i choć gry o podobnych założeniach widzieliśmy nieraz, w takim wydaniu doświadczamy ich po raz pierwszy.





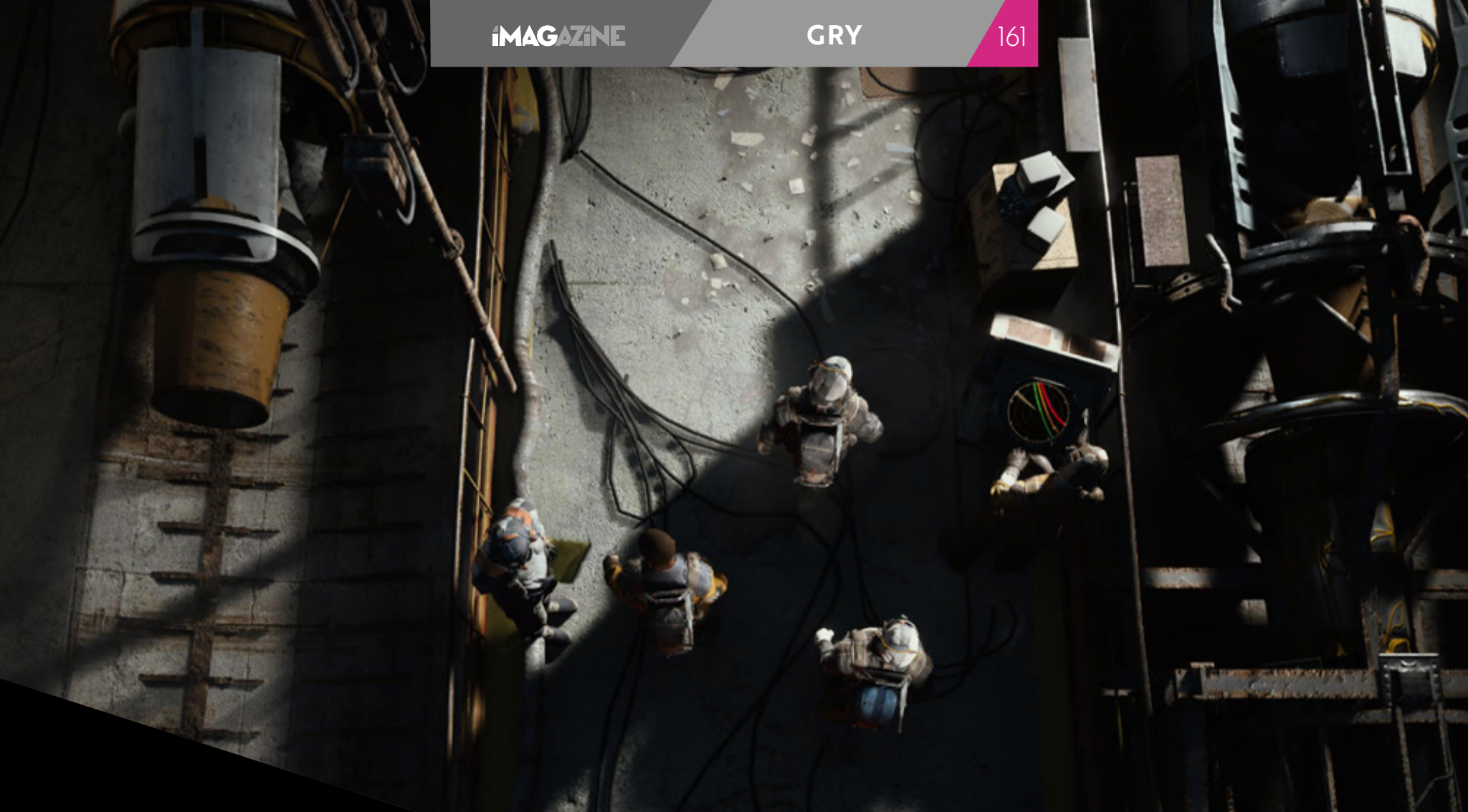
ARC Raiders jest na pierwszy rzut oka kolejnym extraction shooterem, w którym solo lub w trzyosobowej drużynie próbujemy zdobyć jak najwięcej przedmiotów i żywym dotrzeć do wyjścia. Określenie przez deweloperów gry mianem PvPvE jest tu jednak kluczowe – zagrożenie stanowią nie tylko sterowane przez AI maszyny ARC, ale też inni gracze, którzy mogą, ale nie muszą być chętni do współpracy i będą preferować pozbycie się nas i przywłaszczenie tego, co sami zdobyliśmy. Wskutek tego z rajdu wracamy jedynie ze zdobytym doświadczeniem, ale już bez sprzętu, zarówno znalezione, jak i tego, który zabraliśmy ze sobą z bazy. Frustrujące? Oczywiście, ale jednocześnie motywujące do tego, by wyruszyć na kolejną wyprawę i tym razem zakończyć ją sukcesem. Tak w ogromnym skrócie wygląda cała rozgrywka w ARC Raiders: dobieramy wyposażenie, wyruszamy na powierzchnię, zbieramy przedmioty, walcząc przy tym lub unikając zagrożeń, a następnie wracamy, by sprzedać łupy lub wykorzystać je do wytworzenia lepszego wyposażenia. Brzmi banalnie, ale dzięki temu, jak przemyślana jest to gra, wciąga niesamowicie.

W ARC Raiders wyróżniających się elementów jest naprawdę sporo, zaczynając od pięknie zaprojektowanego świata. Z jednej strony jest nowocześnie: mamy i port kosmiczny, i fabrykę z androidami, z drugiej jednak napotykane komputery wyjęte są z lat 70., a styl ubioru łupieżców (a więc bohaterów, w których i my się wcielamy), jest bardzo ekstrawagancki. Ich



stroje przypominają ni to „Gwiezdne wojny”, ni to „Fallout”, jednak nawet najdziwniejszy z nich wygląda znacznie poważniej niż to, co oferuje choćby „Call of Duty”. Równie interesujące są projekty broni, wyglądającej jak pospawana z tego, co akurat znaleziono na śmietniku. Nie ma jej przesadnie dużo, da się ją ulepszać, podnosząc jej poziom (maksymalnie do czwartego), dodawać kompensatory, większe magazynki czy kolby, nie znajdziemy tu jednak specjalnych jej wersji. Każdy model ma określony stopień unikalności i jest on niezmienny, przez co, obserwując innych graczy, widzimy dokładnie, z czego korzystają. Broń wykorzystuje też różne rodzaje amunicji: ciężka świetnie przebija pancerz ARC i niszczy osłony graczy, jednak zazwyczaj uzbrojenie, które z niej korzysta, strzela powoli. Średnia jest uniwersalna, natomiast lekka nadaje się jedynie na najłabsze roboty i ludzkich przeciwników, o ile zniszczymy im osłonę. Do tego mamy jeszcze amunicję do strzelb oraz do broni energetycznej, ta jest jednak bardzo rzadka. Równie istotne jest inne wyposażenie, a więc osłony, plecaki, które pozwalają zabrać określoną liczbę przedmiotów, przeróżne granaty, przedmioty leczące, barykady czy miny. Gra jasno opisuje, co robią, ale to od graczy zależy, jak je wykorzystają.



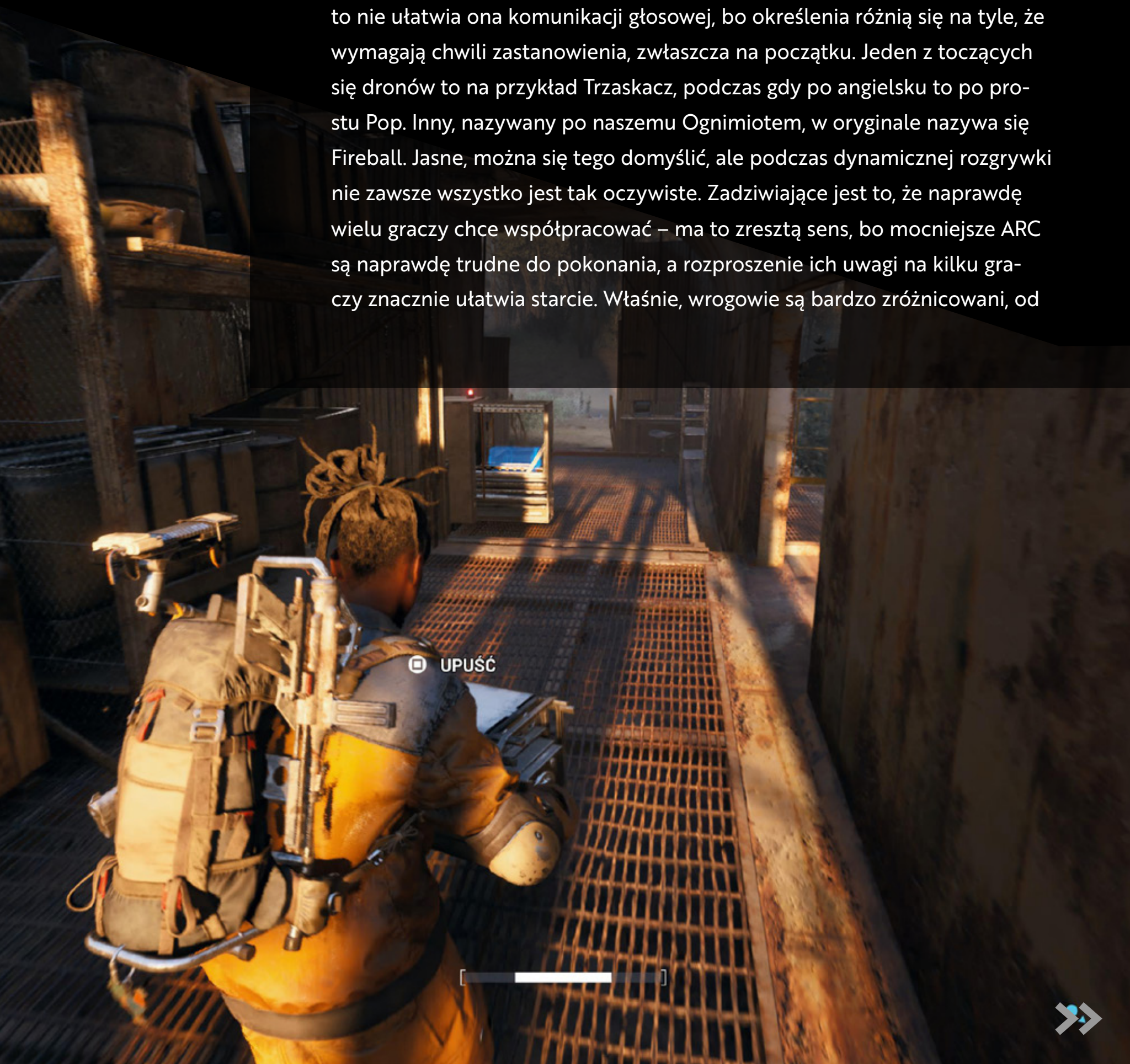


Podczas jednej z potyczek wroga drużyna ścigała moją w drodze do windy (pozwalającej opuścić mapę), zdążyłem podłożyć minę ogłuszającą w okolicy przycisku, który ją wzywa, a także ukryć się niedaleko. Rzucony w kierunku przeciwników granat wabiący dodatkowo przyciągnął uwagę dronów. Dzięki temu zyskaliśmy wystarczającą przewagę, by pozbyć się wrogów, zebrać ich rzeczy i wrócić z nimi do domu. Zdarza się też, że wjeżdżając na tyrolce na budynek, wyłania się zza niego rakietowiec (czyli ciężki dron, będący ogromnym zagrożeniem), przez co natychmiast dociera do nas, że jednak nie wrócimy z tego wypadu cało. W jeszcze innej sytuacji pomagamy obcemu graczowi pozbyć się dronów i wieżyczek, by w podzięce zostać zastrzelonym i obrabowanym. Zdarzyło mi się też być zranionym przez obcego przypadkiem – przeprosił, wyleczył mnie i do windy poszliśmy już razem. Często słyszymy też z daleka, że inni krzyczą, by do nich nie strzelać, nigdy nie ma jednak pewności, że sami nas nie zaatakują. Każda runda jest unikalna zarówno dzięki temu, gdzie zaczniemy, jak zostaną rozmieszczeni przeciwnicy i przedmioty, ale też przez ludzi, których napotkamy i co będziemy ostatecznie robić. Rzadko kiedy wszystko idzie tu zgodnie z planem i to właśnie w takich momentach ta gra jest najlepsza.

W grze takiej jak ta komunikacja jest kluczowa, słyszą nas nie tylko kompani z drużyny, ale i inni gracze. Większość osób gra bez mikrofonu, sam zresztą



nie używam go wieczorem, gdy inni śpią, zdając się na koło emotek i system pingowania, na DualSense umieszczony pod R1. Możemy wskazać nie tylko kierunek czy zagrożenie, ale też poinformować innych o leżącym gdzieś przedmiocie, braku amunicji czy posiadaniu klucza do jednego z wielu zamkniętych pomieszczeń, nadając tym samym cel konkretnej wyprawie. To naprawdę dobrze zrealizowany system, brakuje mi w nim jedynie możliwości przytrzymania L2, gdy jesteśmy bez broni, by przybliżyć widok, ułatwiając oznaczenie dokładnie tego, co chcemy. Choć polska wersja jest bardzo dobra (bardzo podoba mi się to, jak przetłumaczono nazwy własne), to nie ułatwia ona komunikacji głosowej, bo określenia różnią się na tyle, że wymagają chwili zastanowienia, zwłaszcza na początku. Jeden z toczących się dronów to na przykład Trzaskacz, podczas gdy po angielsku to po prostu Pop. Inny, nazywany po naszymu Ognimiotem, w oryginale nazywa się Fireball. Jasne, można się tego domyślić, ale podczas dynamicznej rozgrywki nie zawsze wszystko jest tak oczywiste. Zadziwiające jest to, że naprawdę wielu graczy chce współpracować – ma to zresztą sens, bo mocniejsze ARC są naprawdę trudne do pokonania, a rozproszenie ich uwagi na kilku graczy znacznie ułatwia starcie. Właśnie, wrogowie są bardzo zróżnicowani, od



iecznie do Speranzy

0/1

e szperaczom ARC

0/100

a łupieżcom za pomocą broni
ję

88/110

zyczołek

marować

CassiusJones

W trakcie rundy (8 min)

PickleRick

W trakcie rundy (8 min)

EKWIPUNEK

latających dronów różnych rozmiarów, przez toczące się kule i wieżyczki stacjonarne, po ogromne kroczące roboty, zmiatające nas z powierzchni ziemi w kilka sekund. Każdy wróg ma swoje słabe i mocne strony, ich znajomość jest równie ważna co dobranie odpowiedniego wyposażenia. Niektórych wrogów najłatwiej porazić granatem, by spadli na ziemię, wpakować w nich magazynek, po czym powtórzyć proces, inni są opancerzeni z każdej strony, ale wystarczy trafiać w łączniki ich nóg, by stracili możliwość poruszania się, co znacznie upraszcza starcie. No i mój ulubieniec – Leaper. Czworonożny robot przypominający pajaka, który nie tylko sprawnie, acz pokracznie, wspina się wszędzie, to skacze też na gigantyczne odległości. Starcia z nim naprawdę robią wrażenie, zarówno, gdy sami bierzemy w nich udział, jak i wtedy, gdy są obserwowane z daleka.

Eksploracja i zdobywanie przedmiotów jest równie istotna, co przetrwanie oraz walka. W przeciwieństwie do wielu gier RPG czy pokrewnych loot shooterów, tu właściwie wszystko się przydaje, i to na każdym etapie gry. System craftingu jest rozbudowany, produkujemy zarówno wyposażenie i uzbrojenie, jak i rozwijamy stoły, pozwalające... produkować więcej i lepiej. Ot, takie koło, choć nie błędne, bo nowy sprzęt pozwala podejmować się coraz to ambitniejszych wyzwań. No i jest jeszcze Złomek, czyli zbierający zasoby kogut, podczas gdy my jesteśmy na powierzchni. ARC Raiders ma odrobinę właśnie



takiego lekko absurdalnego humoru i bardzo mi się to podoba. Gra oferuje szereg zadań fabularnych, wyzwań oraz czasowo dostępnych wydarzeń, pozwalających na zdobywanie punktów i unikalnych przedmiotów. Mamy też battle pass (na razie darmowy), w którym odblokowujemy kolejne rzeczy, możemy też nabyć stroje czy inne elementy kosmetyczne za prawdziwe pieniądze. Nie jest to jednak nachalne, gra nie atakuje nas przy każdym uruchomieniu ekranem z nowymi ofertami czy podobnymi śmieciami – uważam implementację tego systemu za bardzo uczciwą i wygodną, jeśli nie płacimy, nie tracimy niczego prócz elementów wizualnych.

Zadziwiające jest to, że naprawdę wielu graczy chce współpracować – ma to zresztą sens, bo mocniejsze ARC są naprawdę trudne do pokonania, a rozproszenie ich uwagi na kilku graczy znacznie ułatwia starcie.

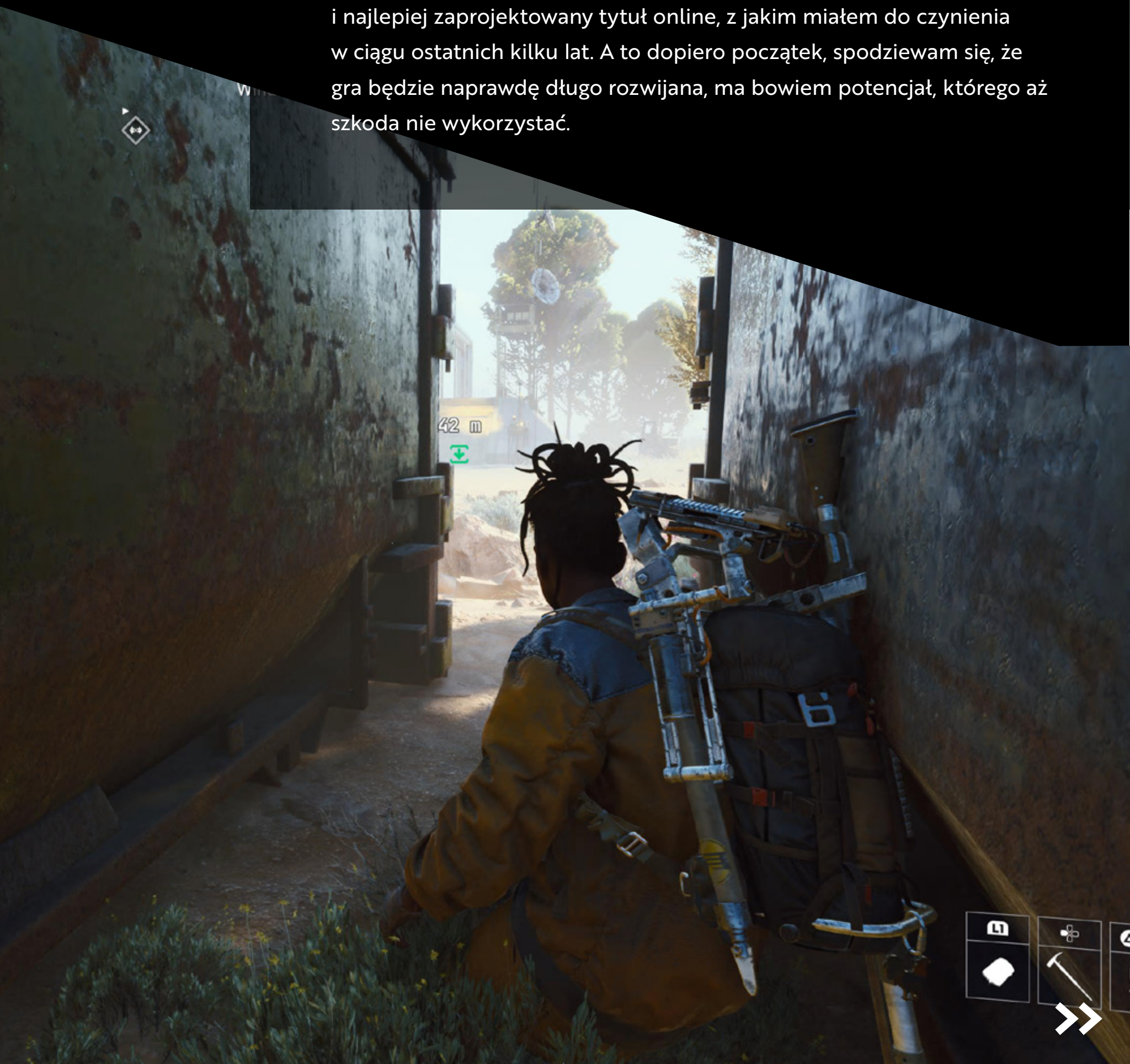
Od strony wizualnej gra zachwyca. Lokacje są zróżnicowane i zapadają w pamięć, bardzo podobają mi się też wszelkie efekty pogodowe i świetlne. Równie efektownie wypadają animacje, najbardziej podoba mi się to, jak można je zaburzyć, a przez to zmienić. Robot bez jednego z odnóży porusza się zupełnie inaczej, gra uwzględnia też fizykę, przez co wróg potrafi rozpaczliwie próbować wstać, choć teren mu tego nie ułatwia. Drony trafione w wirnik potrafią wpaść w korkociąg, rozbijając się, bądź też chwiejnie utrzymywać się w powietrzu, próbując nas trafić. Zauważyłem jednak, że gra ma problemy z przenikaniem efektów przez obiekty – dym i pył unoszone wiatrem na zewnątrz są widoczne też w środku, ponadto przez drzwi widać gdzieś cienie przeciwników. Raz pozwoliło mi to przygo-

tować się na atak czającego się za nimi gracza, to więc poważny błąd, który twórcy powinni priorytetowo naprawić. O ile grafika jest naprawdę dobra, ale nie wyprzedza tytułów z najwyższej półki, to już design dźwięku to absolutnie pierwsza liga. Odgłosy otoczenia są kluczowe, by przetrwać. Słyszymy nie tylko kroki czy wystrzały, ale też dźwięk używanego bandaża czy rozmowy innych graczy, jeśli są blisko. Wszystko wydaje tu jakiś dźwięk: drony, sondy, skrytki, skrzynie z wyposażeniem. Ba! Z czasem poznajemy po odgłosie wybuchu, jakiego granatu użyto bądź jaki wróg walczy gdzieś w oddali. Grając w słuchawkach, nie miałem najmniejszych problemów ze zlokalizowaniem źródła określonego dźwięku, często wpływało to na decyzję, jakie działania dalej podjąć.



ARC Raiders ma też bardzo dobrą muzykę, i choć słyszymy ją głównie pomiędzy kolejnymi wypadami, to zapada w pamięć. Motywy te dobrze sprawdzają się też samodzielnie, soundtrack z gry towarzyszy mi ostatnio podczas pracy.

ARC Raiders to absolutnie świetna gra multi, która zaskoczyła chyba nawet własnych twórców tym, co robią w niej gracze. Nigdy nie byłem fanem extraction shooterów, a w ten wsiąłem natychmiast, porzucając inne, aktualnie ogrywane gry. To zdecydowanie najbardziej innowacyjny i najlepiej zaprojektowany tytuł online, z jakim miałem do czynienia w ciągu ostatnich kilku lat. A to dopiero początek, spodziewam się, że gra będzie naprawdę długo rozwijana, ma bowiem potencjał, którego aż szkoda nie wykorzystać.



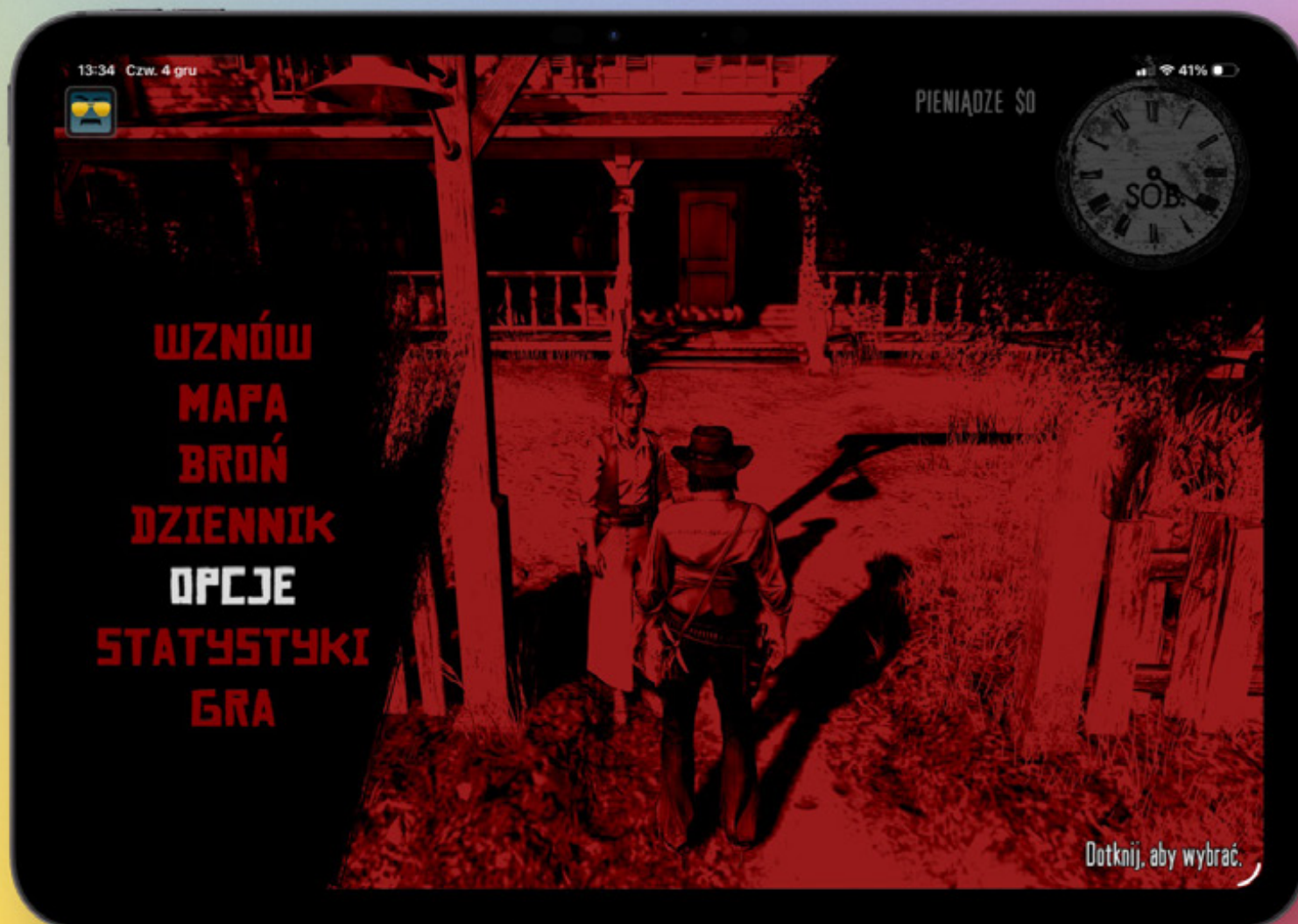


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Red Dead Redemption na iOS i iPadOS – mobilna legenda, która nie miała prawa działać tak dobrze

Kiedy Red Dead Redemption po raz pierwszy pojawiło się na PlayStation 3, mało kto przypuszczał, że ponad dekadę później zagramy w pełną wersję tej gry – razem z Undead Nightmare! – na... iPhone czy iPadzie. A jednak stało się. I to jak! Premiera z 2 grudnia to moment symboliczny: dowód, że granie AAA na urządzeniach mobilnych nie tylko jest możliwe, ale że można to zrobić tak dobrze, że aż przeciera się oczy ze zdumienia.





Mobilne objawienie graficzne

Zacznijmy od najważniejszego: Red Dead Redemption na iPadzie wygląda obłędnie. Nie waham się przyznać, że lepiej niż na moim wystuzonym PS3, na którym kończyłem tę grę lata temu. Modele postaci, tekstury, cienie, światło – wszystko jest tu na miejscu, podkrecone i zoptymalizowane. Gra waży na starcie 3 GB, ale trzeba pamiętać, że od razu po pierwszym uruchomieniu musimy dociągnąć następne 3-3,5GB.

Nie ma HDR, jest FXAA, czasem gdzieś zamigoczą liście czy płot, ale ogólny efekt? Zaskakująco bliski zaktualizowanej wersji PS5. I to na tablecie, który waży mniej niż papierowa książka.

I najpiękniejsze: wszystko chodzi płynnie. Naprawdę płynnie. Stabilnie. Miętko. Bez shaderowych przycięć i bez tego charakterystycznego „mobilnego” poczucia kompromisu. Do tego port przetłumaczono w całości na polski – w grze mamy napisy, a wszystkie funkcje i ustawienia są po polsku.



Tryby graficzne – jakość i wydajność

W ustawieniach znajdziecie dwa tryby graficzne – Jakość (Fidelity) oraz Wydajność (Performance).

Na iPadzie Pro M5 gra potrafi wyciągnąć 60 klatek w trybie Wydajności, zachowując przy tym piękną ostrość obrazu – trzeba tylko pamiętać o większym zużyciu baterii. Tryb Jakości to stabilne 30 kl./s, ale hardware spokojnie mógłby obsłużyć 40 kl./s. Może w aktualizacji?

Na iPhone'ach z serii 15 Pro, 16 Pro i 17 Pro tryb Wydajności jest zablokowany do 40 kl./s, co wygląda jak świadoma decyzja zabezpieczająca przed throttlingiem. I faktycznie – telefony pozostają chłodne, a nawet dłuższe sesje nie powodują, że się grzeją.

Są jednak pewne wyjątki. Dla starszych iPadów i iPhone'ów – choć wciąż nienajgorszych – jak czytam na forach, gra działa tylko w 30 kl./s. A niektóre urządzenia (w tym iPhone XR i iPad Pro 2gen) mają poważne błędy graficzne, które „czynią grę niegrywalną”. To jeden z nielicznych punktów, gdzie Rockstar powinien był lepiej zakomunikować ograniczenia sprzętowe.





A teraz crème de la crème: pad od PlayStation

Jeśli lubicie grać na telefonach/tabletach, wiecie, że największym problemem jest sterowanie dotykowe. O ile w tym przypadku są naprawdę świetnie zaprojektowane — jedno z najlepszych, jakie widziałem w mobilnych portach — to wciąż Red Dead Redemption aż prosi się o pada.

I tutaj przychodzi objawienie — gra działa fenomenalnie z padem od PlayStation.

To nie jest „działa jakoś”, „działa poprawnie”, „działa, ale...”. To jest absolutny sztos.

Siadasz na kanapie, kładziesz iPada na nogach, chwytasz DualSense’a lub starszego DualShocka i... nagle zapominasz, że grasz na urządzeniu mobilnym. Sterowanie jest precyzyjne, responsywne, kompletne. Brakuje tylko wibracji kontrolera — oby dodali je w jednej z aktualizacji.



Koniec wymówek. Gry AAA na mobile DA SIĘ zrobić

Od lat słuchamy, poza nielicznymi wyjątkami które można policzyć na palcach jednej ręki, że „gry AAA nie mają racji bytu na telefonach”, że „hardware jest za słaby”, że „nikt nie będzie w to grał na dotykowym ekranie”.

RDR obala wszystkie te mity.

Działa świetnie. Wygląda świetnie. Jest w pełni grywalne na dotyku i jeszcze lepsze z padem. A przy tym:

- nie grzeje urządzeń,
- nie drenuje baterii,
- wznowienie gry jest błyskawiczne,
- działa offline,
- nie ma absurdalnych instalatorów ani pobierania dodatkowych pakietów tekstur gigabajtami.

To port pokazowy. Demonstracja technologiczna. Proof of concept. I jednocześnie policzek dla wszystkich studiów, które twierdzą, że „mobilne nie udźwignie”.

Udźwignie. Jeśli tylko włoży się w to pracę.





Netflix – pierwszy raz od dawna powód, żeby tam wrócić

Są dwie opcje:

1. Gra jest „darmowa”, jeśli masz konto Netflix. [Link do App Store](#)
2. Jeśli nie masz Netflixa, kupisz ją w App Store za 169,99 zł.

[Link do App Store](#)

I teraz najlepsze: to pierwszy od dawna moment, kiedy ludzie na forach masowo piszą – pół żartem, pół serio – że optaca się wziąć Netflixa dla jednej gry.

To prawdziwa rewolucja. Streamingowy gigant od miesiący stara się podkreślać, że „ma gry”, ale dopiero takie premiery jak RDR sprawiają, że ta obietnica nabiera sensu.

To jest tytuł, który zmienia percepcję całej kategorii.



Jedna rysa na westernowym słońcu

Największym rozczarowaniem jest... brak wersji na Maca. Skoro gra na iPadach z M-kami śmiga jak marzenie, to port na macOS — szczególnie przez Metal i to w natywnej wersji — wydaje się oczywisty. A jednak Rockstar na razie milczy.

Nie ma też wersji na Apple TV, choć najnowsze modele spokojnie dałyby sobie radę. I brakuje wsparcia dla myszy i klawiatury na iPadzie, choć myszką/touchpadem można sterować po menu gry.

Ale to wszystko da się naprawić aktualizacjami.

Największym rozczarowaniem jest... brak wersji na Maca. Skoro gra na iPadach z M-kami śmiga jak marzenie, to port na macOS — szczególnie przez Metal i to w natywnej wersji — wydaje się oczywisty.

Co ważne — dzięki Netflixowi, mamy pełną synchronizację postępów w grze pomiędzy urządzeniami. Będąc zalogowanym do Netflix, mam ten sam status na iPadzie, iPhone i Pixelu. Kupując płatną wersję gry tej opcji nie mamy.

Western w kieszeni — dlaczego warto zagrać jeszcze raz

To nie jest seria miłych wspomnień. To nie jest „odgrzewany kotlet”. To nie jest mobilny remake z mikropłatnościami.

To jest pełnoprawne Red Dead Redemption. Całe. Bez kompromisów.

I jest naprawdę dobra szansa, że to właśnie na iPadzie lub iPhone zagraasz w tę grę najlepszy raz w życiu — w najwyższej płynności, z padem, z szybkim wznowieniem, z polskim tłumaczeniem i z mobilnym komfortem.

Nie sądziłem, że to napiszę, ale...

Witaj na Dzikim Zachodzie, mobilny graczu. Rozgość się. Tu zaczyna się nowa epoka.





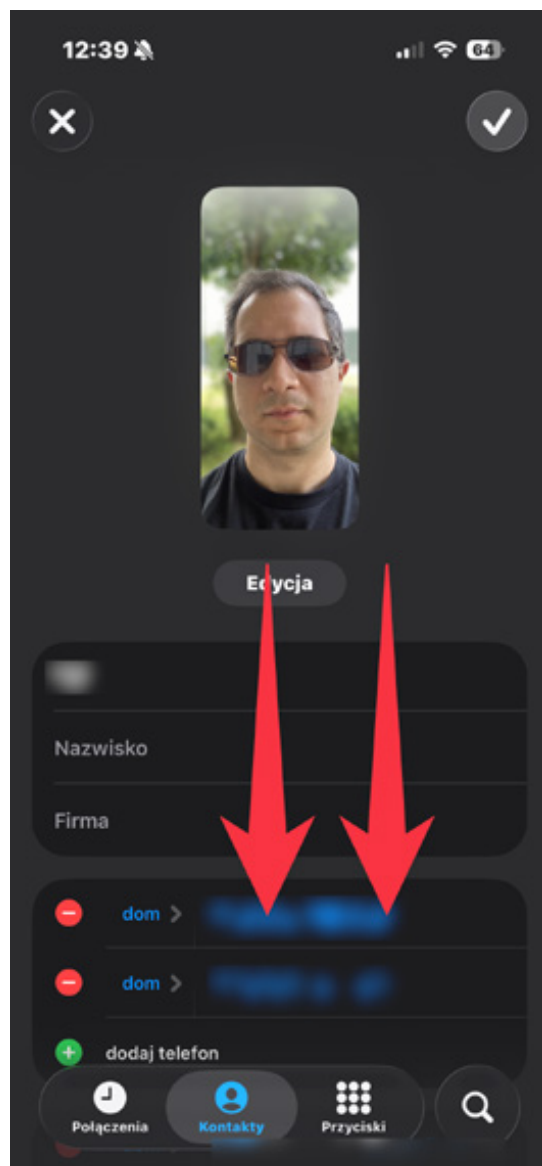
MACIEJ SKRZYPCZAK
[@mskrzypczak](#)

Łatwa identyfikacja przychodzących połączeń za pomocą wibracji

Z moich obserwacji wynika, że zaskakująco sporo osób, w tym ja, ma permanentnie ustawione swoje telefony w trybie cichym. O wszelkich powiadomieniach informują nas wtedy zazwyczaj wibracje. To samo dotyczy się połączeń przychodzących.

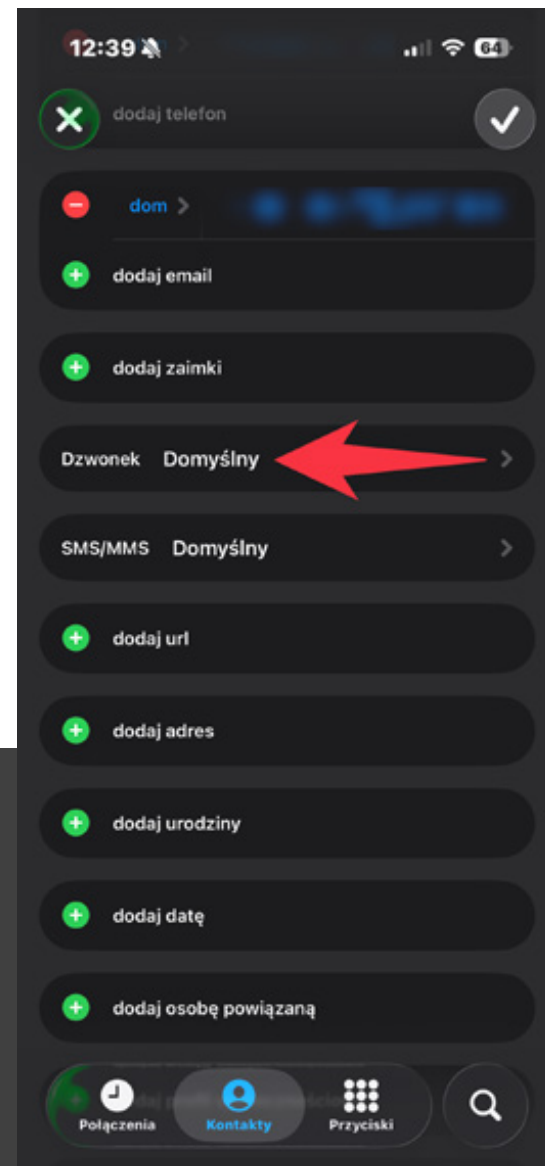
Dzięki temu dobrze wiemy, kiedy ktoś dzwoni. Ale żeby dowiedzieć się, kto dzwoni – musimy i tak zerknąć na telefon. W trybie dźwięku moglibyśmy przypisać niektórym osobom konkretne dzwonki. Ale co wtedy, gdy te dźwięki są wyłączone?

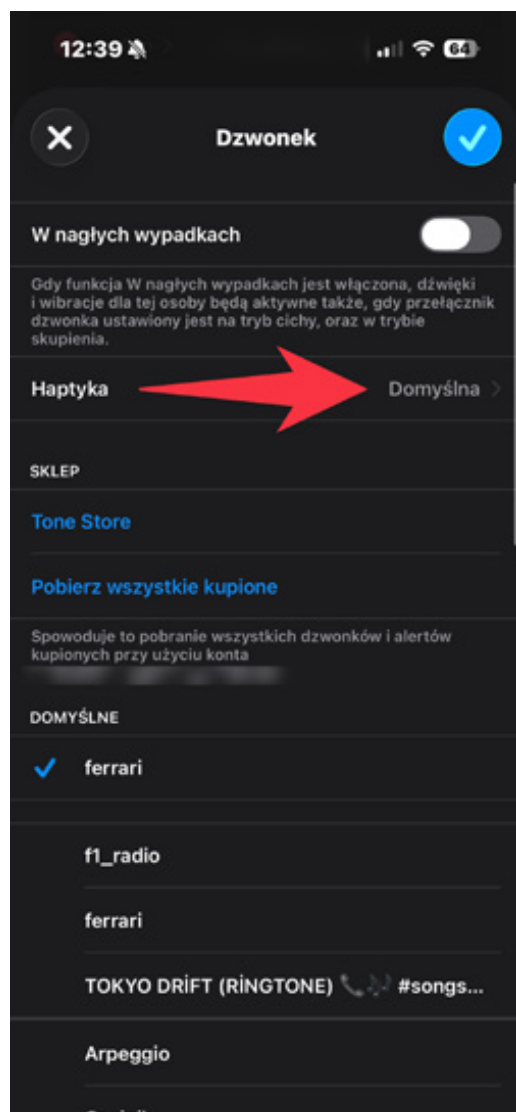
Co ciekawe, podobną rzecz – indywidualną identyfikację – można również przypisać kontaktom poprzez wibracje. W jaki sposób?



Przede wszystkim musimy wejść w edycję jakiegoś kontaktu – czy to w aplikacji Telefon, czy Kontakty.

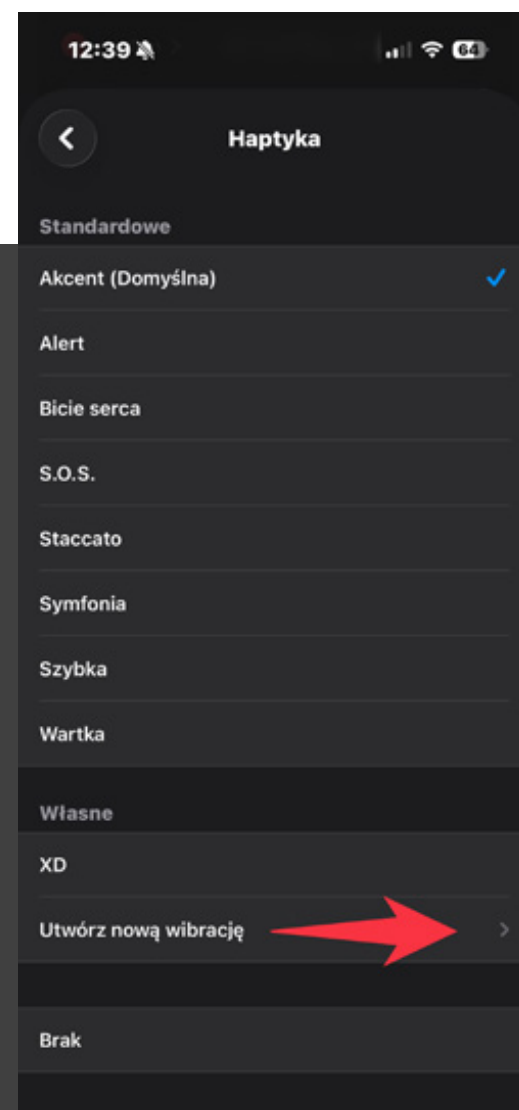
Następnie przesuwamy ekran do ustawień dzwonków.





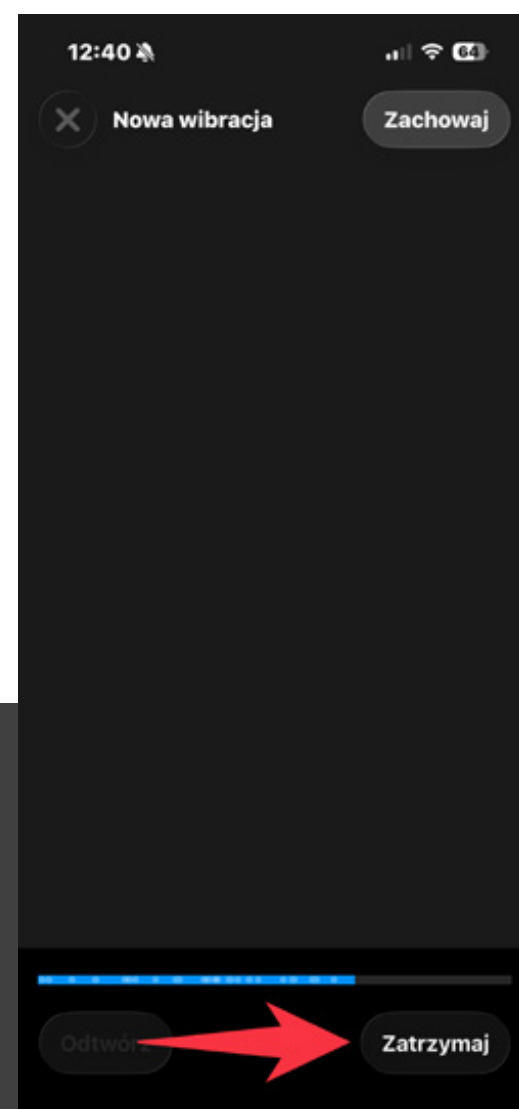
Tam wybieramy Haptkę.

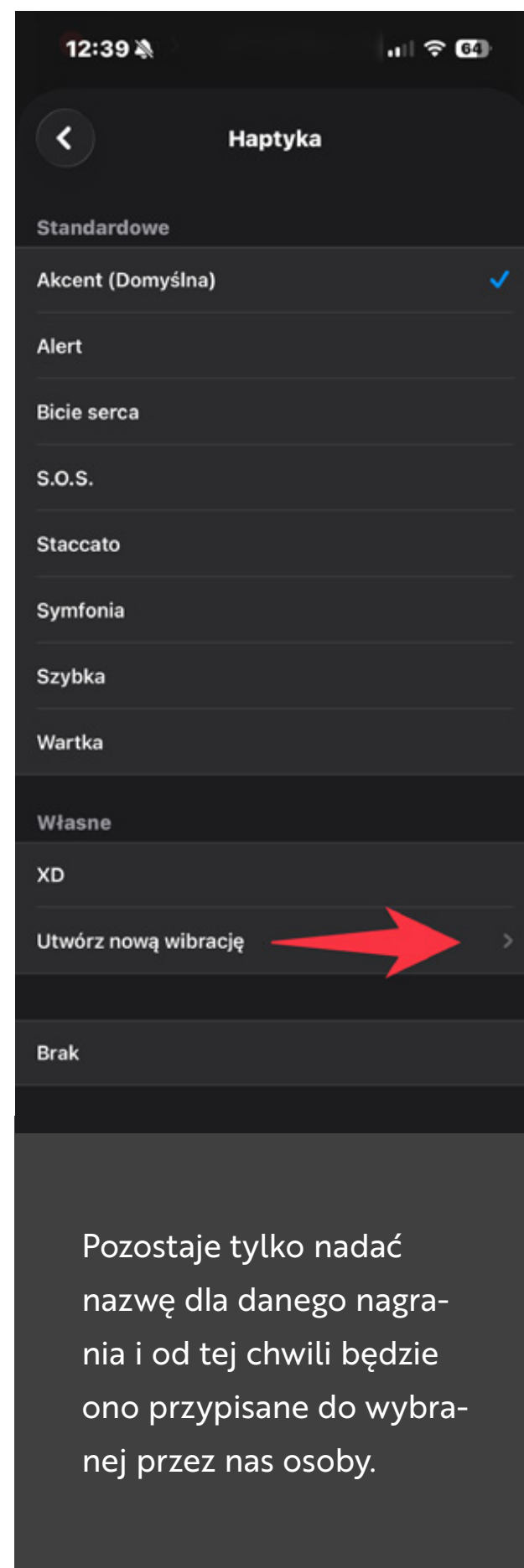
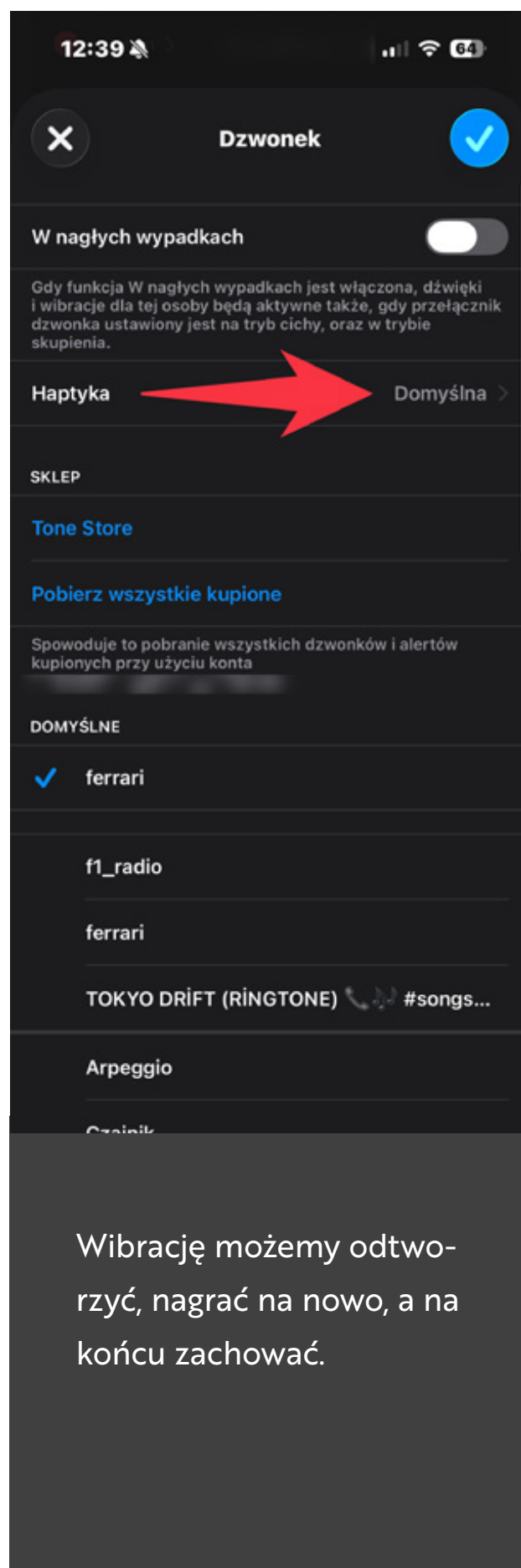
Przejdziemy do ekranu z listą różnych gotowych wzorów wibracji. Już samo to pozwoli nam odróżnić kontakty od siebie. Ale jeśli chcielibyśmy pójść o krok dalej, możemy utworzyć własny wzór, korzystając z przycisku **Utwórz nową wibrację**.



Aby stworzyć nowy wzór wibracji, wystarczy, że zgodnie z instrukcją zaczniemy stukać w ekran.

Po utworzeniu wzoru zatrzymujemy nagrywanie przyciskiem **Zatrzymaj**.





Dzięki temu, nawet przy wyłączonych dźwiękach, będziemy w stanie określić, kto do nas dzwoni bez wyciągania telefonu z kieszeni.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Jak naprawdę dbać o baterię w MacBooku w czasach macOS 26 Tahoe

Jeśli jest w MacBooku coś, co potrafi wywołać u użytkownika drobny atak paniki, to nie jest to wcale brak portu USB-A ani brak możliwości instalacji Windowsa. To moment, w którym w menu baterii zamiast dumnych „100% – stan: znakomity” zaczyna się pojawiać jakieś podejrzanе 91%, „serwis zalecany” albo komunikat o wstrzymanym ładowaniu.

Bateria to współczesne serce laptopa – niewidoczne, nieco tajemnicze, eksploatacyjne z definicji. Apple od lat uczciwie mówi, że to element zużywający się. Żadna magia tego nie zmienia, bo pod spodem jest zwykła, bardzo ziemiska fizyka: jony litu wędrujące między anodą i katodą przez elektrolit. Po prostu chemia, tylko zamknięta w eleganckiej obudowie unibody.

Dobra wiadomość? W 2025 roku, w erze macOS 26 Tahoe, naprawdę nie musisz żyć jak strażnik świątyni baterii, notując każdy procent naładowania w Excelu. Ale warto wiedzieć, co tak naprawdę ma znaczenie, żeby odsiać stare mity od nowszej rzeczywistości.



Czym jest „cykl” i dlaczego 1000 to nie jest wyrok śmierci

Zacznijmy od pojęcia, które Apple lubi powtarzać: cykl ładowania. To nie jest „jedno podłączenie do prądu”. Cykl liczy się wtedy, gdy zużyjesz równowartość 100% pojemności baterii – wszystko jedno, w ilu kawałkach.

Jeśli jednego dnia zejdziesz z 100% do 50%, doładujesz do pełna, a następnego dnia znowu zejdziesz do 50% i znów podłączysz ładowarkę, z perspektywy systemu to jeden cykl, a nie dwa. W tle macOS zlicza te fragmenty, sprawdza, ile tej baterii jeszcze „zostało w nogach” i porównuje z jej fabrycznym stanem.

Nowoczesne MacBooki są projektowane mniej więcej na 1000 pełnych cykli, po których przyjmuje się, że bateria powinna trzymać około 80% pierwotnej pojemności. To nie jest moment, w którym laptop zamienia się w przycisk do papieru – raczej sygnał, że jego „mięśnie” nie są już w olimpijskiej formie, tylko bardziej w kategorii masters.

Warto też wiedzieć, że systemowy wskaźnik kondycji (np. „93%”) to przybliżenie, a nie absolutna prawda objawiona. Są aplikacje typu Coconut Battery, które potrafią pokazać bardziej szczegółową pojemność w mAh i czasem wyjdzie im np. 89%, gdy macOS twierdzi, że jest 93%. Ale to nadal tylko pomiar – nie powód, by co wieczór siedzieć z kalkulatorem i zastanawiać się, czy przez render wideo nie straciłeś właśnie 0,3% życia baterii.

Życie na kablu czy na baterii? Paradoks współczesnego Maca

To teraz najczęstsze pytanie: „Czy mogę trzymać MacBooka stale podłączonego?”

Tak. Możesz. I w 2025 roku jest to całkiem rozsądna strategia, jeśli pracujesz głównie przy biurku.

Ważne są tu dwie rzeczy. Po pierwsze – lity najlepiej czują się w okolicach 50% naładowania, a ciągłe trzymanie 100% lekko obciąża katodę. Po drugie – Apple o tym doskonale wie. Dlatego macOS 26 Tahoe, podobnie jak wcześniejsze generacje systemu, ma rozbudowane zarządzanie kondycją baterii.





W praktyce dzieje się kilka rzeczy naraz:

- Mac bardzo szybko ładuje się do okolic 80%, a powyżej zaczyna się ładowanie „na miękko” – powolne, delikatne, niemal jak reanimacja, a nie turbo doping.
- Po osiągnięciu 100% komputer w dużej mierze przechodzi na zasilanie z ładowarki, a baterię traktuje jak bufor.
- System pozwala baterii lekko zejść z tych 100% – nie trzyma jej „na sztywno” nabitej po korek.
- macOS Tahoe analizuje Twój rytuał dnia. Jeśli widzi, że od poniedziałku do piątku siedzisz przy biurku od 9 do 17, utrzymuje poziom zbliżony do 80% i dobija do 100% dopiero wtedy, gdy przewiduje, że zaraz odłączysz zasilanie.

Czasem pojawi się przy tym komunikat w stylu: „Ładowanie wstrzymane – rzadko używane na baterii”. To nie bug, to feature. System dosłownie mówi: „Spokojnie, ogarniam to za ciebie”.

To wszystko oznacza, że trzymanie MacBooka na kablu przez większość dnia jest ok, a nawet korzystne, bo spowalnia tempo nabijania cykli. Jednocześnie warto czasem dać baterii trochę „życia”.



Co z tym rozładowywaniem? Stare mity vs nowa praktyka

Jeszcze kilkanaście lat temu „złotą radą” było: „raz w miesiącu rozładuj baterię do zera i naładuj do pełna, bo inaczej wyrobi sobie pamięć”. To był wtedy sensowny tip... dla zupełnie innych technologii.

W przypadku dzisiejszych MacBooków:

- nie ma sensu regularnie katować baterii do 0%,
- warto od czasu do czasu pozwolić jej zejść do 10–15%,
- pełne naładowanie po takim zejściu może pomóc skalibrować wskaźniki – czyli system lepiej będzie szacował pozostały czas pracy i procenty, ale nie „odmłodzi” to samej chemii w środku.

Jeżeli ktoś radzi Ci „kalibrację przez kompletne wyzerowanie baterii”, to jest to rada z epoki iBooków, nie MacBooków z Apple Silicon i Tahoe na pokładzie.

Słynna zasada „trzymaj między 20 a 80%” nadal jest prawdziwa na poziomie czystej teorii, ale w realnym życiu ma jeden problem: jest kompletnie niepraktyczna. Wpływ na żywotność jest, ale stosunkowo niewielki, a mentalny koszt pilnowania tych widełek – ogromny. Lepiej raz na jakiś czas zejść niżej, podładować kiedy wygodnie i pozwolić systemowi robić inteligentne mikrocykle w tle.

AlDente, limity ładowania i pokusa „ja wiem lepiej niż macOS”

Przez lata sporą popularność zdobyły aplikacje typu AlDente, które pozwalały wymusić twardy limit ładowania – najczęściej 80%. I faktycznie, z czysto chemicznego punktu widzenia nie jest to głupi pomysł. Mniej czasu na 100% = mniej stresu dla baterii.

Problem w tym, że od czasu, gdy Apple wprowadziło systemowe zarządzanie kondycją baterii (a w Tahoe je dalej rozwija), zysk z takich aplikacji zrobił się dyskusyjny. System ma więcej danych niż jakikolwiek użytkownik, analizuje znacznie więcej parametrów, a do tego jest testowany przez gigantyczną liczbę ludzi. Appka firm trzecich zawsze niesie ryzyko: błędnej aktualizacji, złej konfiguracji, konfliktu z nową wersją macOS.



Dlatego sensowna, „dorosła” strategia na 2025 rok wygląda tak:

pozwól macOS 26 Tahoe zarządzać baterią, zamiast ręcznie walczyć z nim o każdy procent.

Jeśli lubisz eksperymenty, korzystaj świadomie. Ale jeśli chcesz po prostu mieć święty spokój – systemowy menedżer baterii jest dziś naprawdę dobrym trenerem personalnym dla ogniów.

Temperatura: cichy zabójca, którego nie pokazuje żaden procent

Chemia jest brutalnie szczera: ciepło zabija baterie szybciej niż cykle. Wysoka temperatura rozkłada ciekły elektrolit wewnątrz ogniów, a ten proces jest w dużej mierze nieodwracalny. Możesz mieć perfekcyjnie pilnowane 20–80%, minimalną liczbę cykli, a i tak zabić baterię, jeśli będziesz regularnie fundować jej saunę fińską.

Apple definiuje komfortową „strefę dla MacBooka” mniej więcej między 16 a 22°C. Wiadomo, życie to nie lab, więc komputer pożyje i przy 30°C, ale kilka scenariuszy naprawdę warto wyeliminować:

- MacBook na pełnym słońcu, np. na ogrodowym stole w lipcu.
- MacBook porzucony w zamkniętym samochodzie, kiedy jest „tylko” 28°C na zewnątrz.
- MacBook renderujący wideo na kołdrze, poduszce albo kocu, gdzie cyrkulacja powietrza nie istnieje.

Podstawka, która lekko unosi tył laptopa i poprawia przepływ powietrza, nie jest gadżetem dla obsesyjnych – ma realny sens. Dobra wiadomość: to, że CPU czy GPU się grzeją podczas intensywnej pracy, nie oznacza automatycznie, że bateria jest w piekarniku. Większość ciepła kumuluje się wyżej, w okolicach klawiatury i górnej części obudowy.

Chemia jest brutalnie szczera: ciepło zabija baterie szybciej niż cykle.



Ładowarka ładowarce nierówna – ale port już prawie nie ma znaczenia

Kolejny klasyk: „Czy ładowanie przez MagSafe jest lepsze niż przez USB-C?” Z punktu widzenia baterii – nie. To tylko dwa różne sposoby dostarczenia tej samej energii. MagSafe wygrywa wygodą i bezpieczeństwem fizycznym (magnes się odcepi, a nie laptop poleci z biurka), a USB-C często wygrywa funkcjonalnością – szczególnie przy monitorach i stacjach dokujących, gdzie jednym kablem masz zasilanie, obraz i dane.

Dużo ważniejsze jest źródło prądu niż port:

- Oficjalna ładowarka Apple to zawsze bezpieczny wybór – dobrana mocą i charakterystyką pod konkretne urządzenie.
- Dobre marki akcesoriów (Anker, CalDigit, Dell, Logitech i podobne) też są w porządku – zwłaszcza w kontekście ładowania z monitorów czy hubów.
- Tanie, kompletnie no-name’owe kostki z przypadkowego marketplac’u mogą zaoszczędzić ci kilkadziesiąt złotych, ale ryzyko problemów jest nieproporcjonalne do tej „oszczędności”.

Osobna historia to wolne ładowanie. MacBook z Apple Silicon spokojnie się naładuje nawet z zasilacza 5 W od iPhone’a, jeśli zostawisz go na noc. To wręcz komfortowa sytuacja dla baterii – bardzo łagodny prąd, zero stresu.



Gorzej, jeśli próbujesz intensywnie pracować na takim zasilaczu czy powerbanku. Wtedy Mac musi jednocześnie korzystać z baterii i ładowarki, która nie nadąża z dostarczaniem energii. Efekt: i bateria się grzeje, i zasilacz. Ani jedno, ani drugie nie będzie ci za to wdzięczne.

MacBook w szufladzie – jak go nie „uśmiercić” na urlopie

Czasem życie układa się tak, że MacBook ląduje w szufladzie na dłużej: wyjazd, inny sprzęt, zmiana pracy. I tu wciąż obowiązuje klasyczna, ale ważna zasada: zostaw baterię w okolicach 50%.

Nie wciskaj go do szafy:

- ani na full (100%),
- ani kompletnie rozładowanego.

Najlepiej, jeśli leży w chłodnym, suchym miejscu. Jeśli wiesz, że przerwa potrwa dłużej niż pół roku, dobrze jest co kilka miesięcy obudzić Maca, doładować znów do ok. połowy i znów odłożyć. To minimalizuje degradację i sprawia, że laptop nie zamieni się po roku w elektroniczny trup z martwą baterią.

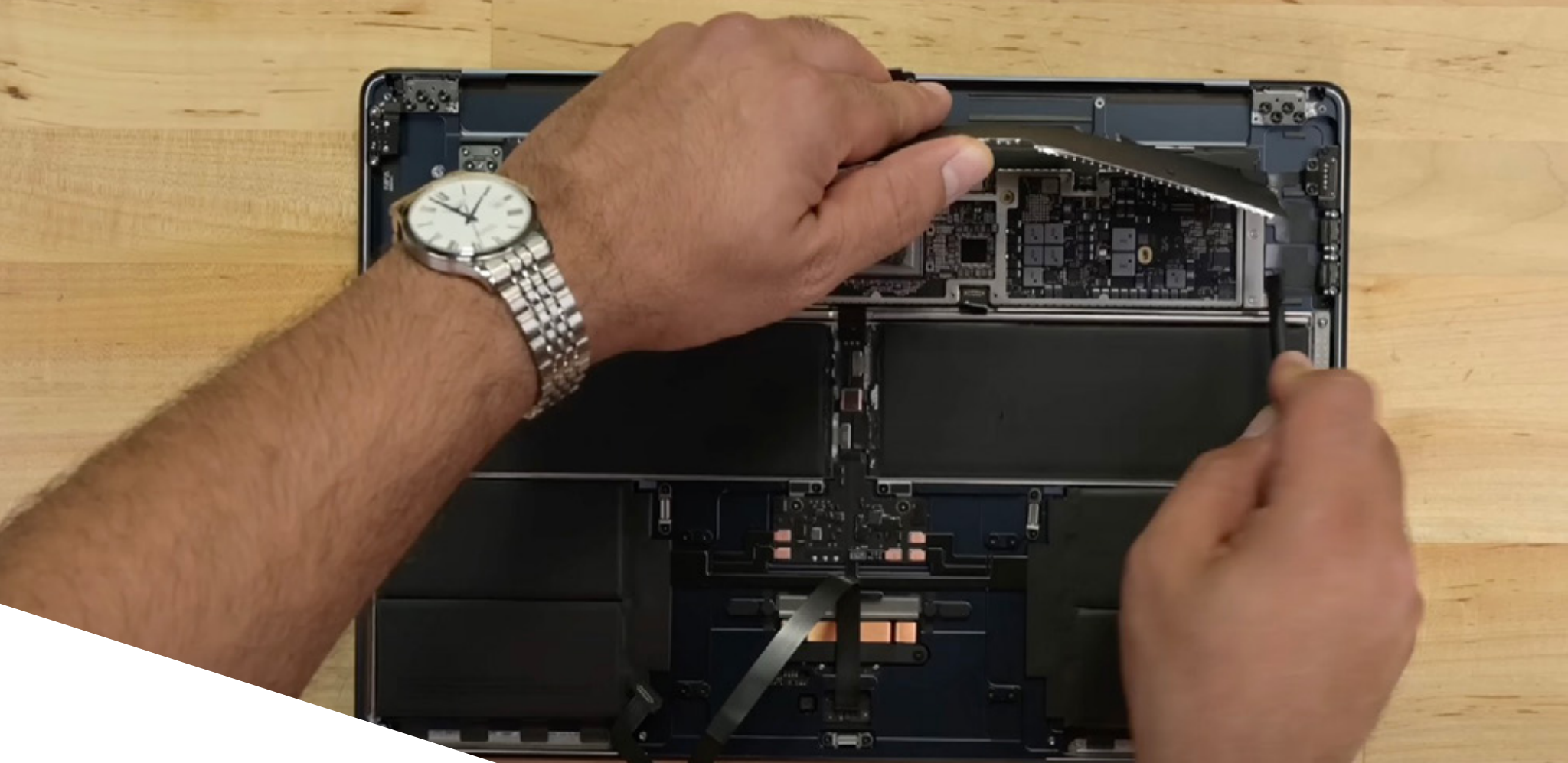
Aktualizacje macOS: Tahoe, optymalizacje i stary sprzęt

Apple przy każdej dużej wersji macOS – a Tahoe nie jest tu wyjątkiem – lubi podkreślać poprawki w zarządzaniu energią. I faktycznie, nowsze systemy przeważnie lepiej „rozumieją” baterię, lepiej modelują zachowanie ładowania i potrafią wyciągnąć z ogniw nieco więcej w realnym scenariuszu.

Z drugiej strony, każda duża wersja systemu to dodatkowe obciążenia. Nowe procesy, nowe funkcje, czasem cięższy interfejs. Na świeżym MacBooku to nie problem. Na sprzęcie, który właśnie świętuje swoje trzecie urodziny i ma już kilkaset cykli na karku – może być różnie.

Jeżeli masz względnie nowego Maca, aktualizacja do macOS 26 Tahoe zwykle będzie na plus: lepsza optymalizacja, nowsze mechanizmy zarządzania kondycją, bardziej inteligentne ładowanie. Jeśli jednak korzystasz ze starszego modelu, warto się zastanowić, czy zysk z nowych funkcji przeważa





potencjalny koszt w postaci większego obciążenia zasobów. Czasem najlepszym prezentem dla starego Maca jest zostawienie go na stabilnej, dobrze znanej wersji.

Bateria jak sportowiec – a macOS jak trener

Możesz myśleć o baterii w MacBooku jak o mięśniach sportowca.

Jest stworzona do pracy, do cykli, do wysiłku – ale z głową.

Ciągłe trzymanie jej na maksymalnym napięciu (100% na kablu non stop) to jak wymuszanie na maratończyku, żeby stał w szpagacie 24/7. Z kolei regularne zajeżdżanie jej do 0% to odpowiednik biegania ultramaratonu bez regeneracji.

macOS 26 Tahoe pełni w tym układzie rolę inteligentnego trenera. Obserwuje, jak korzystasz z komputera, kiedy pracujesz, kiedy go odkładasz. Sam dba o rozgrzewkę (ładowanie do 80%), o sensowny trening (mikrocykle), o regenerację (przechodzenie na zasilanie z ładowarki) i o to, byś nie stał zbyt długo w niezdrowej pozycji (stałe 100%).



Od czasu do czasu warto dać mu pełny, kontrolowany „trening” – zejście do kilkunastu procent i spokojne naładowanie do pełna – po to, żeby jego „monitor serca” (system zarządzania baterią) przypomniatł sobie dokładnie, gdzie są granice. Ale codzienny reżim, obsesyjne pilnowanie procentów i dramatyzowanie przy każdym spadku kondycji o 1% to naprawdę strata energii – twojej, nie baterii.

Na koniec: używaj, nie zamartwiaj się

Żadna ilość trików, aplikacji i felietonów nie zmieni faktu, że bateria się zużyje. Tak jest zaprojektowana. To nie porażka ani wada, tylko konsekwencja fizyki. Twoim celem nie jest zatrzymanie tego procesu, tylko jego cywilizowanie.

Ciągłe trzymanie jej na maksymalnym napięciu (100% na kablu non stop) to jak wymuszanie na maratończyku, żeby stał w szpagacie 24/7. Z kolei regularne zajeżdżanie jej do 0% to odpowiednik biegania ultramaratonu bez regeneracji.

W praktyce sprowadza się to do kilku prostych zasad:

- nie przegrzewaj MacBooka,
- nie rozładowuj baterii regularnie do zera,
- nie panikuj, jeśli trzymasz go dużo na kablu – Tahoe wie, co robi,
- nie oszczędzaj na ładowarce,
- nie rób z siebie żywego widgetu do monitorowania kondycji baterii.

Resztą zajmie się macOS 26 Tahoe.

A ty w tym czasie możesz po prostu... używać swojego Maca. Bo właśnie po to ta cała technologia, algorytmy i zarządzanie kondycją baterii zostały wymyślane – żebyś nie musiał myśleć o procentach częściej niż naprawdę trzeba.





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Jak skonsolidować konta i subskrypcje w iCloud (i nie zwałiować)

Koniec roku to ten moment, kiedy człowiek patrzy nie tylko na kalendarz, ale też na swoje subskrypcje. A jeśli – tak jak ja – od lat żyje się w ekosystemie Apple, to bardzo łatwo wpaść w pułapkę „rozproszonego Apple ID”. Coś kupione dawno temu, coś założone „na szybko”, coś przypisane do dziecka, coś do żony, a coś jeszcze do zupełnie innego konta, bo akurat tak było wygodniej. Do czasu.

U mnie sytuacja wyglądała następująco: czteroosobowa rodzina (żona + dwóch synów), jedno najstarsze Apple ID (jakoś nie mogę się przestawić na „Apple Account”), na którym od lat zbierały się aplikacje, filmy i muzyka, do tego Chmura rodzinna oparta właśnie na tym koncie. Apple TV+ też było „tu”, ale Apple Music już na koncie starszego syna, a dodatkowy dysk iCloud 2 TB... na moim prywatnym Apple ID. Efekt? Kilka rachunków, kilka kont i chaos, który z każdym miesiącem kosztował mnie nie tylko pieniądze, ale i cierpliwość.

Postanowiłem to uporządkować. I wbrew pozorom – da się to zrobić bez utraty danych i bez bólu.

Dlaczego konsolidacja ma sens (także finansowo)

Zacznijmy od liczb, bo one działają najlepiej na wyobraźnię:

- Apple TV+ – 34,99 zł
- Apple Music – 34,99 zł
- Razem: 69,98 zł
- Apple Arcade – nie miałem wcale
- iCloud 2 TB – 49,99 zł (tego akurat nie da się „obejść”)

Tymczasem Apple One (rodzinny) kosztuje 49,99 zł i zawiera:

- Apple Music



- Apple TV+
- Apple Arcade
- iCloud+

Dysk 2 TB i tak muszę dokupić osobno, bo Apple One ma zbyt mało miejsca w standardzie. Ale różnica między płaceniem osobno a pakietem jest oczywista – taniej i czyściej w rozliczeniach.

Najważniejsza zasada: jedno główne Apple ID

Jeśli chcesz mieć porządek, musisz wskazać jedno główne konto Apple ID, które będzie:

- organizatorem Chmury rodzinnej,
- właścicielem subskrypcji,
- kontem, z którego wychodzi płatność.

W moim przypadku był to najstarszy Apple ID – ten, na którym od lat są zakupy aplikacji i multimedii. I to właśnie na nim wszystko postanowiłem skonsolidować.

Jak działa konsolidacja w praktyce (bez strachu o dane)

To ważne:

- konsolidacja subskrypcji nie oznacza konsolidacji danych.

Każdy członek rodziny:

- nadal używa własnego Apple ID,
- ma prywatne zdjęcia, backupy i pliki,
- korzysta tylko ze wspólnej puli usług i miejsca w iCloud+.

Pliki się nie mieszają, nikt nikomu nie widzi zdjęć. iCloud+ działa jak wspólny „limit”, a nie jak jeden folder.

Krok po kroku: jak to uporządkować

1. Na głównym Apple ID (organizator rodziny)

Na iPhone lub iPadzie:

- Wejdź w Ustawienia
- Stuknij w [Twoje imię]



- Przejdź do Rodzina
- Wejdź w Subskrypcje
- Przy każdej usłudze (iCloud+, Apple Music, Apple TV+) włącz opcję „Udostępniaj rodzinie”

To jest moment, w którym mówisz systemowi: to ja płacę i ja udostępniam.

2. Na kontach, które mają własne subskrypcje

Jeśli ktoś w rodzinie (albo Ty na innym Apple ID) ma:

- własny Apple Music,
- własny Apple TV+,
- własny plan iCloud (np. 2 TB),

to trzeba je anulować:

- Ustawienia
- [Imię]
- Subskrypcje
- Wybierz usługę
- Anuluj subskrypcję

Po zakończeniu okresu rozliczeniowego pojawi się opcja:

„Używaj pakietu rodzinnego”.

Dane nie znikają. System po prostu przełącza konto na wspólny plan.

Co z danymi w iCloud? (najczęstszy strach)

- Zdjęcia, pliki, kopie zapasowe – zostają tam, gdzie są
- Każdy Apple ID zachowuje swoją prywatność
- Zmieniasz tylko sposób rozliczania miejsca

Uwaga praktyczna:

jeśli ktoś miał więcej niż 5 GB danych i anulował swój plan, a nie przełączy się na rodzinny, ma 30 dni, zanim synchronizacja nadmiarowych danych zostanie wstrzymana. To spokojnie wystarczy, by wszystko ogarnąć.



Apple One – jak to włączyć

Na iPhone lub iPadzie

- Ustawienia
- [Twoje imię]
- Subskrypcje
- Wybierz Apple One
- Zdecyduj: Indywidualny lub Rodzinny
- Potwierdź Face ID / Touch ID

Na Macu

- Ustawienia systemowe
- Apple ID
- Media i zakupy
- Subskrypcje → Zarządzaj
- Wybierz Apple One i potwierdź

Co dzieje się z istniejącymi subskrypcjami?

Apple robi to wyjątkowo sensownie:

- indywidualne subskrypcje (Music, TV+, Arcade) są automatycznie wygaszane,
- niewykorzystany czas jest rozliczany proporcjonalnie,
- playlisty, biblioteki, ustawienia – zostają.

Zmienia się tylko jedna rzecz: kto płaci i z jakiego konta.

Podsumowanie: porządek, spokój i jeden rachunek

Po całej operacji:

- mam jedno główne Apple ID,
- jedną płatność miesięcznie,
- Apple One zamiast kilku subskrypcji,
- rodzinę, która niczego nie zauważyła... poza tym, że wszystko dalej działa.

Jeśli – podobnie jak ja – przez lata „zbierałeś” usługi Apple na różnych kontach, to naprawdę warto poświęcić godzinę, a nawet mniej, i zrobić z tym porządek. Nowy rok smakuje lepiej, gdy zaczyna się go z czystym Apple ID.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Jak wyczyścić pamięć podręczną iPhone'a – i dlaczego naprawdę warto

Choć iPhone (iPad oczywiście też) świetnie radzi sobie z zarządzaniem zasobami, po dłuższym czasie użytkowania system może zwolnić, a aplikacje zaczynają zachowywać się mniej przewidywalnie. Jedną z najprostszych metod na odzyskanie płynności jest wyczyszczenie pamięci podręcznej. To właśnie ona potrafi z czasem urosnąć do rozmiarów, które negatywnie wpływają na szybkość działania urządzenia.



Pamięć podręczna (cache) to zestaw tymczasowych danych – obrazków, skryptów, fragmentów stron internetowych lub elementów aplikacji – które iOS/iPadOS przechowuje, aby przyspieszyć pracę systemu. Problem w tym, że jeśli zbierze się jej zbyt dużo, efekt staje się odwrotny. Czyszczenie cache nie usuwa ważnych danych, haseł ani plików – to bezpieczna metoda odświeżenia iPhone'a.

Czyszczenie cache w Safari

Safari to jedno z miejsc, gdzie cache rośnie najszybciej. Aby ją wyczyścić:

Otwórz *Ustawienia* → *Aplikacje* → *Safari*, przewiń w dół i wybierz *Wyczyść historię i dane witryn*.



Ta operacja usuwa historię przeglądania oraz pliki tymczasowe, dzięki czemu aplikacja ma szansę działać zauważalnie szybciej. Jeśli nie chcesz kasować historii, możesz skorzystać z sekcji Zaawansowane → Dane witryn, gdzie można usuwać dane poszczególnych domen.

Cache aplikacji – dlaczego nie da się jej wyczyścić jednym kliknięciem?

W przeciwieństwie do Safari, większość aplikacji w iOS nie oferuje dedykowanego przycisku „Wyczyść cache”. Apple zakłada, że zarządzanie pamięcią tymczasową leży po stronie systemu i samych deweloperów. Istnieją jednak dwie skuteczne metody na „odświeżenie” aplikacji:

1. Odinstalowanie aplikacji

W Ustawieniach przejdź do *Ogólne* → *Miejsce na iPhonie*, wybierz aplikację i skorzystaj z opcji *Odinstaluj aplikację*.

iOS usunie aplikację, ale pozostawi jej dokumenty i dane. Po reinstalacji z App Store aplikacja pozostaje skonfigurowana jak wcześniej, ale cache znika.

2. Pełne usunięcie aplikacji

Najbardziej radykalne, ale też najskuteczniejsze rozwiązanie.

Usunięcie i ponowna instalacja aplikacji gwarantuje wyczyszczenie wszystkich tymczasowych danych.

Restart iPhone’a – najprostszy sposób na szybkie porządki

Choć brzmi banalnie, zwykły restart potrafi zwolnić RAM i wyczyścić część buforów, które aplikacje nadmiernie „trzymają” w tle. To szybka metoda na poprawę wydajności bez żadnej ingerencji w ustawienia.



Kiedy warto czyścić cache?

Zwykle wtedy, gdy:

- Safari ładuje strony coraz wolniej,
- aplikacje social media „zamulają”,
- brakuje miejsca w pamięci,
- iPhone działa zauważalnie wolniej mimo zamkniętych aplikacji.

Regularne czyszczenie cache nie jest obowiązkiem – iOS zazwyczaj radzi sobie z tym sam. Jednak w sytuacjach, gdy tempo działania wyraźnie spada, ręczne odświeżenie systemu potrafi zrobić dużą różnicę.

Podsumowując

Cache to jeden z niewidocznych elementów, który z czasem rośnie w tle i potrafi spowolnić nawet najnowszego iPhone’a. Na szczęście istnieje kilka prostych sposobów, by szybko odzyskać płynność działania: wyczyszczenie Safari, odciążenie lub reinstalacja aplikacji oraz zwykły restart urządzenia. To drobne zabiegi, które potrafią dać odczuwalne efekty – i warto o nich pamiętać, zanim zaczniemy podejrzewać iPhone’a o poważniejsze problemy.



BOCZEMUNIE.PL/EBOOK

ODBIERZ E-BOOKA

KRZYSZTOF KOŁACZ

Przycisk

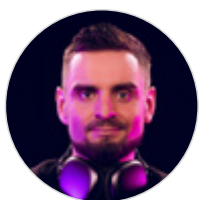
SPRAWDZAM!

Zaprzęgnij technologię
do pracy dla Ciebie

E-BOOK
bo czemu nie?

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
[@kolaczkrzysztof](#)

Dlaczego warto robić przeglądy aplikacji i usług?

Wraz z początkiem nowego roku zaczynamy na łamach iMagazine nową kolumnę. Nazwałem ją „Higiena Cyfrowa” i właśnie temu, bardziej świadomemu i czystszyemu korzystaniu z technologii, którą już macie, chcę ją poświęcić.





Od wielu lat, zarówno w moim podcaście „**Bo czemu nie?**”, jak i **newsletterze** pod tym samym tytułem, staram się pokazywać, jak korzystać z urządzeń i usług tak, aby zaprzęgnąć technologię do pracy dla nas, a nie pracować dla niej. Tym zajmiemy się także tutaj, choć ograniczając się do ekosystemu rozwiązań z Cupertino. W końcu to iMagazine!

Czym jest dla ciebie komputer?

Zaczynamy w styczniu, więc pomyślałem, że warto sięgnąć do fundamentów, które traktujemy dziś jako coś całkowicie oczywistego, a możemy nieźle samych siebie zaskoczyć, gdy przyjrzymy się im dokładniej. Zachęcam was zatem do wykonania prostego ćwiczenia.

1. Weźcie kartkę papieru i coś do pisania. Tak, papieru – ważne, aby nie był elektroniczny.
2. Podzielcie kartkę na dwie kolumny. W lewej wypiszcie wszystkie posiadane przez was urządzenia, z których realnie korzystacie każdego dnia.
3. Prawą kolumnę nazwijcie, stawiając u góry pytanie: Co to dla mnie robi? W czym mi pomaga?
4. Następnie odpowiedzcie bez zbędnego zastanawiania się i przeciągania sprawy. Chodzi o to, aby zidentyfikować te rzeczy i obszary wykorzystania każdego z urządzeń maksymalnie intuicyjnie.
5. A teraz spójrzcie na tę tabelę i wybierzcie te urządzenia, które możecie nazwać komputerami. Na końcu wybierzcie jedno, które realizuje 80% zadań wypisanych w prawej kolumnie.

Prawdopodobnie ono jedno mogłoby być waszym podstawowym komputerem. Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Jestem ciekawy, co wam wyszło!

Trzymaj rękę na pulsie

Druga sprawa, którą warto w mojej ocenie zaplanować sobie jako powtarzalne, cykliczne zadanie w waszej aplikacji do GTD lub po prostu – wrzucić w kalendarz – jest wykonywanie regularnego przeglądu aplikacji i usług, z których korzystacie i które opłacacie. Ja robię to co kwartał i praktycznie zawsze usuwam kilka lub kilkadziesiąt z nich. Po co?



Przede wszystkim po to, aby kontrolować domowy budżet. I to patrząc na niego z dwóch perspektyw. Pierwszą jest po prostu kwota, która co miesiąc schodzi z waszego konta na rozmaite subskrypcje, z czego często są to usługi, które robią lub oferują dokładnie to samo. Konia z rządem temu, kto jest w stanie korzystać na bieżąco na przykład ze wszystkich istniejących obecnie serwisów streamingowych (VOD), a niestety wiemy, jak jest. W rozmowie ze znajomymi czy rodziną często słyszymy: „Ja mam wszystkie!”. Rzadko kiedy ktoś zadaje sobie pytanie: „Po co i czy mam czas coś tam oglądać?”. Polecam zasadę: jeden serwis VOD opłacany regularnie (u nas jest to Apple TV w ramach subskrypcji Apple One) i dodatkowy raz na kwartał. Podobnie zresztą jest z subskrypcjami na rozmaite aplikacje, o czym szerzej piszę w tekście „Out of the Box”, który znajdziecie także w tym wydaniu iMagazine. Druga perspektywa to realny koszt waszego czasu, który mało kto wlicza do budżetu domowego i w ogóle zwraca na niego uwagę. A niestety – im więcej aplikacji i usług pożerających naszą uwagę i czas, tym więcej netto na koniec miesiąca wydajemy. Więcej o tym, jak policzyć koszt swojego czasu piszę na łamach mojego darmowego e-booka.

Technologia ma służyć wam, a nie wy jej i tym właśnie zajmujemy się w tym roku.

W całym tym rozsądnym podejściu do technologii nie chodzi o to, aby używać Nokii 3310 i nie łączyć się ze współczesnym światem, ale raczej o to, aby wiedzieć co, do czego i dlaczego w ogóle używamy. W czasach, w których o naszą uwagę i pieniądze zabiegają absolutnie wszyscy i zawsze, intencjonalność jest kluczem do czegoś, co jedni nazwą wolnością, inni dobrostanem, a pozostali świętym spokojem.

Technologia ma służyć wam, a nie wy jej i tym właśnie zajmujemy się w tym roku. Bo czemu nie?





Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Algorytmiczny opór

Dbamy o cyfrowy azyl dla ludzkiej inteligencji

Redakcja amerykańskiego serwisu 404 Media wytoczyła walkę algorytmom skanującym ich treści. Zmiana formatu wydawniczego ma być „wywrotowym obejściem algorytmów”. Uśmiecham się, czytając tę informację. Dlaczego? W iMagazine robimy to od lat. Nasz format to nie przypadek – to świadoma strategia ochrony Waszych umysłów.





Żyjemy w czasach, w których sieć zalewa fala treści generowanych przez AI. Boty piszą pod boty, a algorytmy mediów społecznościowych karmią nas tym, co wywołuje największe emocje (a to dzięki emocjom Hitler doszedł do władzy), a nie tym, co wartościowe. W tym cyfrowym zgiełku iMagazine pozostaje bastionem „slow journalism”. I nie jest to tylko kwestia stylu jakiemu hołdujemy od lat, ale twardej technologii.

Format odporny na szpiegów

Współczesny internet opiera się na śledzeniu. Portale informacyjne to w rzeczywistości gigantyczne maszyny behawioralne, które monitorują każdy ruch kursora, każde kliknięcie i czas spędzony na akapicie, by w czasie rzeczywistym przebudowywać treści pod Wasze... słabości. Złe wiadomości sprzedają się lepiej niż krzepiące na duchu i budujące informacje. Strach, nienawiść, negatywne emocje, hołdowanie najniższym instynktom, to wszystko angażuje bardziej niż wartościowy, etyczny, czy po prostu pełen przydatnej wiedzy przekaz.

iMagazine, jako zamknięty format cyfrowy (PDF/aplikacja), jest na to odporny. Pozwólcie, że wyjaśnię w jaki sposób:

- **Brak dynamicznego targetowania:** kiedy otwierasz nasze wydanie, widzisz dokładnie te same treści, w tej samej, starannie przemyślanej kolejności, co każdy inny czytelnik. Żaden algorytm nie podmieni Ci artykułu na bardziej kontrowersyjny tylko dlatego, że masz gorszy dzień.
- **Twierdza przeciwko scraperom:** podczas gdy otwarte strony www są bezlitośnie mielone przez boty trenujące modele AI (często bez wiedzy i zgody autorów), nasze treści pozostają w dużej mierze „ciemną materią” dla automatów. To treść premium, chroniona już samą formą dystrybucji.

Portale informacyjne to w rzeczywistości gigantyczne maszyny behawioralne, które monitorują każdy ruch kursora, każde kliknięcie i czas spędzony na akapicie, by w czasie rzeczywistym przebudowywać treści pod Wasze... słabości.



Ludzie piszą dla ludzi

W świecie zdominowanym przez SEO, gdzie teksty pisze się tak, by zadowolić robota Google'a, my stawiamy na komunikację H2H (Human to Human).

Decyzja 404 Media o zmianie nośnika to próba odzyskania kontroli nad dystrybucją treści i uniezależnienia się od algorytmów. To także ruch pokazujący zmianę trendu w komunikacji i współczesnych mediach, które chcąc odzyskać kontrolę nad własnymi, tworzonymi przez siebie treściami zaczynają odwracać się od algorytmicznej maszyny do mielenia danych.

Nasza „bariera wejścia” (konieczność pobrania wydania) jest w rzeczywistości filtrem jakości. Odsiewa boty i przypadkowych klikaczy, zostawiając społeczność, która szuka wiedzy, a nie dopaminowego strzału.

My tę kontrolę mamy od zawsze. Nasza „bariera wejścia” (konieczność pobrania wydania) jest w rzeczywistości filtrem jakości. Odsiewa boty i przypadkowych klikaczy, zostawiając społeczność, która szuka wiedzy, a nie dopaminowego strzału.

W iMagazine nie walczymy o Twoją uwagę clickbaitem. Szanujemy Twój czas, oferując skończony produkt – magazyn, który ma początek i koniec. W przeciwieństwie do nieskończonego scrollowania, które „szlifuje umysły” pod dyktando reklamodawców, my oferujemy przestrzeń do myślenia. Jesteśmy dumni z bycia analogową duszą w cyfrowym ciele.





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Apple Pay dla dowodu osobistego Dlaczego Bruksela udaje, że technologia nie istnieje?

Żebyście złapali odpowiedni kontekst, zacznijcie od tekstu Agnieszki. Potem możecie poznać moje zdanie. Przyznam, aż mnie trzepnęło gdy to przeczytałem. Hipokryzja władzy sięga zenitu, w imię ochrony najwyższych wartości (dobra dzieci) nie wykorzystują technologii, choć takowa istnieje, zamiast tego zabierają cyfrową wolność i niwelują resztki prywatności. Tak nie powinno być!





Wyobraź sobie, że wchodzisz do piekarni po bułki. Sprzedawca, zanim przyjmie płatność, żąda od Ciebie dowodu osobistego. Nie, nie po to, by sprawdzić, czy bułkę kupuje osoba pełnoletnia. Po to, by zanotować Twój PESEL, adres i imię w wielkim zeszycie „na wszelki wypadek”. Brzmi jak Orwell? Dokładnie tak wygląda nowa propozycja Unii Europejskiej dotycząca weryfikacji wieku w Internecie.

Politycy w Brukseli próbują nam wmówić, że aby chronić dzieci w sieci, musimy wszyscy – co do jednego – wylegitymować się cyfrowo. Że musimy wysłać skan dowodu, twarzy albo użyć rządowego portfela tożsamości, by w ogóle mieć prawo do wysłania jakiegokolwiek (sic!) wiadomości na komunikatorze. Twierdzą, że to jedyny sposób. Kłamią (czy może raczej: celowo projektują ryzyko, za chwilę to wyjaśnię). Dowód na to nosisz prawdopodobnie w kieszeni albo na nadgarstku.

Lekcja z Apple Pay

Pamiętacie, jak pisałem o starciu Apple Pay z Google Pay? Kluczem do sukcesu rozwiązania Apple nie była tylko wygoda, ale architektura prywatności.

Kiedy płacisz zegarkiem Apple Watch za kawę, dzieje się magia kryptografii. Sprzedawca nie dostaje Twojego numeru karty, a bank nie wie, co dokładnie kupiłeś, ani w którym sklepie (widzi tylko ztokenizowany ciąg znaków). System przetwarza wrażliwe dane lokalnie na urządzeniu (on-device), a świat zewnętrzny otrzymuje jedynie kryptograficzny token o treści: „Transakcja zatwierdzona”. Czyja? Ile? Co kupić? To nie ma znaczenia, suma się zgadza, transakcja pewna, środki przelane.

Politycy w Brukseli próbują nam wmówić, że aby chronić dzieci w sieci, musimy wszyscy – co do jednego – wylegitymować się cyfrowo. Że musimy wysłać skan dowodu, twarzy albo użyć rządowego portfela tożsamości, by w ogóle mieć prawo do wysłania jakiegokolwiek (sic!) wiadomości na komunikatorze.



Mamy więc system, który przetwarza miliardy dolarów dziennie, działa pod rygorystycznymi regulacjami finansowymi i... szanuje Twoją prywatność. Skoro potrafimy płacić bez podawania każdemu szczegółów kontaktowych, dlaczego, do cholery, nie wolno nam anonimowo rozmawiać? Serio, by wysłać wiadomość „Cześć, jestem już w domu, czuję się dobrze” do bliskiej mi osoby, będę musiał pokazać e-dowód?! Taki pomysł mają brukselscy biurokraci. Są na bakier z techniką. I to na wielu poziomach.

Zero wiedzy, sto procent pewności

W świecie kryptografii problem, z którym rzekomo nie może poradzić sobie UE, został rozwiązany lata temu. Nazywa się to Zero-Knowledge Proofs (ZKP), czyli dowody z wiedzą zerową.

W świecie kryptografii problem, z którym rzekomo nie może poradzić sobie UE, został rozwiązany lata temu. Nazywa się to Zero-Knowledge Proofs (ZKP), czyli dowody z wiedzą zerową.

Brzmi skomplikowanie, ale zasada jest prosta: mogę udowodnić Ci, że znam hasło, nie ujawniając samego hasła. Mogę udowodnić, że mam na koncie wystarczająco dużo środków, nie pokazując salda, czy danych karty. I wreszcie – mogę udowodnić, że mam ukończone 18 lat, nie ujawniając, jak się nazywam, gdzie mieszkam i jaki mam numer PESEL.

Technologia pozwala dziś na weryfikację wieku on-device. Twój iPhone (w bezpiecznej enklawie procesora, tzw. Secure Enclave) może sprawdzić Twój wiek i wygenerować jednorazowy token dla Instagrama czy WhatsAppa. Token ten mówi tylko jedno: „Użytkownik jest dorosły”. Kropka. Żadnych danych osobowych wędrujących na serwery korporacji. Żadnych baz danych, które mogą wyciec (i wyciekną, to tylko kwestia czasu).

To nie jest błąd, to jest „ficzer”

Skoro technologia istnieje, jest bezpieczna i powszechnie stosowana w finansach, to dlaczego Unia Europejska z uporem maniaka forsuje model oparty na skanowaniu dowodów i centralizacji? Odpowiedź jest smutna, ale konieczna do wypowiedzenia: bo problem nie jest techniczny. Jest polityczny.



Rozwiązanie typu „Apple Pay dla tożsamości” – anonimowe, oparte na tokenach i lokalnym przetwarzaniu – ma dla władzy jedną, zasadniczą wadę. Nie daje infrastruktury kontroli. Nie pozwala na stworzenie profilu obywatela. Nie pozwala – dziś lub w przyszłości – łatwo zmienić reguł gry i powiedzieć: „Skoro już wiemy, kim jesteś, to sprawdźmy jeszcze, czy Twoje poglądy są zgodne z naszymi”.

Pomysł leżący na legislacyjnym stole UE, to kres demokracji jaką znamy i początek narzędzia zdolnego do nieświadomionej manipulacji Twoimi wyborami. Co gorsza centralizacja danych i ryzyko wycieku oznacza, że manipulacji mogą dokonywać nie tylko „swoi”, na których głosowałeś, ale też „obcy”, w ogóle spoza UE. Wystarczy, że dorwą się do danych (a dorwą się, to tylko kwestia czasu).

Pomysł leżący na legislacyjnym stole UE, to kres demokracji jaką znamy i początek narzędzia zdolnego do nieświadomionej manipulacji Twoimi wyborami.

Pamiętajmy: każda infrastruktura kontroli, zbudowana „dla dobra”, prędzej czy później trafi w ręce kogoś, kto użyje jej przeciwko temu dobru.

To nie jest żadna hipoteza, czy figura retoryczna, tylko empiryczne prawo historii systemów informacyjnych. Wiedza, którą powinni doskonale rozumieć analitycy wywiadu, specjaliści od cyberbezpieczeństwa czy ludzie na poziomie NATO/UE zajmujący się dezinformacją. Nie wierzę, że unijni legislatorzy nagle stracili dostęp do tej wiedzy...

Tymczasem obecna propozycja UE, pod płaszczykiem ochrony dzieci, buduje system, który normalizuje legitymowanie się przy każdej cyfrowej czynności. To nie jest ochrona celu – to budowa systemu nadużyć. Tworzenie rozwiązania, nad którym z czasem sami twórcy mogą stracić kontrolę w przypadku przejęcia danych przez – powiedzmy – zewnętrznych aktorów.



Nie dajcie sobie wmówić, że obrona prywatności to domena przestępców czy ludzi, którzy „mają coś do ukrycia”. To fałszywa alternatywa: „albo bezpieczeństwo dzieci, albo Twoja prywatność”.

Jednak mnie przeraża jeszcze jedna rzecz: to nie ignorancja technologiczna, lecz celowe działanie. Brukselscy urzędnicy doskonale zdają sobie sprawę, że technologia, która realnie ochroni dzieci bez naruszania CZYJEJKOLWIEK prywatności istnieje.

Ta sama biurokracja UE wydawała tzw. blueprinty (dokumenty techniczne, nie mające jednak żadnej mocy prawnej) dotyczące ZKP czy technologicznych rozwiązań chroniących prywatność. Mimo to UE, choć w dokumentach mówi o prywatności, to w legislacyjnej praktyce zostawia otwartą drogę do centralizacji – a to różnica fundamentalna.

Zwracam na to uwagę, byście mieli na uwadze jeszcze ten aspekt. Zagrożenie dla prywatności, wolności słowa czy anonimowości to tylko pierwszy poziom. Ja wskazuję głębsze konsekwencje: potencjał przejęcia kontekstu poznawczego obywateli UE.

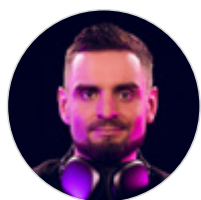
Ochrona prywatności to nie luksus

Nie dajcie sobie wmówić, że obrona prywatności to domena przestępców czy ludzi, którzy „mają coś do ukrycia”. To fałszywa alternatywa: „albo bezpieczeństwo dzieci, albo Twoja prywatność”.

Możemy mieć jedno i drugie. Wystarczy, że zastosujemy standardy, które od lat obowiązują w naszych portfelach, do naszych komunikatorów. Dlaczego ochrona prywatności jest standardem w finansach, a ma być luksusem w komunikacji międzyludzkiej?

To pytanie, na które politycy w Brukseli bardzo nie chcą odpowiadać. I właśnie dlatego musimy je zadawać głośno.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Apple nigdy nas nie zadowoli?

Od 15 grudnia możemy śmiało korzystać w Polsce z Apple Fitness+, czyli usługi w ramach aplikacji Fitness, w której znajdziemy całą masę treningów prowadzonych przez wykwalifikowanych trenerów z całego świata. Właściwie w każdej dziedzinie sportu, którego część możemy uprawiać w domu.



M

Materiały te są nagrywane w autorskich przestrzeniach Apple, w Londynie i Cupertino. Cena? 19,99 zł miesięcznie lub 159 zł rocznie, czyli mniej niż miesięczny koszt dowolnego trenera z YouTube, nie wspominając o treningu personalnym realizowanym osobiście. Haczyk? Brak polskiego dubbingu i polskich napisów oraz... Siri po polsku.

Jak ma się Siri do Fitness+? Nijak, ale tuż po ogłoszeniu największego rozszerzenia sportowej usługi Apple od czasu jej debiutu w Polsce skomentowaliśmy to klasycznie, czyli: „Gdzie jest polska Siri!?”.

Gdzie jest polska Siri?!

Albo i gorsze inwektywy w kierunku firmy z Cupertino sypią się znad Wisły właściwie non stop. Ceny idą w górę – narzekamy, że za drogo. Ceny idą znacznie w dół – narzekamy, że nadal za drogo, a w ogóle to powinno być za darmo. Apple dodaje nową usługę, na którą czekaliśmy – narzekamy, że zamiast niej powinni dodać Siri. Apple doda w końcu Siri i wiecie co? Moim zdaniem pierwsza fala komentujących będzie – tak, narzekała – na jej akcent albo napisze, że to nikomu niepotrzebne.

Nie zamierzam bronić Apple, lecz w mojej ocenie nie potrafię znaleźć uzasadnienia dla tego, co obserwuję w technologicznej bańce od ponad 10 lat. Po ogłoszeniu debiutu wspomnianego Fitness+ w Polsce zapytałem na X tych właśnie komentujących, którzy narzekali na brak polskiej Siri, odnosząc się do całkowicie niezwiązanej premiery sportowej usługi Apple: „Z czego byście faktycznie korzystali z pomocą Siri, gdyby była po polsku?”. Efekt? Cisza albo odpowiedzi w stylu: „Nie wiem, ale to skandal, że nie ma!” lub: „A co to ma do rzeczy? W USA mają!”. Dostownie kilka osób odpowiedziało, podając konkretne braki, np. związane z brakiem większej integracji usług Apple z naszym językiem, choćby w kontekście Apple Intelligence. Brak przewidywania i korekty tekstów w języku polskim. Brak możliwości łatwego i szybkiego, głosowego sterowania systemowym Kalendarzem i Przypomnieniami po polsku. Braki w systemowym Mailu. I tego typu argumentację

Apple dodaje nową usługę,
na którą czekaliśmy
– narzekamy, że zamiast
niej powinni dodać Siri.
Apple doda w końcu Siri
i wiecie co? Moim zdaniem
pierwsza fala komentują-
cych będzie – tak, narzekała
– na jej akcent albo napisze,
że to nikomu niepotrzebne.



szanuję i w 100% rozumiem! Mnie też tego brakuje, ponieważ choć systemów na każdym z urządzeń z logo nadgryzionego jabłka na obudowie używam od 15 lat w języku angielskim – to jednak piszę po polsku.

To, że sam nie przestawiłbym się na mówienie i korzystanie z Siri w naszym języku, nie oznacza, że dla kogoś to nie stanowiłoby dosłownie całkowitej zmiany sposobu korzystania z jego ekosystemu urządzeń. Pojawienie się Siri zapewne oznaczałoby dla nas, Polaków, możliwość kupienia w kraju choćby głośników HomePod czy wprowadzenie do sprzedaży komputera Apple Vision Pro. To dla mnie całkowicie jasne. Czy zatem uważam też, że produkt, który nie ma wszystkich funkcji oferowanych przez Apple klientom w USA, to w pewnym stopniu wybrakowany produkt? Tak, mogę się z tym zgodzić.

Co zatem mi nie pasuje?

Słowa i język, którymi się w życiu posługujemy, mają ogromne znaczenie i są najlepszą wizytówką pozostałych tematów. Bardzo często to papierek lakmusowy dla naszego światopoglądu i stanu psychoemocjonalnego, a przynajmniej dla naszego otoczenia.

Retoryka, która ma znaczenie

Postaram się do tego odnieść w najbardziej kurtuazyjny sposób, w jaki potrafię. Drodzy użytkownicy i użytkowniczki sprzętów Apple – pisanie pod każdym ogłoszeniem tej czy innej marki tekstów mówiących o tym, że marka XYZ „szkaluje Polaków”, „pluje rodakom w twarz” albo jest „****” (nazwa związana z fizjologią człowieka) nie tylko nic w temacie nie wnosi, ale pokazuje, że kompletnie niepoważnie podchodzimy do technologii, z której rzekomo chcemy korzystać w pełni. Tu nie chodzi o samo Apple, Samsunga czy inną markę. Albo może chodzić, ale na samym końcu. Przede wszystkim moim zdaniem chodzi tu o nas. O mnie i o ciebie.



Słowa i język, którymi się w życiu posługujemy, mają ogromne znaczenie i są najlepszą wizytówką pozostałych tematów. Bardzo często to papiererek lakmusowy dla naszego światopoglądu i stanu psychoemocjonalnego, a przynajmniej dla naszego otoczenia. Wracając jednak do samych siebie, to uważam, że jeżeli nie potrafimy wskazać obszarów, których brak danej usługi, technologii czy wiedzy nam przeszkadza i choć spróbować wyjaśnić samym sobie tego, dlaczego i w czym – to po prostu ślepo powtarzamy zdanie kogoś innego. W ten sposób hejt w sieci stał się już lata temu realnym problemem, a wcześniej – poza internetem. To, że czegoś nie ma, nie oznacza jeszcze co do zasady, że dla ciebie czy dla mnie stanowi to problem. Czy może stanowić? No jasne, tylko dowiedzmy się dlaczego i w czym. Ta intencjonalność korzystania z technologii jest kompletnie pomijana w dyskusjach o tejże. A szkoda, bo to zmienia zasady gry, czemu poświęciłem **w całości swój e-book**. Być może strzelam teraz do własnej bramki, ale jeżeli nadal brak polskiej Siri i wiele innych rzeczy będzie jedynie powodem do tworzenia kolejnych clickbaitowych tytułów technologicznych kanałów czy podcastów, to absolutnie do niczego to nie doprowadzi. Bo nawet jeżeli dana firma dostrzeże braki i je załata, to założę się, że przeważająca część tych, którzy na fali hejtu podbijali zasięgi tego typu treści, z owych nowości skorzysta nie więcej niż raz. Mogę się rzecz jasna mylić.

Pod koniec ubiegłego roku miałem ciekawą rozmowę z osobą, która jest absolutnie poza naszą technologiczną bańką. Gdy powiedziałem jej, że Apple umożliwia zgłaszanie błędów poprzez aplikację Feedback, odpowiedziała mi tak:

„A ja myślałem, że to na YouTube i na X najlepiej hejtować, bo Apple czyta te komentarze”.

Pozostawię powyższe bez dalszego komentarza. Sam czekam na dzień pojawienia się polskiej Siri. Zadam wtedy z niepohamowaną chęcią słuchaczom i czytelnikom jedno pytanie: W czym polska Siri pomaga ci na co dzień? Ja już wiem, bo korzystam z niej od lat i to się nie zmieni, ale chętnie poszukam inspiracji u innych!





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Out of the Box

Dziś będzie o całkowicie niepozornej rutynie, którą wdrożyłem u siebie w 2025 roku, a która paradoksalnie może pomóc zaoszczędzić całkiem sporo czasu i pieniędzy w nowym roku. Dlaczego i na czym ów paradoks polega?



Notatki do wydania

Ubiegły rok otwierałem największą zmianą w moim systemie produktywności od piętnastu lat. Przeszedłem z płatnej aplikacji do zarządzania zadaniami (z dużego kombajnu) na systemowe Przypomnienia. Po roku nie żałuję tej decyzji, za to ostatnich sześciu lat już trochę tak. Wiem jednak, że jestem sam sobie winny i stąd pomysł na ten tekst, abyście nie musieli popełniać mojego błędu. Więcej o przesiadce na Przypomnienia mówiłem w tym odcinku podcastu „Bo czemu nie?” oraz pisałem na łamach mojego newslettera pod tym samym tytułem.

Dlaczego nie przesiadłem się wcześniej na systemowe rozwiązania od Apple? Odpowiedź jest banalnie prosta. Nie miałem bowiem pojęcia, jak mocno firma je rozwinęła, poszerzając możliwości o niemalże wszystkie te funkcje, których oczekuję. Dlaczego o tym nie wiedziałem? Tutaj również nie odkryję przed wami teorii wszystkiego, bo odpowiedź brzmi: Nie śledziłem tych zmian! Gdy twórcy aplikacji, a zatem także samo Apple, wydają w ciągu roku ich kolejne aktualizacje, to w App Store zawsze obok przycisku Uaktualnij znajduje się bardziej lub mniej wylewny opis i lista nowości, które nowa wersja aplikacji przynosi. Nikt tego nie czyta? Zgoda, a szkoda, ponieważ przewalamy przez to niemałe pieniądze rok do roku, myśląc, że „to złe Apple nic się nie rozwija!”.

I właśnie dlatego zachęcam was do śledzenia zmian w wydaniach każdej kolejnej aktualizacji. Są ku temu trzy konkretne powody i korzyści, jakie taka uważność i inwestycja czasu i uwagi mogą przynieść.

- **Po pierwsze** – oszczędność pieniędzy! W czasach galopującej rewolucji AI zmiany wprowadzane przez twórców aplikacji są o wiele szybsze i większe niż jeszcze pięć lat temu. U mnie doskonale było to widać przy temacie narzędzi do tworzenia transkrypcji odcinków podcastu. Nie miałem pojęcia, że AudioHijack Pro, którego licencję mam kupioną od lat, przy okazji jednej z aktualizacji dodał funkcję tworzenia transkrypcji w locie. Czyli ja nagrywam ścieżkę audio albo odcinek z gościem, a aplikacja, którą już mam, od razu tworzy zapis tej rozmowy w formie tekstowej! Efekt? Opłacałem wysoki abonament za osobną usługę, która robiła to po nagraniu odcinka. Po nic. To samo było ze wspomnianymi Przypomnieniami Apple, w których zmian nie śledziłem przez dłuższy czas, a już kilka lat temu posiadały absolutnie wszystko, czego potrzebowałem od aplikacji do GTD



(A nawet więcej!), podczas gdy ja nadal opłacałem osobne, drogie narzędzie. Nie korzystając z jakichś 30% jego funkcji.

- **Po drugie** – oszczędność czasu! I na tym polega wspomniany na początku paradoks, ponieważ najpierw może wam się wydawać, że śledzenie opisów aktualizacji to zbyt wiele poświęconej uwagi. Gwarantuję, że szukanie osobnych, kolejnych narzędzi i usług nawet z pomocą AI zabierze go więcej! Najpierw sprawdzajcie, co już macie pod maską (Out of the Box), a dopiero potem inwestujcie czas i pieniądze w ulepszenia z zewnątrz.
- **Po trzecie i najważniejsze** – sposób podejścia do technologii ulegnie zmianie. Będzie prościej, ale zarazem konkretniej. Dlaczego? Ponieważ na bieżąco będziecie niejako automatycznie zadawali sobie pytanie: No dobra, a czego mi tu i tam brakuje? Albo stwierdzali: O! Super, że to dodali, bo właśnie tego mi potrzeba! Lub nierzadko dziwili się: Ej, ale przecież ta druga moja aplikacja robi dokładnie to samo, to może wystarczy mi jedna?

Najpierw sprawdzajcie, co już macie pod maską (Out of the Box), a dopiero potem inwestujcie czas i pieniądze w ulepszenia z zewnątrz.

Nie tylko wrzesień i nie tylko duże aktualizacje!

Zmiany, także te systemowe, to nie tylko wielkie, huczne aktualizacje systemów zapowiadane na czerwcowej konferencji WWDC, ale comiesięczne ulepszenia, które Apple i inne firmy wprowadzają non stop. Ba, nawet sama firma z Cupertino od lat nie wprowadza od razu wszystkich zapowiedzianych na WWDC nowości, ale rozkłada ich premiery na kolejne, większe aktualizacje nowych systemów do wersji X.1, X.2, X.3 i tak dalej. Zatem już na tym poziomie, jeśli zatrzymamy się na wrześniowych premierach – sporo ciekawych rzeczy może nam umknąć.

Żeby było jasne – daleki jestem od zachęcania was do nieustannego przeglądania App Store! Sam tego nie robię, ale raz na miesiąc poświęcam te maksymalnie 10 minut, aby przejrzeć, co nowego pojawiło się w ostatnich aktualizacjach aplikacji, z których najczęściej korzystam, jak te zmiany wpływają na inne spośród nich i co potencjalnie mogę z tym zrobić. Co to dla mnie oznacza i gdzie może wygenerować oszczędności oraz uprościć mój system pracy czy rozrywki. To nie zawsze będą przełomy, ale czasami drobne zmiany, które jednak w czymś konkretnym mogą nam znacząco pomóc.





PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Mój rok 2025 w technologiach

Żegnaj 2025, nie zapomnę cię nigdy! Ale zanim na dobre wejdę w 2026, czas podsumować to, co zdarzyło się w minionym roku personalnie w technologiach, które mnie otaczają na co dzień zawodowo, prywatnie, po prostu życiowo. Więc tym razem nie tylko o telewizorach.



Przesiadka z iPhone 14 Pro na 17 Pro Max

PMój cykl zmian iPhone'ów bywał różny. Na przestrzeni już prawie dwóch dekad (w przyszłym roku i to w styczniu będziemy obchodzić 20 lat od premiery pierwszego iPhone'a!) tylko raz zmieniłem telefon rok po roku – z 5s na 6 Plus, by później wrócić do mniejszego rozmiarami 7. Zwykle ten cykl był właśnie dwuletni, ale w tamtym roku nie widziałem powodu, by zmienić 14 Pro na 16 Pro. W 2025 roku postanowiłem przesiąść się nie tylko na 17 Pro, ale też wybrać znów większy wariant 17 Pro Max. Telefon mam od listopada i moje spostrzeżenia są takie: główny powód wymiany, czyli czas pracy na baterii, to rzeczywiście jest przepaść pomiędzy nie tylko wydrenowanym już 14 Pro, ale też początkiem jego użytkowania. Bardzo istotne jest też USB-C, nowa frontowa kamera i opcja nagrywania na dwie kamery jednocześnie. Natomiast zasadniczo ta zmiana jest też naprawdę mało ekscytująca. W końcu przenosząc dane z jednego do drugiego telefonu, a wcześniej będąc od lipca już na betach iOS 26, samo ogólne doświadczenie miałem bardzo zbliżone. Aparaty są ciut lepsze, telefon jest ciut szybszy. Duże wrażenie na mnie zrobiła jakość dźwięku, choć to znów jest coś, z czego raczej nie korzystam za bardzo, bo używam AirPods. Sam większy ekran jest in plus przy codziennym użyciu, ale też brakuje mi na przykład lepszego wykorzystania poziomego układu. Jestem też bardzo ciekawy, czy kolejna pokusa na nabycie nowego iPhone'a przyjdzie do mnie za 2, 3 czy może 4 lata? Oczywiście Cosmic Orange robi robotę, ale i tak używam go w obudowie.





Logitech MX Master 4 – jeszcze lepsza najlepsza mysz

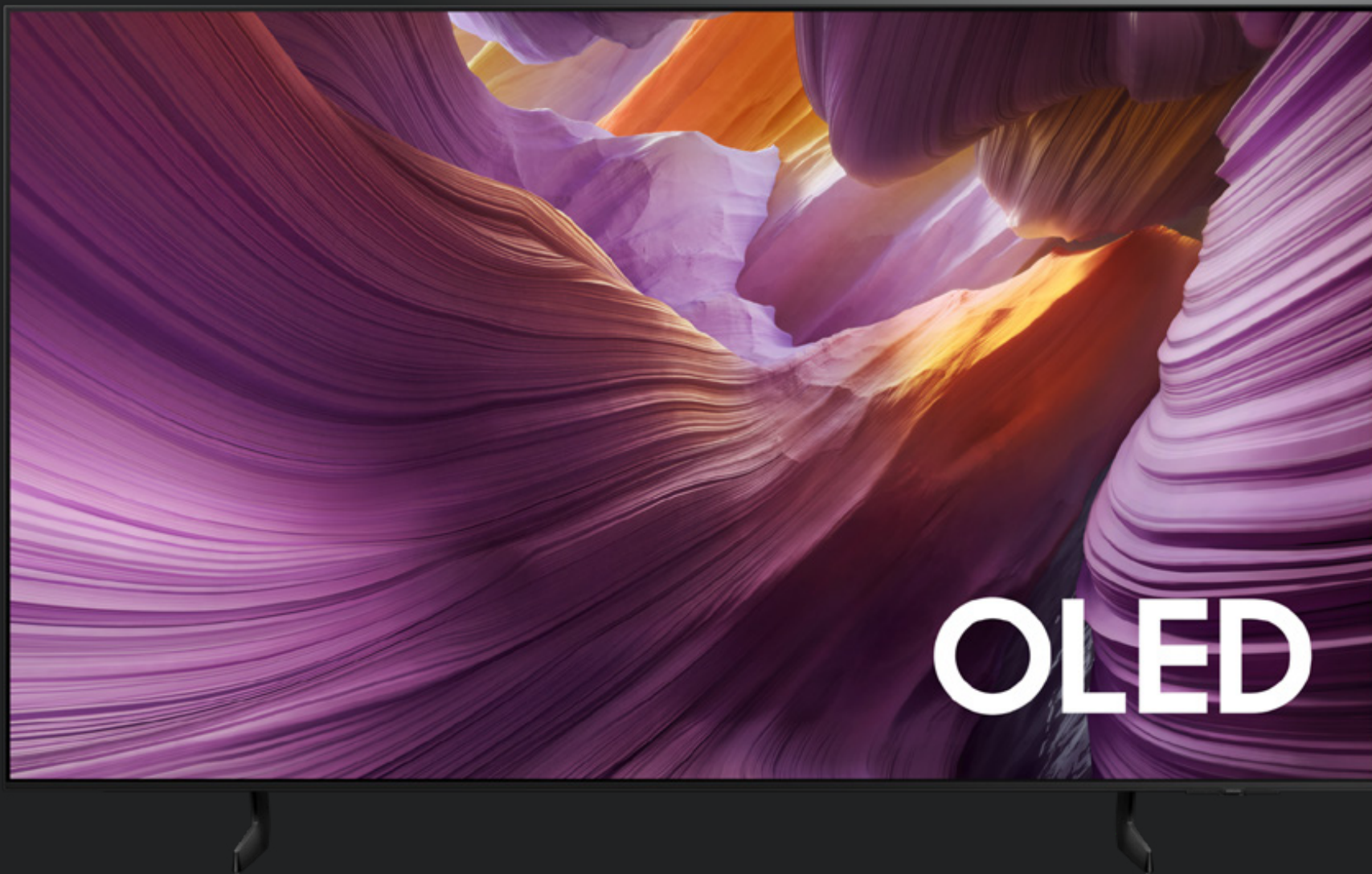
Wśród istotnych premier sprzętowych w 2025 roku należy moim zdaniem wymienić Logitech MX Master 4. To kolejna generacja mojej ulubionej myszki, która po prostu jest ergonomiczna, funkcjonalna, a w nowej wersji jeszcze bardziej „przybajerzona”. A jednocześnie dalej wygodna. Dla mnie to podstawowe narzędzie codziennej pracy, interakcji z komputerem i światem obok telefonu. Dlatego jest tak ważnym punktem na liście technologicznych nowinek czy zmian, które są warte odnotowania w minionym 2025 roku.



Samsung S95F i Sony Bravia 8 II – QD-OLED królem TV

Nie jestem w stanie wybrać jednego najlepszego telewizora w 2025 roku, ponieważ skrzywdziłbym tym drugi model. A sytuacja jest dość patowa. Odsuwając na bok wszystkie inne telewizory, które mogłyby stanąć w szranki, na koniec zostaje nam Samsung S95F i Sony Bravia II, oba wykorzystują ten sam panel QD-OLED od Samsung Display (poza Samsungiem S95F w wariancie 83", tam jest WOLED od LG Display), oba oferują bardzo wysokiej klasy referencyjny obraz. W przypadku Sony on jest zestrojony pod największy realizm, pełnię kinowych doświadczeń, a cały telewizor jest taką esencją japońskiej inżynierii i minimalizmu z dodatkiem możliwości Google TV. Natomiast Samsung S95F, obok dobrego obrazu czy świetnej matowej powłoki, oferuje też masę funkcji AI, swój autorski Smart i smukły design z opcją modułu One Connect, przez co może wyglądać na naprawdę płaski po powieszeniu na ścianie. Problemem jest też fakt, że Bravia 8 MK2 występuje tylko w wariantach 55 i 65 cali, które dziś z mojej perspektywy są za małe. I Samsunga S95F można mieć znacząco taniej. To wszystko sprawia, że gdybym miał powiedzieć, który TV jest najlepszy, powiedziałbym, że Sony Bravia 8 MK2, a poszedł do sklepu i kupił większego Samsunga. Dlatego jestem ciekaw bardzo, co przyniesie rok 2026 w zakresie telewizorów, a zwłaszcza dużych rozmiarów OLED.





Samsung 55S85F – czyli jak pozamiatać rynek

W okresie Black Friday ten telewizor można było kupić za 3199 PLN i myślę, że po Nowym Roku powtórzą się takie okazje, a ostatnie sztuki będą schodzić do ceny 2999 PLN lub podobnej. Jeśli najtańszy w miarę działający telewizor 55-calowy możemy mieć za 1700–1800 złotych, to fakt, że za 3 tysiące możemy mieć świetny ekran, nieporównywalny zupełnie jakościowo, robi naprawdę duże wrażenie. Tu też jestem bardzo ciekaw, co przyniesie rok 2026. Jeśli LG Display i Samsung Display będą szaleć z cenami paneli OLED dalej, to Mini LED-y będą miały poważny problem i tylko wygibasy sprzedawców i marketerów będą mogły ratować niektóre produkty na rynku.



Samochód napędzany softem

W 2024 roku nabyłem samochód, w 2025 zaczął on normalnie działać! I to nie jest żart, a rzeczywistość odebrania jednego z pierwszych egzemplarzy na rynku. Po nieco ponad roku, licznych aktualizacjach oprogramowania, samochód przestał się wieszać w najmniej oczekiwanych momentach, mieć problemy z zamykaniem czy też cierpieć na brak niektórych funkcji. Stał się tym, czym powinien być od początku i jest naprawdę świetny. Dla mnie prawdziwym game changerem jest Car Key, czyli kluczyki w moim Apple Watch i iPhone. To, że nie noszę już żadnych kluczy i portfela na co dzień, jest świetne. Ale cała ta sytuacja pokazuje, jak bardzo samo urządzenie, pojazd, produkt nic dziś nie znaczy bez odpowiedniego oprogramowania.

Mova P50 Pro Ultra – dzień dobry w czystym domu

Miałem w domu robota odkurzającego od przeszło 6 lat, ale nie byłem jego aktywnym użytkownikiem. Aż przyszła okazja do testów Mova i później już u mnie Mova została. Ponieważ rzeczywiście obecnie generacje robotów sprzątających to rzeczywiście roboty sprzątające. Odkurzanie, mopowanie w sposób efektywny, bez obsługi. Jedyne, na co mogę narzekać, to konieczność pamiętania o opróżnianiu i napełnianiu zbiorników na czystą i brudną wodę, ponieważ w moim metrażu muszę robić to codziennie. Dlatego pewnie dziś projektując wnętrze, pomyślałbym o robocie sprzątającym z podłączeniem do wody. Natomiast właśnie to codzienne mycie i odkurzanie podłogi robi wrażenie w domu, fajnie jest przyjść z pracy do czystego domu, i to dostaję z robotem.



ChatGPT narzędzie, które zmienia pracę

A jeśli chodzi o pracę, to dopiero w tym roku kolejne wersje chataGPT, ale też innych asystentów sprawiły, że moja codzienna praca znacząco się odmieniła. Możliwości obróbki graficznej, pracy z plikami, pracy nad tłumaczeniami, tekstem sprawiają, że to realne narzędzie w pracy, oszczędności czasu, pieniędzy, zasobów ludzkich. A jednocześnie też wyzwanie – narzędzie, które trzeba sprawdzać i kontrolować. Mam nadzieję, że rozwój AI będzie postępował, ale też, że będzie zachowany w tym jakiś zdrowy rozsądek.

Choć to właśnie zdrowy rozsądek i spokój oraz większy dystans do technologii przy jednoczesnym jej mądrym wykorzystaniu i cieszeniu się nią będą moim kluczowym wyzwaniem na rok 2026.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

App Tracking Transparency – jak Apple zmieniło zasady gry w śledzeniu użytkowników

W ostatnich latach prywatność stała się jednym z kluczowych tematów w świecie technologii. Rosnąca świadomość użytkowników oraz działania regulatorów sprawiły, że firmy technologiczne musiały zmierzyć się z pytaniem, kto naprawdę kontroluje dane osobowe. Jedną z najbardziej znaczących odpowiedzi na to wyzwanie jest App Tracking Transparency (ATT) w systemie iOS.





Na czym polega App Tracking Transparency?

App Tracking Transparency to mechanizm, który wymaga od aplikacji uzyskania wyraźnej zgody użytkownika na śledzenie jego aktywności. Gdy aplikacja chce łączyć dane o użytkowniku zebrane w jednej aplikacji z danymi pochodzącymi z innych aplikacji lub stron internetowych należących do innych firm, musi najpierw zapytać o pozwolenie.

Użytkownik widzi prosty komunikat i podejmuje jasną decyzję: zezwolić na śledzenie albo go odmówić. Co istotne, wybór ten nie jest ostateczny – można go w każdej chwili zmienić w ustawieniach systemu. Istnieje także globalna opcja, która pozwala całkowicie zablokować prośby o śledzenie i automatycznie odmawiać zgody wszystkim aplikacjom.

Dlaczego kluczowe jest rozróżnienie danych?

ATT wprowadza wyraźną granicę między danymi pierwszej strony a danymi stron trzecich. Dane pierwszej strony to informacje, które użytkownik świadomie przekazuje firmie, z którą ma bezpośrednią relację – na przykład aplikacji, z której korzysta. Dane stron trzecich to natomiast informacje przekazywane lub łączone pomiędzy różnymi podmiotami.

To właśnie dane stron trzecich budzą największe obawy z punktu widzenia prywatności. Umożliwiają one śledzenie użytkownika w wielu miejscach jednocześnie, często bez jego pełnej świadomości, prowadzą do masowej agregacji informacji i zwiększają ryzyko nadużyć. ATT został zaprojektowany tak, aby ograniczyć właśnie ten model działania.

Równe zasady dla wszystkich aplikacji

Mechanizm App Tracking Transparency obowiązuje wszystkie aplikacje działające na iOS na tych samych zasadach. Aplikacje, które nie korzystają z danych stron trzecich w celach reklamowych czy pomiarowych, nie muszą wyświetlać komunikatu. Dotyczy to zarówno aplikacji niezależnych twórców, jak i aplikacji systemowych.

ATT wprowadza wyraźną granicę między danymi pierwszej strony a danymi stron trzecich.



Dodatkowo użytkownicy urządzeń Apple są pytani o zgodę nawet na personalizację reklam opartą na danych pierwszej strony, co wykracza poza wymagania stawiane innym deweloperom. W praktyce większość użytkowników decyduje się na wyłączenie personalizacji, co skutkuje wyświetlaniem reklam kontekstowych zamiast dopasowanych do profilu.

Wpływ na rynek reklamy i reakcje otoczenia

Wbrew krytyce ze strony części branży reklamowej, wprowadzenie ATT nie doprowadziło do znaczącego wzrostu udziału Apple w rynku reklamy cyfrowej. Udział ten pozostał na marginalnym poziomie w skali globalnej (poniżej jednego procenta – globalnie jest to ok 1 biliona USD, podczas gdy Apple szacuje się na ok 5 miliardów USD), co podważa argument, że rozwiązanie zostało zaprojektowane z myślą o przewadze biznesowej.

App Tracking Transparency pokazuje, że ochrona prywatności nie musi oznaczać skomplikowanych regulaminów i wielostronicowych zgód.

Jednocześnie App Tracking Transparency zyskało szerokie poparcie organizacji konsumenckich, regulatorów i ekspertów ds. prywatności. Badania wskazują, że użytkownicy dobrze rozumieją komunikat ATT i potrafią z niego korzystać, co nie zawsze jest możliwe w przypadku rozbudowanych i niejasnych formularzy zgód stosowanych w reklamie internetowej. Co więcej, wielu użytkowników innych platform deklaruje, że chciałoby mieć dostęp do podobnego mechanizmu.

Prywatność jako standard, nie wyjątek

App Tracking Transparency pokazuje, że ochrona prywatności nie musi oznaczać skomplikowanych regulaminów i wielostronicowych zgód. Prosty wybór, jasno określony cel i możliwość zmiany decyzji to elementy, które realnie wzmacniają pozycję użytkownika.

W czasach, gdy regulacje takie jak RODO wyznaczają minimalne standardy, ATT stanowi przykład podejścia, w którym prywatność jest traktowana jako fundament projektowania systemów, a nie jako dodatek wymuszony przez prawo. To właśnie ta prostota i jednoznaczność sprawiają, że App Tracking Transparency stało się jednym z najważniejszych punktów odniesienia w debacie o przyszłości danych osobowych w świecie aplikacji mobilnych.





PIOTR WDOWIAK
@P_Wdowiak

W imię albańskiej braci

Albania odpowiedzialna jest za jeden z moich największych podróżniczych zachwyty ostatnich lat. Kiedy stamtąd wróciłem z kilkudniowej, stanowczo za krótkiej, wyprawy i otrzymałem do przetestowania dwie albańskie butelki – uznałem to za dobry omen.





Albania, ten najmniejszy z największych (duchem i charakterem) krajów bałkańskich, już za chwilę może przeżyć swoje wielkie chwile. Jak twierdzą inni eksperci, do których daleko mi w winiarskich prorocत्वach, kraj ten trafił na doskonały winiarski moment w historii. Dla wielu miłośników klasyczne wina stały się w dużej mierze zbyt ograniczające, o wiele bardziej ekscytująca jest pogoń za prawie nieistniejącymi odmianami, o których nawet nie wspomniano w „Wine Grapes” Jancis Robinson lub za rzeczami z najdziwniejszych miejsc, takich jak Wenezuela, Mauritius, Tajwan, a nawet Sussex. Dla większości ludzi Albania należy do listy: wina, które są dobre, ponieważ są interesujące i interesujące, ponieważ są inne.

Tym większa ekscytacja może i wręcz musi towarzyszyć winom z tego pięknego kraju. Sam mam na koncie 5–10 przetestowanych butelek ze Sqipeiry (Albania w jęz. ojczystym) i z wypiekami na twarzy przyjąłem informację o tym, że krakowska Winnacja postanowiła importować stamtąd jakościowe wina. Zresztą prawdopodobnie jako pierwsi odważni w Polsce.

Otrzymałem dwie butelki od **Kantina Alimani** – rodzinnej winiarni z Tirany, założonej w 2016 roku przez dwóch braci – Rezarta oraz Erjona i prowadzonej przy stałym wsparciu ich ojca – Ramazana. Bracia Alimani wrócili do Albanii po doświadczeniach zdobytych we Włoszech, w jednej z najbardziej prestiżowych winiarni w Rzymie – Poggio Le Volpi. Ramazan przybył do niej w 2001 r., zajmując się różnymi pracami w winnicach. Pięć lat później dołączył do niego Rezart. Bliskie relacje z dziadkiem agronomek – Kasem Kaleci – podsyły w nim wielką miłość do natury. Gdy tylko przybył do Rzymu w 2006 r., Rezart natychmiast zaangażował się w pracę i procesy wewnątrz winnicy. Jego doświadczenie, zaangażowanie w pracę, a także niewątpliwa pasja do wina przelożyły się na ich własną winiarnię. Bracia skupili się na inwestycjach związanych z winiarnią, dbając o jakość – winogrona kontraktują w zaprzyjaźnionych winnicach, ale tylko takich, które stosują metody organiczne i biodynamiczne. Winnice ulokowane są na zachodzie Albanii – w okręgu Cizmeli, w regionie Durrës, około 20 km od Morza Adriatyckiego.

Oba wina powstały z lokalnych albańskich odmian. **Shesh i Bardhë 2020** (w dosłownym tłumaczeniu nazwa tej odmiany to „białe pole”) produkowane jest winogron z ponad 15-letnich winnic. Fermentacja winogron odbywa się w zbiornikach ze stali nierdzewnej w niskiej temperaturze,



utrzymywanej średnio na poziomie 15°C, aby jak najlepiej wyrazić charakterystyczne aromaty wina. W oku mamy słomkowo-żółty kolor. Nos częstuje aromatem pyłków kwiatowych, do tego odrobina zielonego jabłka, polne zioła. Kwasowość dość stonowana, średnia budowa i wyraźna goryczka w końcówce. Interesujące, choć czuję, że swoją „górkę” wino ma już za sobą.

Dużo więcej emocji jest za to w czerwonym **Shesh i Zi 2021** (dosłownie „czarne pole”). Fermentacja odbywa się tu przez około 15 dni w zbiornikach ze stali nierdzewnej w kontrolowanej temperaturze. Bez udziału beczki. Za co wielkie kudos dla braci! Dość ciemna barwa w odcieniach przejrzącej czereśni nie zapowiada tego, co dostajemy w kieliszku. W nosie odnajdziemy jagody oraz masę przejrziałych czerwonych owoców. Ciepłe, owocowe wrażenie podsyca ponownie stonowana kwasowość, średnia budowa oraz gładkie, lekko taniczne usta. Ta charakterystyka pod wezwaniem owocu, bez zbędnych pretensji, stanowczo do mnie przemawia.

Intuicja podszeptuje mi, że na fali znużenia tym, co oczywiste w świecie wina, Albania faktycznie może stać się the next big thing. Natomiast niezależnie od tego, czy oraz kiedy, już dziś można cieszyć się Albanią nad Wisłą. Na razie nieśmiało, na razie w ilościach aptekarskich, ale tym większe brawa za odwagę.

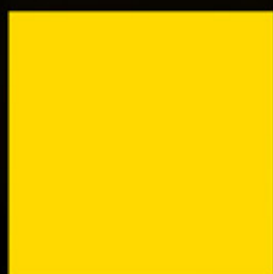


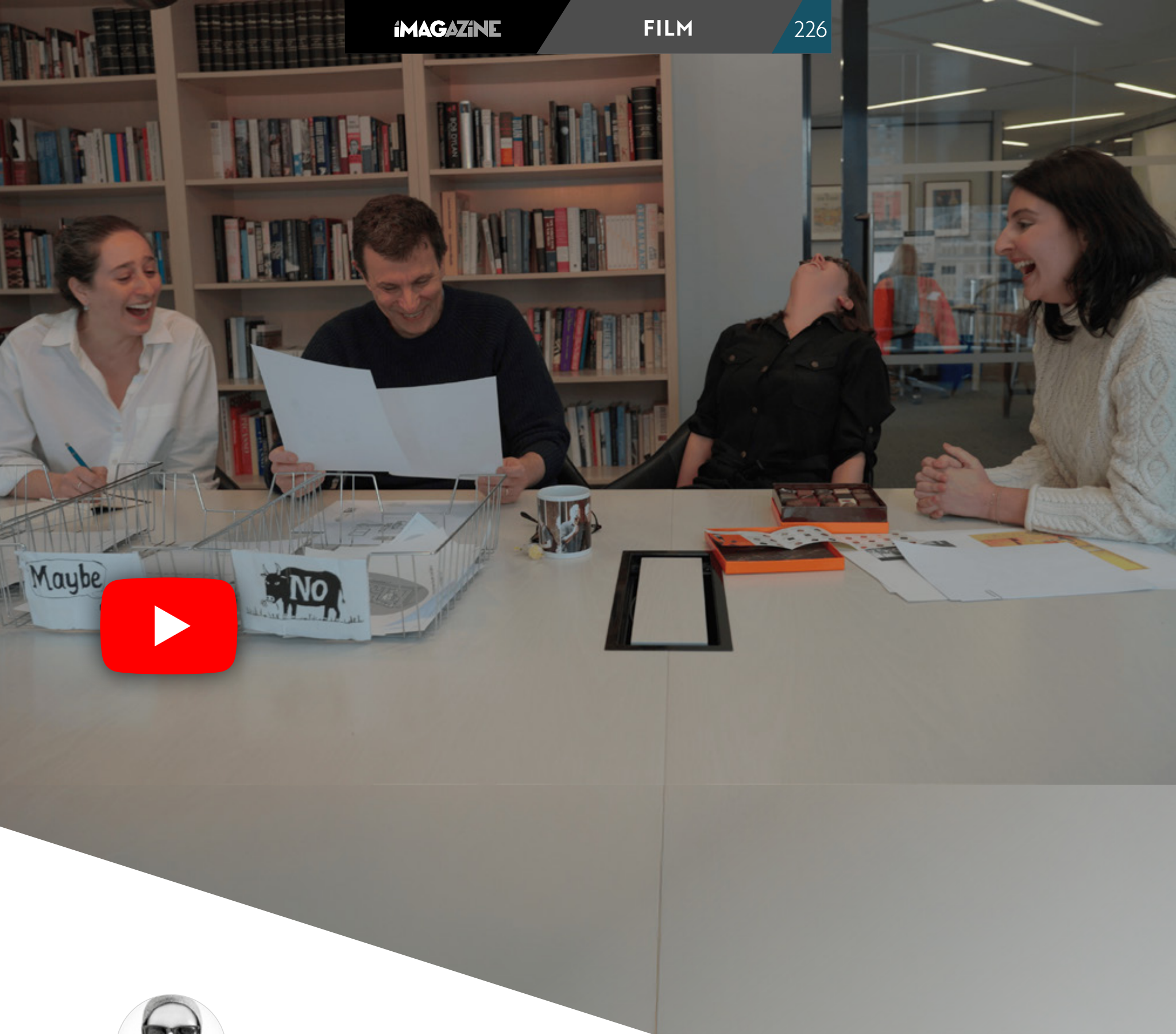


PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine

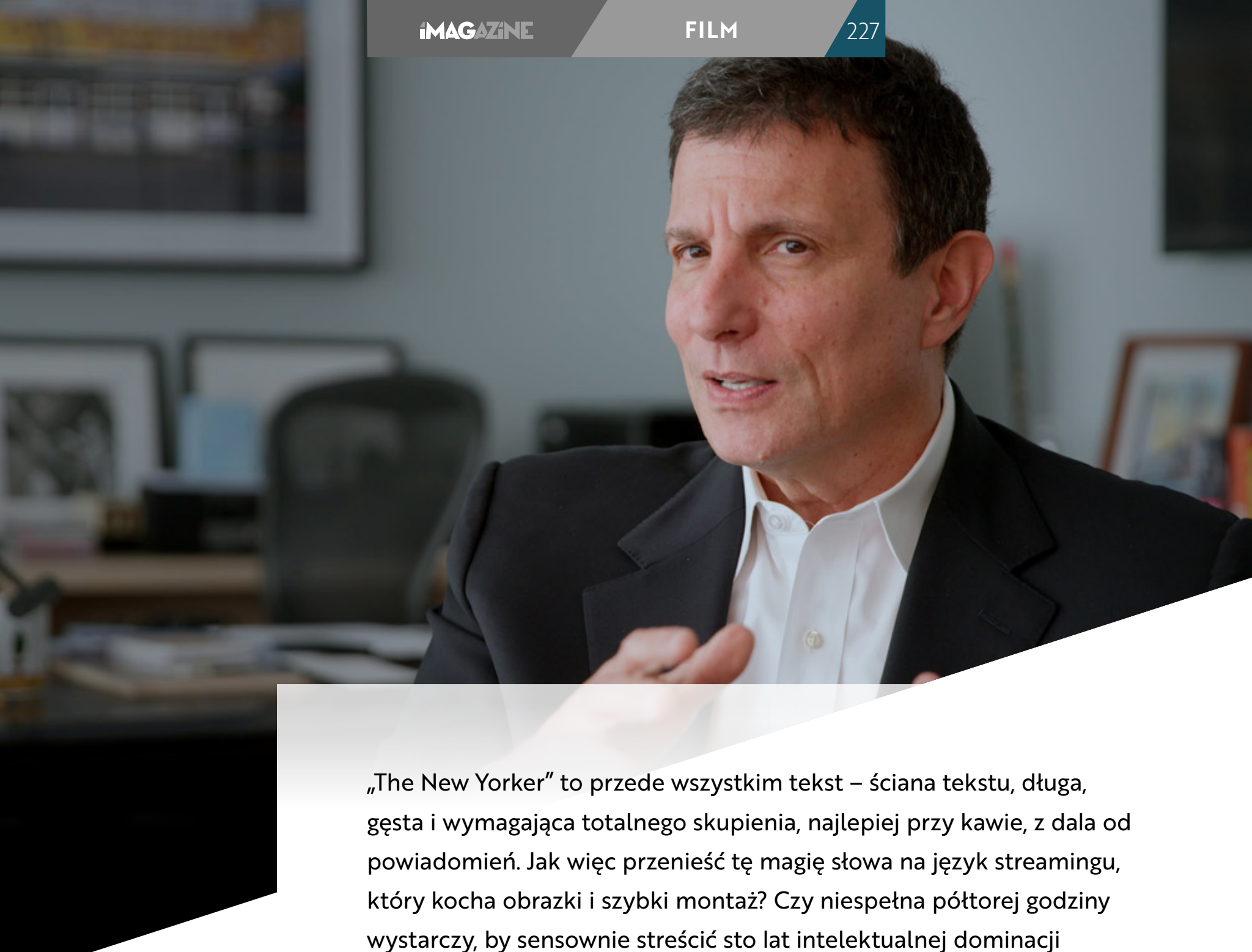


NETFLIX

100 lat New Yorkera

W dzisiejszych czasach, gdy newsy żyją krócej niż chwila, a algorytmy TikToka czy Instagrama mają treści szybciej, niż zdążymy je wchłonąć, „The New Yorker” to prawdziwy ewenement. Od stu lat stoi niewzruszony jak latarnia morska, oświetlając nam meandry kultury, polityki i literatury, kompletnie ignorując pędzący wokół świat, pełen clickbaitów. Nic więc dziwnego, że film dokumentalny o tym niesamowitym czasopiśmie chciałem obejrzeć, jak tylko dowiedziałem się, że pojawi się na Netfliksie.





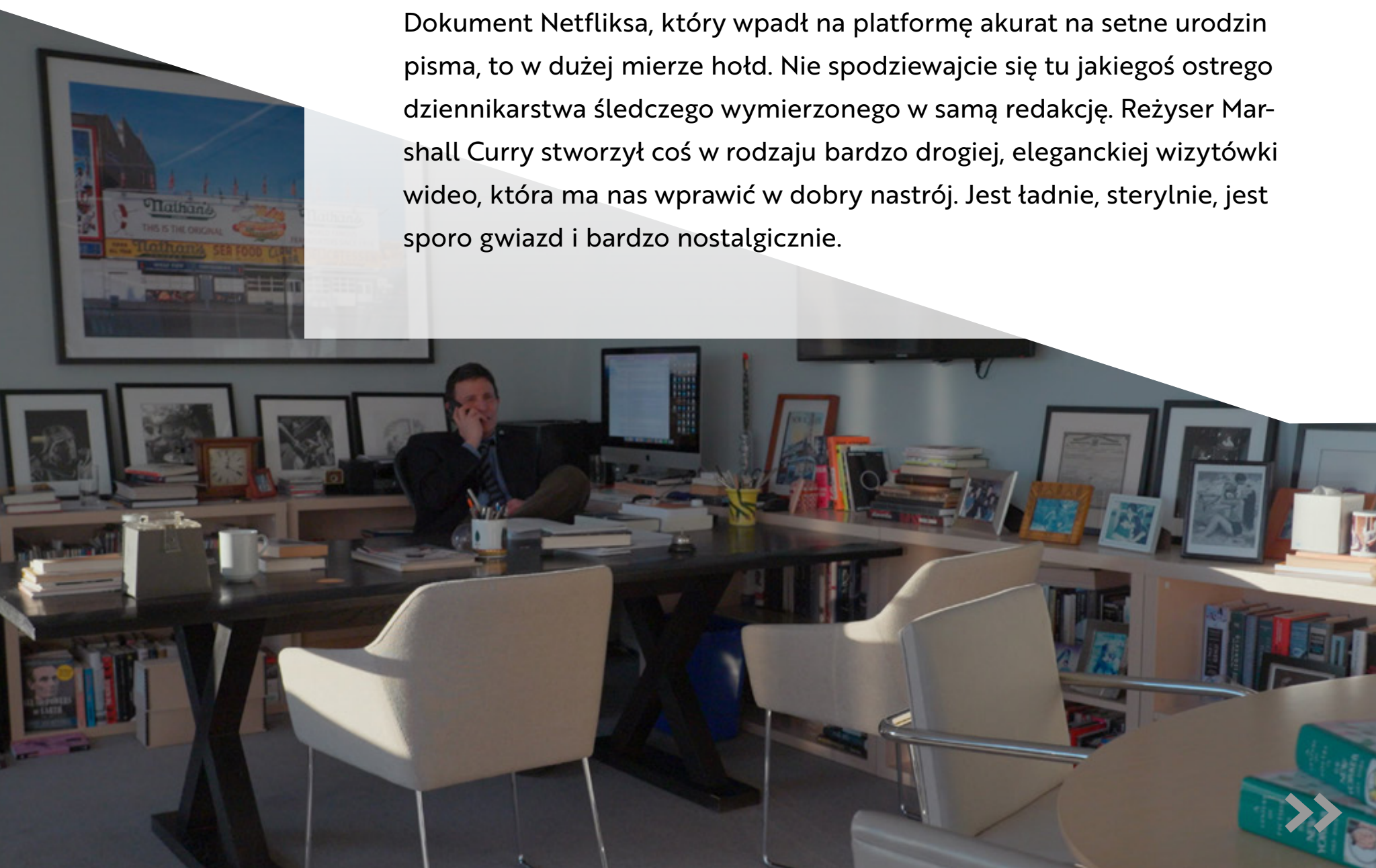
„The New Yorker” to przede wszystkim tekst – ściana tekstu, długa, gęsta i wymagająca totalnego skupienia, najlepiej przy kawie, z dala od powiadomień. Jak więc przenieść tę magię słowa na język streamingu, który kocha obrazki i szybki montaż? Czy niespełna półtorej godziny wystarczy, by sensownie streścić sto lat intelektualnej dominacji i wpływu na to, co myślimy? Udajmy się na wycieczkę po redakcji przy One World Trade Center, gdzie wyrafinowany humor miesza się z egzystencjalnymi lękami liberalnej elity, a kreskówki o kotach są traktowane tak samo serio, jak losy amerykańskiej demokracji.

Zanim przejdę do oceny samej produkcji, muszę nakreślić szerszy obraz, bo łatwo przegapić skalę zjawiska. „The New Yorker” to coś znacznie więcej niż zwykły, kolorowy magazyn, który kupicie w kiosku na lotnisku czy ściąganie na tablet w ramach subskrypcji. To instytucja. To fundament rzetelnego dziennikarstwa, który w dobie fake newsów i generowanych przez AI artykułów wydaje się pochodzić z innej planety, albo chociaż z innej epoki. Każdy numer to lekcja precyzji słowa i szacunku do czytelnika. W czasach, gdy weryfikacja faktów to dla wielu wydawców zbędny, kosztowny luksus, ekipa pod wodzą Davida Remnicka trzyma standardy, jakich ze świecą szukać. Gdybym miał odnieść się do polskiego medialnego podwórka, to na pewno pierwszym tytułem, jaki przychodzi mi do głowy, byłoby „Pismo”.



W dokumencie pada liczba, która robi niesamowite wrażenie, zwłaszcza jeśli mamy pojęcie o tym, jak działają współczesne media: ich dział fact-checkingu liczy aż 29 osób! Dziś to jest naprawdę ciężkie to wyobrażenia, jeśli weźmiemy pod uwagę współczesne „standardy”. W większości redakcji to autor tekstu musi sam wszystkiego pilnować, a tu mamy małą armię, która dba o to, by dosłownie każde zdanie było zgodne ze stanem faktycznym. Dwadzieścia dziewięć osób, które siedzą tylko po to, żeby sprawdzić każdy, nawet najmniejszy detal – od koloru krawata polityka w 1995 roku po dokładną datę bitwy sprzed dwustu lat. W redakcji mówią na to „redakcyjna kolonoskopia” i nie ma w tym cienia przesady. I trzeba przyznać, że budzi to ogromny szacunek. „The New Yorker” nie tylko informuje; on wyznacza poziom wiarygodności, do którego wszyscy powinniśmy równać. Ta niesamowita skrupulatność w połączeniu ze świetnym piórem najlepszych autorów świata i tym charakterystycznym, nieco archaicznym krojem czcionki, sprawia, że pismo przyciąga ludzi z całego globu. A postać Eustachego Tilleya – gościa z monoklem z pierwszej okładki – stała się symbolem pewnego snobizmu, który jednak chętnie wybaczymy (a nawet lubimy), bo w zamian dostajemy jakość, której nie da się podrobić.

Dokument Netfliksa, który wpadł na platformę akurat na setne urodzin pisma, to w dużej mierze hołd. Nie spodziewajcie się tu jakiegoś ostrego dziennikarstwa śledczego wymierzonego w samą redakcję. Reżyser Marshall Curry stworzył coś w rodzaju bardzo drogiej, eleganckiej wizytówki wideo, która ma nas wprowadzić w dobry nastrój. Jest ładnie, sterylnie, jest sporo gwiazd i bardzo nostalgicznie.





Narratorką jest Julianne Moore, a przed kamerą, w pięknych, jasnych wnętrzach, zasiadają sławy takie jak Jon Hamm, Sarah Jessica Parker, Jesse Eisenberg czy gwiazdy stand-upu. Wszyscy opowiadają, jak to kochają czytać „New Yorkera”, jak to ich intelektualnie stymuluje albo jak bardzo byli dumni, gdy ich nazwisko w końcu pojawiło się na tych łamach. To typowy chwyt Netfliksa – znane twarze z Hollywood mają przyciągnąć nas przed ekran, bo sama historia czasopisma mogłaby wydać się zbyt niszowa. I szczerze? To działa, bo nadaje całości lekkości i sprawia, że czujemy się częścią tego elitarnego klubu.

Mamy tu też naprawdę fajne przebitki wizualne: oglądamy, jak w bólach (i śmiechu) powstają słynne okładki (w tym ta kultowa mapa Nowego Jorku, gdzie reszta świata to tylko niewyraźne plamy), zaglądamy za kulisy działu kreskówek, gdzie redaktorzy debatują nad tym, co jest śmieszne, a co żenujące, i widzimy redakcję w ferworze walki z czasem przed zamknięciem numeru. David Remnick, naczelny od 1998 roku, wyrasta tu na głównego bohatera, który ogarnia ten twórczy chaos ze spokojem mnicha – jeden z rozmówców nazwał go nawet „Michaeliem Jordanem dziennikarstwa”, co jest całkiem trafnym porównaniem, biorąc pod uwagę jego skuteczność.

Konstrukcja filmu może jednak budzić pewne wątpliwości, a dla niektórych może być wręcz irytująca. Twórcy wymyślili sobie, że przeplotą



historię stulecia pisma z gorączkowymi, współczesnymi przygotowaniami do numeru jubileuszowego, a wszystko to dzieje się w cieniu wyborów prezydenckich w USA w 2024 roku i potencjalnego powrotu Donalda Trumpa.

Bardzo dużo czasu (może nawet za dużo) poświęcono na to, jak redakcja reaguje na kampanię i wygraną Trumpa. Dokument pokazuje bez owijania w bawełnę, że redakcja „The New Yorkera” to bastion liberałów ze Wschodniego Wybrzeża, którzy kompletnie nie rozumieją drugiej strony. Widać tu pewną jednolitość myślenia – wszyscy są przerażeni, a nastrój po wyborach jest wręcz apokaliptyczny, jakby świat się kończył. Zestawienie współczesnych wieców Trumpa z archiwalnymi nagraniami nazistów z lat 30. może się niektórym wydać trochę manipulacyjne i na wyrost. Ale z drugiej strony to fascynujący, socjologiczny obraz tego, jak w swojej szczelnej „bańce” żyją amerykańskie elity intelektualne. Widzimy zderzenie ich ideałów z brutalną rzeczywistością. Szkoda tylko, że przez to skupienie na bieżącej polityce film trochę traci na uniwersalności i staje się komentarzem do tu i teraz, zamiast bycia ponadczasową opowieścią.

Oglądając „100 lat New Yorkera”, miałem nieodparte wrażenie, że oglądam wersję „The Best Of” w teledyskowym skrócie dla opornych. Niecałe 100 minut to zdecydowanie za mało, żeby opowiedzieć o takim gigancie





w sposób wyczerpujący. W efekcie wiele ważnych tematów potraktowano po łebkach, co może boleć wiernych czytelników. Zabrakło mi np. głębszego wejścia w temat wpływu Pauline Kael na krytykę filmową – kobiety, której bało się całe Hollywood.

Tak samo pobieżnie potraktowano temat cyfrowej rewolucji, co jest dziwne, bo to niesamowity sukces biznesowy. Przecież w czasach, gdy prasa drukowana pada jak muchy, a wielkie tytuły znikają z rynku, „The New Yorker” nie tylko przetrwał, ale ma się świetnie i zarabia miliony na paywallu. Film niestety nie wyjaśnia, jak im się to udało – jak przekonali ludzi do płacenia za długie treści w epoce TikToka? Wspomniano też o braku różnorodności rasowej w historii pisma (przez dekady była to bardzo „biała” redakcja), ale temat nie został jakoś mocno zgłębiony, a jedynie zasygnalizowany.

Mimo tych braków film przypomina o momentach, w których „The New Yorker” realnie zmieniał historię – i to nie jest przesada. Warto wspomnieć o Rachel Carson i jej tekstach „Zamilkła wiosna”, które zapoczątkowały światowy ruch ekologiczny i doprowadziły do zmian w prawie. Czy o Trumanie Capote i jego „Z zimną krwią”, które stworzyło gatunek powieści faktu. To były teksty, o których dyskutowała cała Ameryka przy niedzielnym obiedzie!



Ale dla mnie najważniejszym momentem jest wspomnienie reportażu Johna Herseya „Hiroszima” z 1946 roku. Wyobraźcie sobie tę sytuację: redakcja, znana z humoru i lekkości, wyrzuciła z numeru absolutnie wszystko inne – artykuły, felietony, nawet te słynne żarty rysunkowe! Został tylko jeden, potężny, wstrząsający tekst o losach kilku ofiar bomby atomowej. To było zagranie *va banque*, które zmieniło sposób, w jaki ludzie myśleli o wojnie nuklearnej – z abstrakcyjnego „bum” na ludzkie cierpienie. To dowód na to, że to pismo to nie tylko wielkomiejski snobizm, ale też kawał humanistycznej roboty, która ma moc zmieniania świata.

Skoro film to tylko przystawka (bardzo smaczna, ale jednak przystawka), to gdzie szukać dania głównego? Mam konkretne polecenia, które uzupełnią luki pozostawione przez Netfliksa. Jeśli dokument was zaniepokoił, ale czujecie niedosyt wiedzy, koniecznie sięgnijcie po książkę Michała Choińskiego pt. „The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”. To świetna rzecz, napisana z polskiej perspektywy, która wchodzi w szczegóły i anegdoty, o których film tylko wspomina. To idealne uzupełnienie seansu. No i oczywiście – jeśli jeszcze nie znacie, przeczytajcie „Hiroszimę” Johna Herseya (jest dostępna po polsku w nowym wydaniu). To wciąż, po tylu latach, jeden z najlepszych tekstów dziennikarskich w historii i najlepszy dowód na siłę reportażu.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine

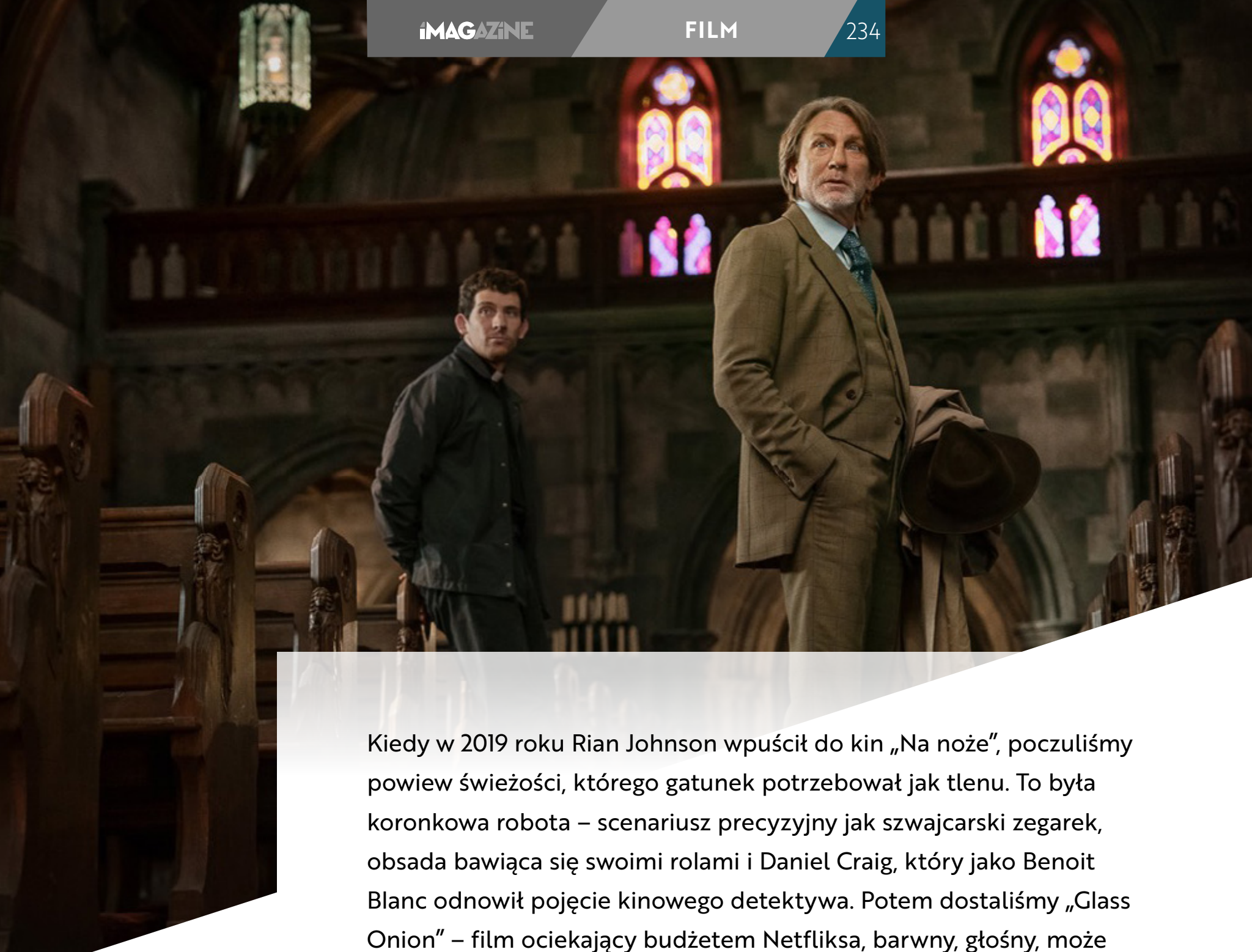


NETFLIX

Żywy czy martwy: Film z serii Na noże

Kiedy w 2019 roku Rian Johnson wpuścił do kin „Na noże”, poczuliśmy powiew świeżości, którego gatunek potrzebował jak tlenu. To była koronkowa robota – scenariusz precyzyjny jak szwajcarski zegarek, obsada bawiąca się swoimi rolami i Daniel Craig, który jako Benoit Blanc odnowił pojęcie kinowego detektywa. Potem dostaliśmy „Glass Onion” – film ociekający budżetem Netfliksa, barwny, głośny, może nieco zbyt pewny siebie, ale wciąż dający frajdę. A teraz? Teraz lądujemy w trzeciej odsłonie: „Żywy czy martwy” i z przykrością muszę stwierdzić, że ta maszyna zaczyna zgrzytać. Nudą.





Kiedy w 2019 roku Rian Johnson wpuścił do kin „Na noże”, poczuliśmy powiew świeżości, którego gatunek potrzebował jak tlenu. To była koronkowa robota – scenariusz precyzyjny jak szwajcarski zegarek, obsada bawiąca się swoimi rolami i Daniel Craig, który jako Benoit Blanc odnowił pojęcie kinowego detektywa. Potem dostaliśmy „Glass Onion” – film ociekający budżetem Netfliksa, barwny, głośny, może nieco zbyt pewny siebie, ale wciąż dający frajdę. A teraz? Teraz lądujemy w trzeciej odsłonie: „Żywy czy martwy” i z przykrością muszę stwierdzić, że ta maszyna zaczyna zgrzytać. Nudą.

Piszę te słowa z perspektywy kogoś, kto naprawdę chciał ten film pokochać. Jestem fanem gatunku, cenię warsztat Johnsona i uwielbiam, gdy popkultura inteligentnie dekonstruuje klasykę. Jednak po seansie najnowszej produkcji, która właśnie trafiła na serwery Netfliksa, zostałem z uczuciem dziwnego niedosytu. Mamy tu wszystko, co na papierze powinno działać: gwiazdorską obsadę, intrygującą zmianę klimatu i samego Benoita Blanca. A jednak „Żywy czy martwy” to dowód na to, że w kinie, tak jak w kuchni, same wykwintne składniki nie gwarantują udanego dania, jeśli zabraknie szczypty serca i... lekkości.

Rian Johnson postanowił tym razem wykonać zwrot o 180°. Jeśli pierwsza część była jesienna i arystokratyczna, a druga słoneczna



i nowobogacka, to trójka zanurza nas w zimowym, niemal gotyckim mroku. Akcja przenosi się do małej parafii w północnej części stanu Nowy Jork, do miejsca o nazwie Chimney Rock. To sceneria żywcem wyjęta z klasycznych powieści Edgara Allana Poe czy Agathy Christie – mamy stary kościół, cmentarz i atmosferę gęstą od niewypowiedzianych pretensji.

Ofiarą – co nie jest spoilerem, bo to fundament każdego kryminału – pada ksiądz Jefferson Wicks (w tej roli potężny, choć grający na jednej nucie, Josh Brolin). Wicks nie jest typem dobrotliwego proboszcza. To religijny fundamentalista, ideologiczny dyktator, który z ambony ciska gromy w stronę zepsutego świeckiego świata, gejów i samotnych matek. Jego śmierć w Wielki Piątek, wewnątrz kościoła, staje się punktem wyjścia dla klasycznej zagadki zamkniętego pokoju. I tutaj na scenę wkracza znany nam już Benoit Blanc.

Daniel Craig powraca z dłuższymi włosami i nienagannymi garniturami, ale coś się w tej postaci zmieniło. Jego Blanc, dotychczas czarujący ekscentryk z przerysowanym akcentem, został w tej części dziwnie





wygładzony. Owszem, nadal jest genialnym obserwatorem, ale brakuje mu tej iskry, która rozświetlała poprzednie filmy. W „Żywy czy martwy” Blanc wydaje się bardziej wycofany, momentami wręcz zmęczony, jakby sam Rian Johnson nie do końca miał pomysł, co jeszcze z tą postacią można zrobić. Co ciekawe, film próbuje zestawić racjonalny ateizm Blanca z kwestiami wiary, co teoretycznie jest fascynującym zabiegiem. Blanc, człowiek logiki i faktów, kontra mistycyzm i religijne uniesienia. Problem w tym, że ten konflikt wybrzmiewa dość płasko. Zamiast intelektualnej szermierki dostajemy zestaw dość oczywistych tez, które reżyser serwuje nam z subtelnością ciosu łopata.

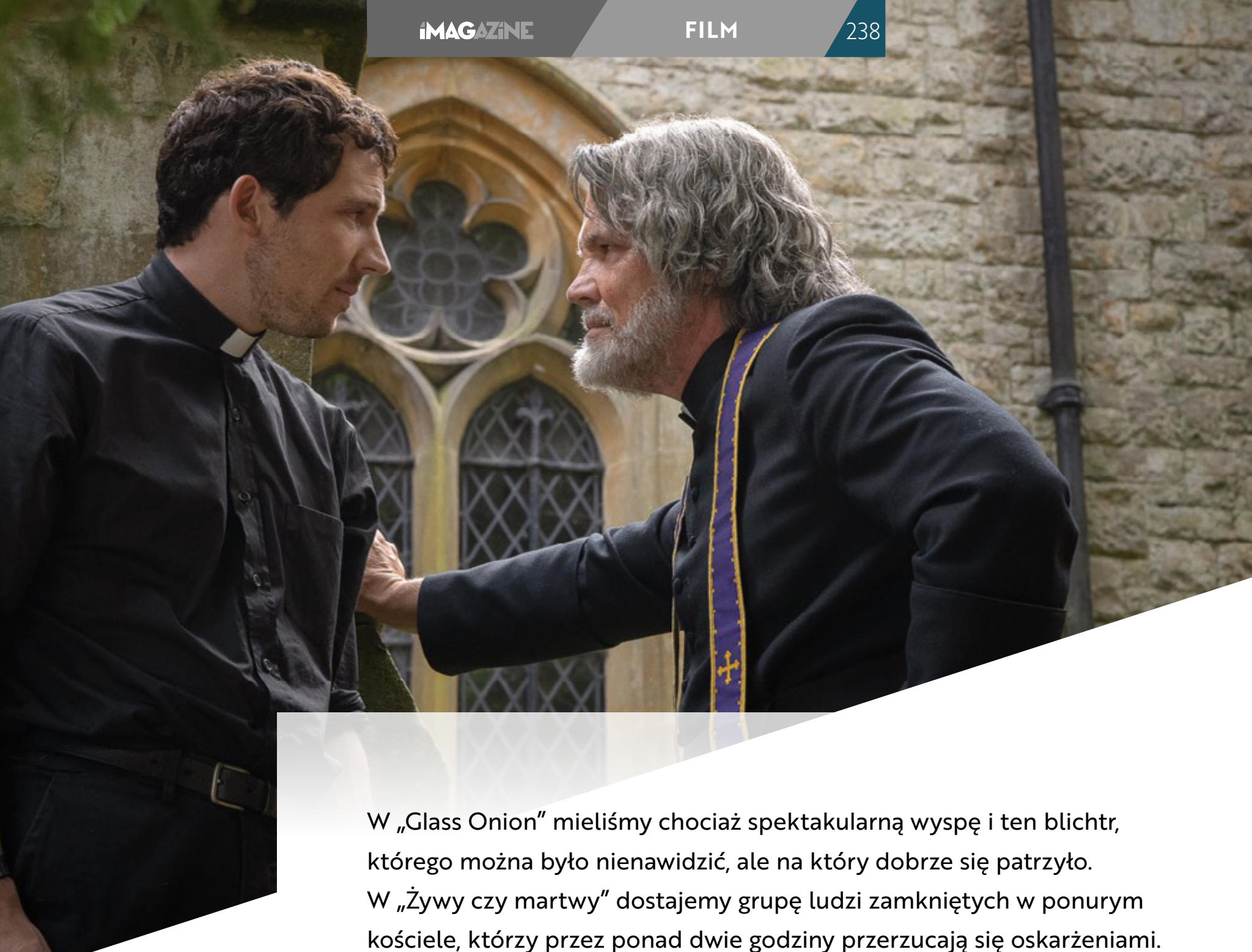
Jeśli jest jeden powód, dla którego warto w ogóle rozważyć wciśnięcie przycisku play, jest nim Josh O'Connor. Brytyjski aktor, którego można kojarzyć przede wszystkim z „The Crown”, wciela się w postać Ojca Juda Duplency'ego. To młody ksiądz z przeszłością, który stara się o duszpasterskie odkupienie, a staje się głównym podejrzanym. O'Connor jest w tym filmie zjawiskowy. Jego postać jest pełna sprzeczności: krucha, a jednocześnie fizycznie groźna; pobożna, ale walcząca z gniewem. To on, a nie Craig, niesie emocjonalny ciężar tej historii. Relacja między cynicznym detektywem a udręczonym księdzem to najciekawszy wątek filmu. O'Connor potrafi zagrać samymi oczami to, czego scenariusz



Johnsona nie potrafi wyrazić w dialogach – prawdziwe poczucie winy i zagubienie. To rola, która wyrasta ponad ten film, co paradoksalnie jeszcze bardziej obnaża braki reszty produkcji.

Seria „Na noże” przyzwyczaiła nas do wybitnych nazwisk i ciekawych wyborów castingowych. Tutaj teoretycznie też jest bogato. Mamy Glenn Close jako oddaną (i nieco przerażającą) gospodynię Marthę. Mamy Andrew Scotta jako upadłego pisarza science fiction, który dryfuje w stronę internetowych teorii spiskowych. Jest Jeremy Renner jako lekarz alkoholik i Kerry Washington w roli prawniczki. I co z tego? Większość tych postaci to chodzące stereotypy, narysowane grubą kreską karykatury, które mają służyć za tło dla satyry społecznej Johnsona. Reżyser próbuje komentować współczesną Amerykę – polaryzację, wpływ mediów społecznościowych, toksyczną męskość, hipokryzję kościoła. Ale w przeciwieństwie do pierwszej części, gdzie ostrze satyry było ostre i precyzyjne, tutaj ciosy są wymierzone na oślep. Postacie są antypatyczne w sposób, który nie intryguje, a jedynie męczy. Trudno nam kibicować komukolwiek, a co gorsza – w zasadzie nie obchodzi nas, kto zabił.





W „Glass Onion” mieliśmy chociaż spektakularną wyspę i ten blichtr, którego można było nienawidzić, ale na który dobrze się patrzyło. W „Żywy czy martwy” dostajemy grupę ludzi zamkniętych w ponurym kościele, którzy przez ponad dwie godziny przerzucają się oskarżeniami. Brakuje tu tej lekkości, narracyjnej płynności, która sprawiała, że dwie godziny mijały, jak z bicia strzelił. Tutaj czas płynie wolniej, a my zaczynamy zerkać i na zegarek i na pasek postępu odtwarzania.

W muzyce mówi się o syndromie drugiej płyty, ale w przypadku serii Riana Johnsona kryzys przyszedł przy trzecim podejściu. „Żywy czy martwy” cierpi na to, co często dotyka franczyzy przejęte przez streamingowych gigantów – przerost formy nad treścią przy jednoczesnym zaniku duszy. Film próbuje być mądrzejszy, niż jest w rzeczywistości. Johnson nawiązuje do klasyki gatunku, bawi się konwencją, ale to wszystko wydaje się wymuszone. To już nie jest inteligentna zabawa z widzem, to bardziej popis reżysera, który mówi: „Patrzcie, jaki jestem sprytny, ile znam książek”.

Mnie osobiście ten film do gustu nie przypadł. Jest on daleki od tego, co pokazała pierwsza część – nie ma jej bezpretensjonalności, precyzji i autentycznego napięcia. Nawet „Glass Onion”, który nie był idealny



i momentami irytował swoim efekciarstwem, był chyba lepszym filmem – bardziej spójnym w swojej wizji i dającym więcej czystej rozrywki. Tutaj dostajemy produkt, który jest technicznie poprawny, ale emocjonalnie raz pusty, a raz za ciężki i trudno się w tym wszystkim odnaleźć.

Absolutni fani Benoita Blanca, którzy muszą odhaczyć każdą pozycję z uniwersum – pewnie i tak to obejrzą. Jeśli jednak ktoś szuka dobrego kryminału, który zaskoczy, rozbawi i trzyma w napięciu do ostatniej minuty, tutaj można się mocno rozczarować. Film Riana Johnsona to, niestety, ofiara własnego sukcesu. Próba zrobienia czegoś innego sprawiła, że zgubiono to, co stanowiło o sile marki: zabawę. To kino, które ogląda się z narastającą obojętnością. Zagadka jest skomplikowana, ale rozwiązanie nie przynosi satysfakcji. Dialogi są gęste, ale rzadko bywają błyskotliwe.

Wolałbym obejrzeć po raz dziesiąty pierwszą część „Na noże”, niż wrócić kiedykolwiek do tej ponurej parafii. Panie Blanc, chyba czas na emeryturę, zanim seria całkowicie rozmieni się na drobne.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe styczeń 2026



The Pitt – 2. sezon

Jeśli myślicie, że macie stresującą pracę, wizyta w Pittsburgh Trauma Medical Center szybko zmieni waszą perspektywę. Noah Wyle powraca w drugim sezonie tego medycznego hitu, który bezlitośnie obnaża chaos szpitalnej codzienności. Tym razem akcja przeskakuje o 10 miesięcy do przodu, w sam środek gorączki Weekendu Niepodległości. Do obsady dołącza Sepideh Moafi, a stawka rośnie. To nie jest kolejny grzeczny serial o lekarzach – to czysta adrenalina i walka o życie, od której nie sposób się oderwać.

Premiera: 09.01

HBO
max

Porwanie – 2. sezon

Sam Nelson (Idris Elba) wraca do gry, ale tym razem niebiosy zamienia na podziemia. W drugim sezonie thrilleru stawką jest życie pasażerów berlińskiego metra. Gdy pociąg zostaje uprowadzony, a władze na powierzchni walczą z czasem, Sam znów znajduje się w samym sercu kryzysu. Jedna zła decyzja może skończyć się katastrofą. Jeśli pierwszy sezon trzymał was na krawędzi fotela, przygotujcie się na jeszcze gęstsza atmosferę i klaustrofobiczne napięcie, które nie puszcza do samego końca.

Premiera: 14.01

apple
tv





Rycerz Siedmiu Królestw

Westeros wzywa ponownie, tym razem sto lat przed „Grą o tron”. Gdy Targaryenowie wciąż zasiadają na Żelaznym Tronie, nietypowy duet przemierza królestwo: mężny sir Duncan Wysoki i jego giermek, Jajo. To opowieść pełna rycerskich turniejów, dworskich intryg i niebezpieczeństw czyhających na traktach. Pozycja obowiązkowa dla fanów uniwersum Martina, którzy chcą zobaczyć czasy, gdy pamięć o smokach była wciąż żywa, a honor znaczył więcej niż złoto. Idealny miks przygody i wielkiej polityki w tle.

Premiera: 19.01

HBO
max

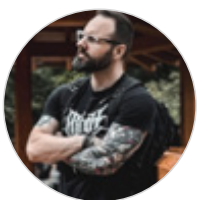
Terapia bez trzymanki – 3. sezon

Najbardziej niekonwencjonalny terapeuta w historii powraca, by znów łamać zasady etyki. Jimmy (Jason Segel) i jego zręczliwy mentor Paul (genialny Harrison Ford) w trzecim sezonie serwują kolejną dawkę śmiechu przez łzy. Do gwiazdorskiej obsady dołączają legendy: Jeff Daniels i Michael J. Fox! Przygotujcie się na chaos emocjonalny i terapię, która przewraca życie do góry nogami. Twórcy „Teda Lasso” znów udowadniają, że są mistrzami telewizji, która otula widza niczym ciepły koc w zimowy wieczór.

Premiera: 28.01

Apple
tv





PAWEŁ WINIARSKI
@northazerate

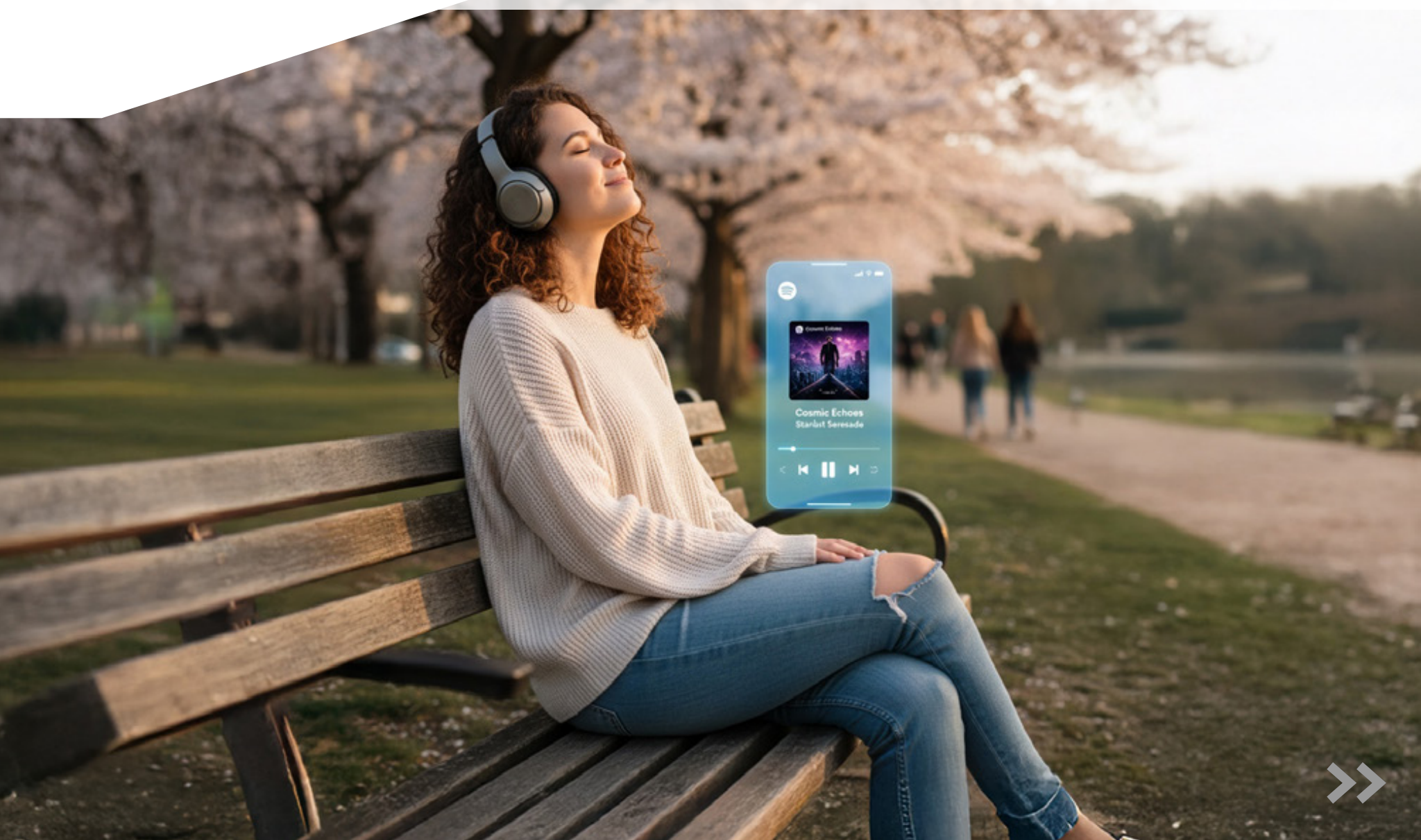
Artyści nienawidzą Spotify, ale i tak chwalą się statystykami z serwisu

Końcówka roku to dzielenie się podsumowaniami Spotify Wrapped. Danymi chwalą się nie tylko słuchacze, ale również artyści. Ci sami, którzy nienawidzą Spotify.



Bezstratna jakość w Spotify nie jest jednak tak bezstratna, jak się spodziewałem, dodatkowo nie każdy wzmacniacz z wbudowanym streamerem już ją obsługuje. Jednak to właśnie ta nowość w usłudze sprawiła, że po kilku latach rozłąki postanowiłem znów dołączyć do szeregów abonentów Spotify. Przez cały ten czas nie zmieniłem zdania – jeśli chodzi o aplikację, społeczność, algorytmy i pomysły na urozmaicenie klasycznego streamingu audio ten serwis jest bezkonkurencyjny. Jednym z takich dodatków jest bardzo fajnie przygotowane roczne podsumowanie pod nazwą Wrapped. Może nie do końca roczne, bo nie bierze pod uwagę danych z końcówki roku, ale daje dobry wgląd w gusta muzyczne słuchacza, jego ulubione albumy, utwory, wykonawców, gatunki i tym podobne.

W tym samym czasie swoje Wrapped mają również artyści i jak co roku bardzo chętnie się tymi danymi chwala. Duże zespoły milionami odtworzeń, małe zdecydowanie mniej imponującymi statystykami, ale są w stanie pokazać, że nie tworzą muzyki do szuflady. Wszystko byłoby super, gdyby aż tak bardzo nie rzucała się w oczy niekonsekwencja podejścia do Spotify. Hipokryzja to bardzo mocne słowo i raczej nie chcę go używać, ale jakoś w tym roku wyjątkowo mnie to intryguje i irytuje zarazem.





Spotify największym wrogiem artystów

Jeśli uznać, że streaming audio to największe nieszczęście, jakie spotkało artystów w ostatnich latach, to twarz tego nieszczęścia jest bliźniaczo podobna do logotypu Spotify. Przez swoją wielkość i pozycję na rynku to właśnie szwedzki serwis muzyczny stał się synonimem streamingu. Na swoją złą sławę zasłużył jednak innymi działaniami – oferuje jedne z najmniejszych, jeśli nie najmniejszych stawki dla artystów i jawi się jako wielki wyzyskiwacz. Większość słuchaczy w ogóle o tym nie myśli, ale artyści co chwila wbijają szpilę Spotify, wytykając słabe stawki, a w ostatnim czasie problemy z zalewem muzyki wygenerowanej przez sztuczną inteligencję. Rozumiem frustrację, aczkolwiek teza jakoby bez streamingu te same odtworzenia przełożyły się na sprzedaż fizycznych nośników, jest bardzo naiwna. Niestety dla twórców, sprzedaż fizycznych nośników ma związek z ogólnymi zmianami w sposobie konsumpcji treści nie tylko na rynku muzycznym. Ja akurat przepuszczam masę kasy na winyle i CD, a streaming traktuję jako dodatek i wygodny sposób słuchania muzyki poza domem, ale jednak jestem w mniejszości. Wystarczy spojrzeć na młodsze pokolenie, dla nich fizyczny nośnik w ogóle nie istnieje, to jakiś archaizm, a zbieranie winyli traktują jak przejaw kryzysu wieku średniego. Dokładnie to usłyszałem kilka dni temu i nie mam z tym kompletnie problemu, w pewnym wieku przestało mnie po prostu interesować to, co o moich hobby sądzą inne osoby. Wciąż wierzę, że taki sposób słuchania muzyki pozwala mi ją bardziej szanować, a swoimi zakupami wspieram artystów, którzy dają mi frajdę podczas odsłuchów. Bardzo lubię też posiadać, co z roku na rok staje się coraz mniej popularne.

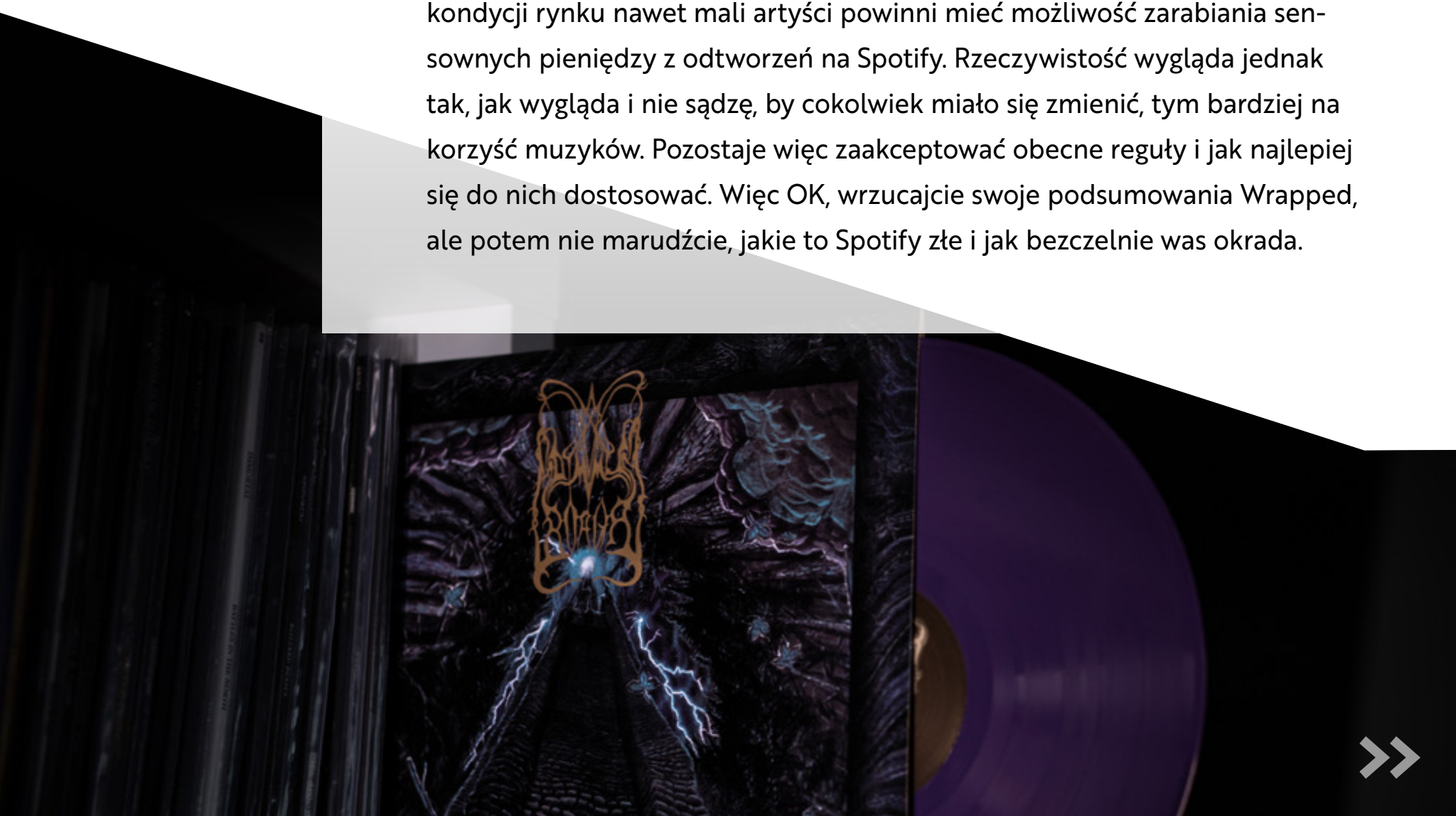


Spotify najlepszym przyjacielem artystów

Spotify, czyli największy wróg artystów, to jednocześnie ich najlepszy przyjaciel. Bo to właśnie za pomocą Spotify twórcy mogą dotrzeć do słuchacza, dostali narzędzie, którego jeszcze 20 lat temu nie miał nikt. Mogą przeskoczyć granice terytorialne, zainteresować swoją twórczością miliony osób na całym świecie, zaoferować możliwość odsłuchania całej dyskografii. I artyści doskonale o tym wiedzą, muszą być w streamingu, bo inaczej dotrą jedynie do garstki, w dodatku w głębokiej niszy. Owszem, walczą z zalewem innej muzyki, tysiącami innych artystów, ale mają z nimi podobne szanse, nie są wykluczeni.

I dosłownie – ci sami artyści, którzy przez cały rok wbijają szpile Spotify, w ostatnich miesiącach chwalą się podsumowaniami w serwisie. Nie wiem jak wy, ale ja widzę tu dużą niekonsekwencję poglądów. Temat jest oczywiście dużo bardziej złożony, ma więcej warstw, ale jednocześnie wypadałoby przyjąć jakieś jedno twarde stanowisko i podjąć decyzje. Albo Spotify zabija artystów i niszczy ich twórcze dusze, albo jest super i co roku chwalimy się, do ilu krajów dotarła muzyka. Uczestnictwo w streamingu nie jest obowiązkowe, można przecież całkowicie zamknąć się na cyfrową dystrybucję albo zostać tylko przy sprzedawaniu plików w serwisach typu Bandcamp.

To nie jest tak, że ja bronię streamingu – cały czas uważam, że przy aktualnej kondycji rynku nawet mali artyści powinni mieć możliwość zarabiania sensownych pieniędzy z odtworzeń na Spotify. Rzeczywistość wygląda jednak tak, jak wygląda i nie sędzę, by cokolwiek miało się zmienić, tym bardziej na korzyść muzyków. Pozostaje więc zaakceptować obecne reguły i jak najlepiej się do nich dostosować. Więc OK, wrzucajcie swoje podsumowania Wrapped, ale potem nie marudźcie, jakie to Spotify złe i jak bezczelnie was okrada.





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Podcasty – wybór

KWADRANS
NA ANGIELSKI



Kwadrans na Angielski

„Kwadrans na Angielski” to podcast stworzony z myślą o tych, którzy chcą regularnie i bez presji szlifować język angielski. Krótkie, konkretne odcinki skupiają się na praktycznym słownictwie, zwrotach i realnych sytuacjach, z którymi można się spotkać na co dzień. Idealny format do słuchania w drodze do pracy lub w przerwie na kawę.



7 metrów pod ziemią

To podcast, w którym prowadzący schodzi głęboko — dosłownie i metaforycznie — w rozmowach o śmierci, stracie, rytuałach i tym, jak różne kultury radzą sobie z odchodzeniem. Bez taniej sensacji, za to z empatią i ogromną uważnością na drugiego człowieka. „7 metrów pod ziemią” zostaje w głowie na długo i zmusza do refleksji.





Finanse bardzo osobiste

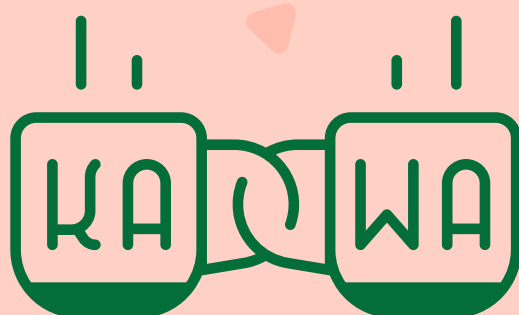
Podcast o pieniądzu, ale bez tabel, wykresów i mentorsko-inwestycyjnego tonu. Autorka pokazuje, że finanse są przede wszystkim kwestią emocji, nawyków i codziennych wyborów. To świetna propozycja dla tych, którzy chcą lepiej zarządzać swoimi pieniędzmi, zaczynając od zrozumienia samych siebie.



Rock i Borys

„Rock i Borys” to podcast prowadzony przez Roberta „Rocka” Burnejkę i Borysa Nieśpielaka, skupiony na nowych technologiach, internecie, popkulturze i tym, jak cyfrowy świat wpływa na nasze codzienne życie. Prowadzący łączą doświadczenie branżowe z luzem i humorem, komentując aktualne trendy, absurdy sieci oraz zmiany w mediach. To podcast dla tych, którzy lubią technologię podaną bez zadęcia, ale z refleksją.





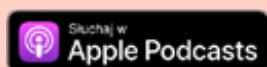
bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





MAŁGORZATA ŁADA

Pasztet z wątróbki drobiowej z galaretką jabłkową



Skład:

- 50 dkg wątróbki drobiowej (najlepiej kaczej lub z indyka)
- 100 g miękkiego masła
- 100g surowego wędzonego boczku pokrojonego w kostkę
- 4 cebulki najlepiej szalotki
- 1 duży ząbek czosnku
- 1 jabłko kwaśne twarde
- Kilka gałązek świeżego tymianku lub 1 łyżeczka suszonego tymianku
- ½ łyżeczki suszonej szalwii (jeśli mamy świeżą to dwa duże listki)
- 50-60 ml calvadosu (można zastąpić sokiem z jabłek zmieszanym z czystą wódką)
- Sól, pieprz
- Galaretka jabłkowa:
- 150 ml soku jabłkowego,
- 8-10 g żelatyny w proszku

Wątróbki myjemy i czyścimy z błon. Szalotki i czosnek siekamy. Jabłko obieramy i kroimy w kostkę. Na patelni rozgrzewamy ok 40 g masła i przesmażamy pokrojony boczek na złoty kolor, następnie dodajemy najpierw szalotki i podsmażamy a następnie dodajemy posiekany czosnek i lekko rumienimy uważając, żeby czosnek się nie przypalił. Dodajemy wątróbki, jabłko i posiekane zioła. Smażymy, mieszając od czasu do czasu, żeby wątróbki się z wierzchu ścięły, ale w środku zostały się lekko różowe. Całość przekładamy do miksera i dokładnie miksujemy. Na patelni wylewamy calvados zagotowujemy i zbieramy resztki z boków patelni i dodajemy do miksera, doprawiamy solą i pieprzem i resztką masła. Przekładamy do salaterki lub kilku mniejszych misek, wygładzamy wierzch i wstawiamy do lodówki na mniej więcej godzinę. W tym czasie robimy galaretkę: sok mocno podgrzewamy prawie do zagotowania. Żelatynę namaczamy w zimnej wodzie, gdy spęcznieje odciskamy i dodajemy do gorącego soku. Dokładnie mieszamy, żeby żelatyna się rozpuściła. Studzimy i gdy zacznie tężeć wylewamy równomiernie na pasztet, aby całość była ładnie pokryta. Wstawiamy do lodówki na 3-4 godziny.

Smacznego!



iMAGAZiNE

DOSTĘPNY NA

